

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



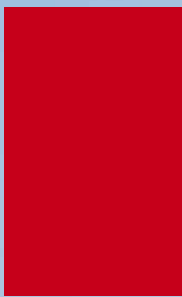
FOT. PIOTR PORĘBSKI

**Edyta
Bartosiewicz:**
Czas, byś w końcu
zbudził mnie
► 22

**Timothy
Garton Ash:**
Tusk musi szukać
następcy
► 8



**WYSOKIE
OBCASY**
Co czyta
**Sarah Jessica
Parker**



MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



FOT. CYFRASPORT/PZPN

Ewa Pajor
**Upadanie
i wstawanie**
► 25

wyborcza

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 048908



**Nowy narkotyk
Ameryki**
Musk to
nie wyjątek ► 18



FOT. REUTERS/KEVIN LAMARQUE

**Chłopaki
nie płaczą**
I wygrywają
wybory ► 4 i 30

**Inżynier
Karwowski**
Kupiłby
Thermomixa ► 34

**Katarzyna
von Bora**
Bez żony Luter nic
by nie osiągnął ► 40

Agnieszka
KublikPiS w tym jest
po prostu lepszy

Parę uwag po wyborach prezydenckich. Rafał Trzaskowski był lepszym kandydatem na prezydenta niż Karol Nawrocki. Miał gorszy sztab wyborczy. Dlatego przegrał, ale naprawdę niewiele brakowało, zaledwie połowy z 369 591 tys. głosów.

Jak to tego doszło? Jarosław Kaczyński usadowił w Pałacu Prezydenckim Lecha Wałęsę, Lecha Kaczyńskiego, Andrzeja Dudę. I teraz Karola Nawrockiego.

Duda i Nawrocki to dowód, jak w kampanii wyborczej liczy się strategia i ludzie, którzy ją stwarzają, a potem konsekwentnie wcielają w życie.

PiS potrafi robić kampanie wyborcze. KO nie potrafi.

Tuż po wyborach prezydenckich pięć lat temu pisałam o starej zasadzie, że kampania zaczyna się zaraz po wyborach. Trzaskowski powinien ją prowadzić od 13 lipca 2020 r. Nie prowadził.

Wszyscy tak byli pewni jego wygranej, że założyli, iż Trzaskowski wygra w zasadzie samym sobą. Zwłaszcza po październiku 2023 r.

KO założyła, że ponieważ pięć lat temu Trzaskowski przegrał tylko o 422 385 głosów, bo zderzył się z medialną machiną sterowaną przez PiS, to teraz, kiedy media publicz-

ne zostały z rąk PiS wyzwolone, wygra.

To był błąd – złamanie kardynalnych zasad marketingu politycznego i wyborczego. Przede wszystkim politycy to nie są spe-

cialiści od prowadzenia kampanii wyborczych. PiS to wie i od lat korzysta z pomocy amerykańskich speców, którzy pracują dla Republikanów.

W KO nie chcieli skorzystać nawet z naszych polskich ekspertów, którzy oferowali swoje usługi za darmo, np. specjaliści marketingu politycznego, komunikacji społecznej czy analizy sondaży, pracujący w biznesie, i na uczelniach.

Tak samo było przed wyborami w 2023 r. – i wtedy sztab KO opędzał się od tych, którzy potrafią prowadzić kampanie wyborcze. Przypominam, że 15 października KO przegrała z PiS 6 629 402 do 7 640 854, czyli o milion głosów.

Szczytem była kampania wyborcza w 2015 r. Sztab Komorowskiego wykreował swojego kandydata na nudnego, starszego pana.

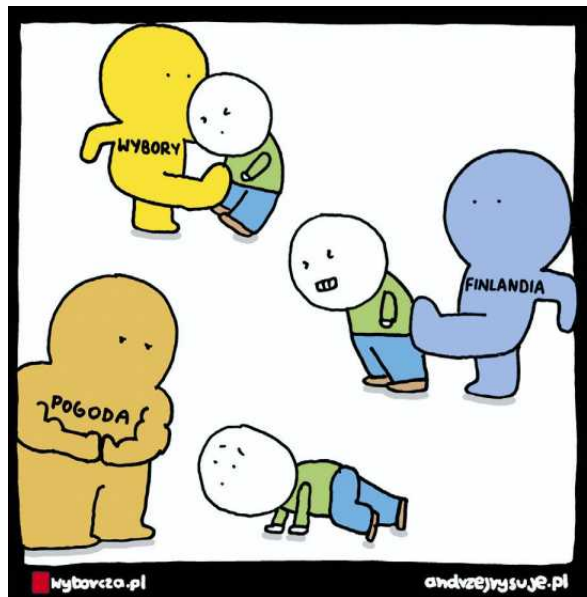
Nawrocki wygrał w internecie. KO nie nauczyła się korzystać z mediów społecznościowych. Gdy Tusk apelował, by politycy byli tam intensywniej obecni, część po prostu transmitowała tam... swoje konferencje prasowe.

KO zawałiła też sprawę mężów zaufania. Sztab Trzaskowskiego wyraźnie nie był tym zainteresowany. Może nie byłoby tak wielu komisji, w których głosy Trzaskowskiego zostały przypisane Nawrockiemu i odwrotnie. A to podważa zaufanie do komisji, do PKW i w ogóle do państwa.

Żyjemy w czasach, gdzie komunikacja o faktach jest niemal tak samo istotna, jak fakty. Ani Trzaskowski, ani Tusk nie potrafili opowiadać, co robi rząd, dlaczego i co z tego wynika dla ludzi.

Czas to wreszcie zrozumieć. ●

Andrzej rysuje

Albinizm
Białe jest piękne

FOT. PAPÉPA / JEAN-CHRISTOPHE BOTT

Żółwik albinos wraz ze swoją rodziną żółwi słoniowych z Galapagos mieszka w Tropiquarium w Servion w Szwajcarii. Został sfotografowany z okazji Międzynarodowego Dnia Świadomości Albinizmu obchodzonego 13 czerwca.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

16

MLD ZŁ

• **wyniosły podatki odpro-**
wadzone przez Ukraińców
do polskiego budżetu
w 2024 roku. W tym samym roku 800+ wypłacone Ukraincom kosztowało nas 2 mld 800 tys. zł.

Więcej na Wyborcza.biz

Co Jest Grane Festival 2025
Rap i melancholia

Są festiwale, śmiejskie pikniki oraz multidyscyplinarne wydarzenia kulinarne. Co Jest Grane Festival łączy to wszystko w jeden rodzinny weekend w relaksującym otoczeniu Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski. Esencją imprezy są oczywiście występy muzyczne. Nosowska i Król zaprezentują materiał ze swojego albumu „Kasia i Błażej”, Fisz i Emade będą promować jubileuszowe wydawnictwo „25”, a Edyta Bartosiewicz zabierze publiczność „wehikule czasu” w podróż od wczesnych lat 90. O rapowe bity zadba PRO8L3M, a o melancholię Kortez. Zagrają również m.in.: pop-folkowy girlsband Lor, wscho-



FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

dzące gwiazdy rodzimej sceny, czyli Zalia i Dawid Tyszkowski oraz Arek Klusowski i Karolina Czarnecka, artyści z powodzeniem balansujący na granicy gatunków. W programie także spotkanie z teatrem („Zapiski z wygnania”, jeden z najważniejszych spektakli w życiu Krystyny Jandy) i Klubem Komediowym. Stołeczni mistrzowie improwizacji zapraszają na występ „Moja żona odeszła z naszą terapeutką i inne sytuacje”, który poprowadzi Michal

Sufin. Zaplanowano także wiele atrakcji dla najmłodszych, m.in.: zajęcia muzyczne i plastyczne, warsztaty gry na padach, sadzenie roślin i opowieści o pszczołach z Greenpeace Polska. Aktorka Edyta Jurgowska zabierze dzieci w zaczarowany świat książek Astrid Lindgren, a Teatr Niewielki zaprasza na przedstawienie pt. „Wyspa”. Bilety na Co Jest Grane Festival 2025 dostępne przez Kicket.com i Ebilet.pl w cenie 191-319 zł. ●

Norbert Kaczan

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Przyszłość jest nasza

Myślenie o przyszłości budzi niepokój, żeby nie powiedzieć: strach.

Czy chcielibyście mieć dzieci w tym świecie? Na co liczyć, a czego się obawiacie?

Jaką macie strategię na teraz, a jaką na jutro.

Tomasz Kwaśniewski i Dominik Łowicki
słuchają młodych Polek i Polaków



Polacy, nic się nie stało

Kopanina

W jaki sposób najlepszy piłkarz w historii naszego futbolu miałby osłabiać zespół narodowy?

Wołowski

Paranoja jest goła! 48 godzin przed bardzo istotnym meczem Finlandia – Polska w eliminacjach mundialu w 2026 roku, selekcjoner Michał Probiez wywołał wojnę z najwybitniejszym polskim piłkarzem. Ogłosił, że kadra będzie miała nowego kapitana – zostaje nim pomocnik Interu Mediolan Piotr Zieliński. Robert Lewandowski, kapitan od 11 lat, zareagował skrajnie emocjonalnie, stawiając własne ego ponad dobro narodowej drużyny. Odpowiedział, że nie zagra w niej więcej, dopóki Probiez będzie selekcjonerem. Wojna futbolowa była gotowa. Wojna domowa, polsko-polska. A przecież zaledwie kilka dni wcześniej, na początku zgrupowania, Probiez zapewniał, że rozumie racje 37-letniego Lewandowskiego, który po ciężkim sezonie w Barcelonie, gdzie spędził na boisku 4000 minut, jest wyczerpany i zamiast do stolicy Finlandii z kadrą, chce pojechać z rodziną na wakacje. „Jest naszym dobrem narodowym, trzeba go chronić i szanować” – przekonywał selekcjoner.

Co się takiego stało, że Probiez tak gwałtownie zmienił zdanie w momencie najmniej odpowiednim, gdy drużyna szykowała się do wyjazdu do Helsinek?

Selekcjoner przekonywał, że podjął decyzję o zmianie kapitana po konsultacji z piłkarzami kadry i sztabem drużyny. Pojawiły się informacje, a może plotki że młodszy gracz mają dość dąsów gwiazdy Barcelony, która w reprezentacji sama wybiera sobie mecze. Kiedy jednak podejrzenie padło na zawodników rady drużyny: Jakuba Kiwiora, Piotra Zielińskiego, Przemysław Frankowskiego i Jana Bednarka, cała czwórka zmusiła PZPN do wydania oświadczenia, że nie mieli z tym nic wspólnego. Prezes Cezary Kulesza takie oświadczenie wydał.

W eliminacyjnej grupie G zdecydowanym faworytem jest Holandia, Polska marzyła o dotrzymaniu jej kroku, bo tylko zwycięzca wywalczy bezpośredni awans na mistrzostwa świata w USA, Kanadzie i Meksyku. Wariant realistyczny przewidywał raczej rywalizację z Finami o drugą pozycję i prawo gry w barażach. Dlatego mecz w Helsinkach był tak ważny.

W czym miała pomóc wojna wydana Lewandowskiemu przez Probiez? Jeśli selekcjoner chciał wstrząsnąć zespołem, wybrał na to najgorszy moment. Drużyna pojechała do Helsinek pod ogromną presją, w atmosferze skandalu i obłąka egzamin. Przegrała 1:2 z 69. zespołem światowego rankingu. Szansa na przyszłoroczny mundial bardzo się oddaliła.

Co stało na przeszkodzie, by Probiez ogłosił zmianę kapitana drużyny po spotkaniu z Finami?
Nic. Selekcjoner zachował się tak, jakby status gwiazdorski Lewandowskiego blokowała potencjał innych piłkarzy kadry. W Helsinkach napastnika Barcelony nie było, nikomu więc nie mógł przeszkadzać, tymczasem drużyna spisała się fatalnie: jeszcze raz zawiodła siebie i swoich kibiców.



• **Jeszcze razem, choć bez entuzjazmu. Kapitan Robert Lewandowski i trener Michał Probiez na konferencji prasowej przed zgrupowaniem kadry przygotowującym do meczów eliminacji Mistrzostw Świata z Maltą i Litwą (17.03.2025)** FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Lewandowski gra w kadrze 17 lat, od 2014 roku był jej kapitanem. W 158 spotkaniach w drużynie narodowej zdobył 85 bramek. To są rekordowe liczby. Pojechał z zespołem na dwa mundiale i czterech Euro, a jednak polscy piłkarze zwykle wracali z nich na tarczy.

Frustracja narastała w piłkarzu, który w klubach dotrzymywał kroku największym, takim jak Leo Messi, czy Cristiano Ronaldo. Kapitan coraz ostrzej wypowiadał się o młodszych kolegach. Że powinni brać znacznie większą odpowiedzialność za wyniki drużyny. Takiego wywiadu udzielił kilka miesięcy po klęsce w Kiszyniowie z Mołdawią w eliminacjach Euro 2024. Rywal był wtedy w rankingu FIFA na 171. pozycji.

Ludzie rządzący naszą piłką nożną mają niebywałą zdolność przekuwania atutów w słabości

Kariera w drużynie narodowej jest dla najwybitniejszego polskiego piłkarza odbiciem w krzywym lustrze kariery klubowej. W Borussia Dortmund, Bayernie Monachium, Barcelonie osiągnął status legendy. W reprezentacji połykał gorzkie porażki, z wyjątkiem Euro 2016 we Francji, gdzie zespół Adama Nawalki dotarł do ćwierćfinału i odpadł po serii rzutów karnych z Portugalią. Tą samą, która kilka dni później świętowała tytuł mistrzowski.

Polska drużyna gra źle, znacznie poniżej oczekiwań swoich kibiców, choć od 2018 roku, czyli odejścia Nawalki prowadziło ją aż pięciu selekcjonerów, w tym dwóch zagranicznych. Jerzy Brzęczek miał niezłe wyniki, ale został zwolniony za słaby styl gry zespołu, Paulo Sousa miał słabe wyniki i sam z Polski uciekł. Czesława Michniewicza zdmuchnęła z posady po mundialu w Katarze afery premiowa wywołana przez ówczesnego premiera Mateusza Morawieckiego. Fernando Santos okazał się kompletną pomyłką.

Aż 20 września 2023 roku nastąpił Probiez. Piłkarska reprezentacja Polski przegrała kwalifikacje Euro 2024, ale awansowała do nich po barażach. W spotkaniu z Walią w Cardiff nie oddała celnego strzału, ale w serii rzutów karnych bramkarz Wojciech Szczęsny popisał się kluczową interwencją.

Przed rokiem, po dwóch porażkach z Holandią i Austrią, Polska była pierwszym zespołem, który odpadł z turnieju w Niemczech. Zmagający się z kontuzją Lewandowski wszedł z ławki w spotkaniu z Austriakami i zdobył wyrównującą bramkę z karnego w meczu bez znaczenia z Francją.

Zapewne napastnik Barcelony bywa człowiekiem trudnym, wiele razy wyrażał się w sposób kontrowersyjny. Za klępkę Polski w Euro 2012 obwiniał selekcjonera Franciszka Smudę w głośnym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Krytykował otwarcie prezesów Bayernu Monachium, próbował na nich wymusić transfer do Realu Madryt, aż trzy lata temu zmusił ich do tego, by sprzedali go do Barcelony. Nie jest to praktyka rzadka w zawodowej piłce, wielu graczy tak robi.

Na każdą krytykę Lewandowski odpowiadał gradem goli, czyli w najlepszy sposób w jaki może reagować napastnik światowej klasy. W ostatnim sezonie dla Barcelony zdobył 42 bramki i zbliżając się do 37. uro-

dzin wciąż swoimi dokonaniem wy-
rasta ponad wszystkich innych pol-
skich piłkarzy.

Czy to znaczy, że Lewandowski w reprezentacji może sobie pozwolić na wszystko? Oczywiście nie. Pozwala sobie jednak na dużo. Po jednym ze słabych meczów zbesztal ponoć całą drużynę, a Probieza i jego sztab potraktował jak dyktantów. To tłumaczy, dlaczego selekcjoner chciał skorzystać z okazji, by się odegrać i pozbawić go funkcji kapitana.

Patrząc na męczarnie piłkarzy Probieza w Helsinkach trudno się oprzeć wrażeniu, że Lewandowski ma sporo racji. Polacy zagraли bez pomysłu, a od straty gola byli już bezradni jak dzieci we mgle.

Może były kapitan jest arogantem, może wynosi się ponad innych, ale jednak zna się na swojej profesji.

W każdym z czterech turniejów finałowych o mistrzostwo Europy Lewandowski zdobywał gole: od 2012 do 2024 roku. Im więcej rozczarowań przeżywał, tym więcej zwolenników miała teoria, że od jakiegoś czasu niczego nie daje narodowej drużynie. A nawet jej szkodzi.

Brzmi to głęboko paradoksalnie, bo niby w jaki sposób najlepszy piłkarz w historii naszego futbolu miałby osłabiać zespół narodowy?

Najwyraźniej ludzie polskiej piłki potrafią jednak przekuć w słabości nawet potencjalnie największe atuty.

Jakie będą skutki futbolowej wojny polsko-polskiej? Zapewne Probiez zapłaci za to posadą, presja kibiców zmusi prezesa Kuleszę, by poświecił selekcjonera. W polskiej piłce zmieni się jednak niewiele, bo zbyt wielu działaczy dobrze się bawi za pieniądze sponsorów drużyny narodowej, żeby w kolejnych wyborach w PZPN popsuć wszystko i oddać głos na kogoś innego niż aktualnego prezesa. ●

Dariusz Wołowski



• Piknik wojskowy
Warszawskiej Brygady
Pancernej w Rembertowie (27.08. 2021)

TWOJE CIAŁO, TWÓJ WYBÓR

**Słyszają mężczyźni
od Mentzena i Brauna.
Ale co widzą w nich kobiety?**

Julia Kubisa, Katarzyna Wojnicka

Ody byłem małym chłopcem, to chciałem być żołnierzem i trzydzieści lat minęło, a ja nadal w to wierzę. W swoje ręce ich wezmę i w kolegów ręce wezmę, wypuszczę za dwa lata wymiętego jak szmata – melorecytował Kazik w „Piosence trepa”.

Pamiętny kawałek sprzed 33 lat, z początków wolnej Polski, okazuje się kluczem do zrozumienia wyborów prezydenckich w Polsce od blisko ćwierć wieku usadowionej – by przywołać inny kultowy duchologiczny utwór – „keine Grenzen, keine Fahnen” – w Unii Europejskiej.

Powyborcze tygodnie, bez względu o to, czy chodzi o wybory parlamentarne, czy prezydenckie, czy – choć w mniejszym stopniu – samorządowe, od kilku lat charakteryzuje podobna dynamika dyskusji medialnych. Niezależnie od opcji politycznej, która odniosła (więk-

sze) zwycięstwo czy od profilu medium, spór dotyczy przyczyn, dla których wynik jest taki, a nie inny, ze szczególnym uwzględnieniem motywacji tych wyborców, którzy okazali się jęczyzkiem u wagi.

Od jakiegoś czasu dyskusja ta ma mocny rys genderowy, bo okazało się, że pewne grupy kobiet głosują zupełnie inaczej niż pewne grupy mężczyzn. W związku z czym cyklicznie pada pytanie, czy Polki i Polacy to dwa odrębne narody, a w co dramatyczniejszych wersjach dochodzi do hamletyzowania o podziałach już nie do zasypania oraz proklamowania wojny płci, toczącej się ponoć szczególnie wśród najmłodszych wyborców i wyborczyń.

Znacznie mniej uwagi zwraca się w tym kontekście na inne czynniki społeczne, takie jak choćby niezmiennie dominujący podział na wielkie miasta i Polskę powiatową, które głosują zupełnie inaczej, czy też na kwestie wieku. Co tu kryć, wojna damsko-męska jest znacznie bardziej seksi tematem od często tych samych, rytualnych wręcz dyskusji niż na przykład problem wykluczenia komunikacyjnego, które, uwaga, w bastionach PiS jest największe.

Dlatego też konieczna jest zmiana optyki, czyli branie pod uwagę większej liczby czynników wpływających na to, że poszczególne osoby podejmują takie, a nie inne decyzje. To wręcz warunek konieczny, by lepiej zrozumieć, co dzieje się z polskim społeczeństwem w ogóle, i dlaczego przed kilkunastoma

dniami wyścig o fotel prezydencki wygrał Karol Nawrocki w szczególności.

To powiedziawszy, przyjrzyjmy się grupom kobiet i mężczyzn, szczególnie zaś z najmłodszej kohorty wiekowej – bo to wśród nich zwycięstwo odniósł prezydent elekt – by spróbować zrozumieć co nimi kierowało, gdy decydowało, w którym miejscu karty wyborczej postawić „x”.

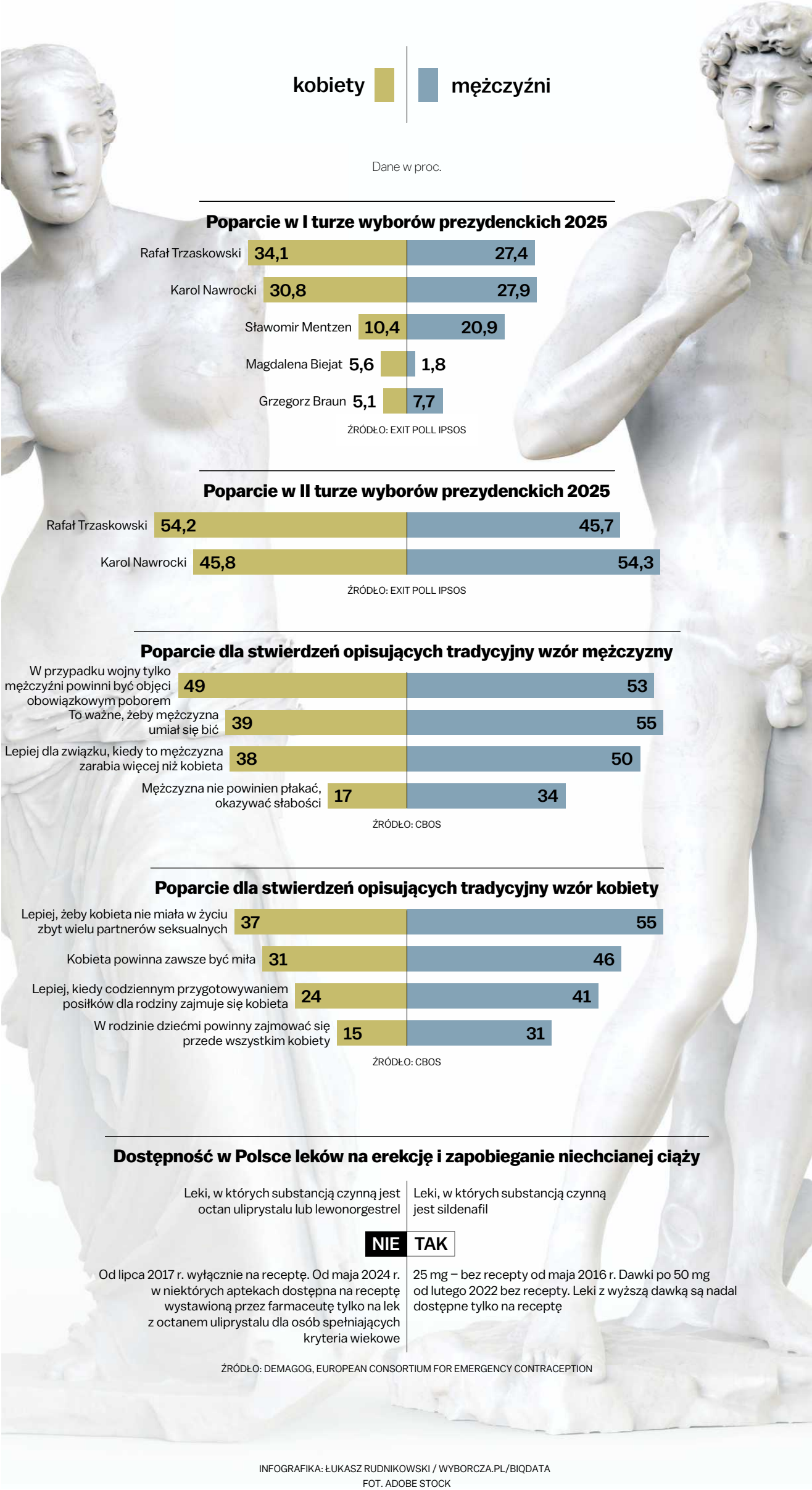
W lutym 2025 roku zaczęła się kwalifikacja wojskowa, którą objęto 230 tysięcy mężczyzn i kobiet. Oceniano zdolność do służby wojskowej wszystkich młodych mężczyzn (roczniki 2001-06) oraz wybrane grupy kobiet. Co prawda procedura odbywa się corocznie od 2009 roku, ale w ostatnich latach nabiera nowego znaczenia. Znałe średniemu pokoleniu kategorie „A”, „D” i „E” ponownie zagościły w rozmowach rówieśników i w dyskusjach rodzinnych.

Młodsze pokolenie zna tylko armię zawodową, a o poborze do wojska i biletach do jednostki słyszało jedynie w opowieściach ojców. Tymczasem 7 marca premier Donald Tusk oznajmił: „każdy zdrowy mężczyzna w Polsce powinien chcieć się przeszkolić, żeby móc bronić ojczyzny”, zapowiadając tym samym obowiązkowe szkolenia wojskowe dla mężczyzn.

Timing tego oświadczenia nie umknął uważnie wielu (młodych) obserwatorów – Tusk obwie-

Ona nadal gotuje, on jeszcze zarabia

Ponoć za mundurem panny sznurem, ale prawdziwy mężczyzna nie chce iść do wojska. Ani nawet się bić



ścił plan uwojskowania mężczyzn tuż po powrocie z rozmów w Brukseli na temat zwiększenia wydatków na obronność. Jedni powiedzą, że to odpowiedzialne działania na rzecz bezpieczeństwa w Europie. Inni, niechętni Tusкови, skwitują, że od Ursuli von der Leyen przywiózł obowiązek brania młodych Polaków w kamasze i wysyłania ich na śmierć za cudzą wojnę.

Co prawda kilka dni później Rafał Trzaskowski mitygował ten komunikat, zmiękcżając „obowiązkowe” na „dobrowolne” i dodając możliwość udziału kobiet, ale właściwie jedyny przekaz, jaki z tego popłynął, to niespójność między Koalicją Obywatelską i jej reprezentantem w wyborach prezydenckich.

A rozróżnienie między dobrowolnością i obowiązkiem jest tu absolutnie kluczowe, jeśli chcemy zrozumieć, dlaczego wielu mężczyzn, szczególnie młodych, głosowało na Sławomira Mentzena i na Karola Nawrockiego.

Zwykle to partie prawicowe, konserwatywne czy nacjonalistyczne kojarzą się z kultem siły, męskiej odwagi i fascynacji machaniem szabelką. Żołnierze Wyklęci, Sobieski pod Wiedniem, a ostatnio i Bolesław Chrobry – lista jest bardzo długa. Wydawałoby się, że prawica pierwsza podchwyci temat obowiązkowych szkoleń wojskowych, na chwałę polskiego oręża.

W politycznej debacie nie ma przestrzeni na to, by powiedzieć, że po prostu boisz się wojny. Że czym innym nawet te osławione ustawy, a czym innym konieczność podporządkowania się, nakazu, oddania własnego ciała pod kontrolę dowódcy, wystawienia go na ból i cierpienie, od którego nie można uciec

Jednakże zupełnie umknął Koalicji Obywatelskiej i jej kandydatowi fakt, że ani Konfederacja, ani Grzegorz Braun nie chcą obowiązkowych szkoleń wojskowych. Chętnie za to mówią o szkoleniach dobrowolnych, w materiałach medialnych podkreślając to słowo bezpiecznym, zielonym kolorem.

Możesz być wojakiem, chłopaku, możesz poczuć się męsko. Wszystko możesz. Ale nie musisz. Pozostawienie decyzyjności, sprawstwa w rękach młodych mężczyzn – nie tylko co do decyzji o wzięciu broni do ręki – to klucz do zrozumienia popularności takich polityków jak Mentzen czy Braun.

Gdy Braun wdziera się do szpitala, by nękać pracującą tam lekarzkę i stwarzać fizyczne zagrożenie dla pacjentek – to robi to, bo może użyć siły, a nie dlatego, że ktoś mu kazał. Co więcej, nikt tego w zasadzie nie potępia, oprócz kilku polityczek koalicyjnych ugrupowań.

Innymi słowy, męstwo, jak najbardziej, ale tylko na twoich zasadach, chłopaku – przekazują partie prawicowe. Twoje ciało to twój wybór, a nie nakaz.

Paralela między polityczną kontrolą i polityczną wolnością ciał kobiet i ciał mężczyzn od dawna umyka w dyskusji politycznej, a szkoda. Przywykliśmy do narracji, w której ciała kobiet się dyscyplinuje, omawia na forum publicznym, reglamentuje im dostęp do opieki zdrowotnej. Ograniczanie dostępu do usług medycznych, wprowadzanie recept na tabletkę „dzień po”, trudności z egzekwowaniem wykonania legalnej aborcji – cały dyskurs związany z prawami reprodukcyjnymi kobiet jest o kontroli. Czy to o jej nasileniu lub narzuceniu, czy o ograniczeniu lub zrzuceniu – ale o kontroli.

Oswojono i znaturalizowano dyskurs, w którym ciało kobiety można omawiać jako obiekt w kontekście mniejszej lub większej, a najlepiej państwowej kontroli. W mediach możemy poczytać i usłyszeć bardzo intymne wyznania kobiet, które odważnie decydują się opowiedzieć o gehennie w szpitalu, strachu przed utratą zdrowia i życia, o fizjologii porodu – czyli przede wszystkim o tym, co z ich ciałami robi państwo.

O męskim cielem niewiele słychać. A przecież to za rządów PiS zniesiono recepty na viagrę dla męż-

czyn, równolegle wprowadzając recepty na pigułki dzień po dla kobiet. Tak jak ciała kobiet w Polsce poddawane są nadmiernej medykalizacji i kontroli – w końcu pigułka dzień po jest dostępna bez recepty w całej Europie – tak mężczyzn mami się brakiem kontroli i szeroko zakrojoną wolnością. Niech sami decydują o zażywaniu tabletek, które mają tak poważny wpływ na organizm, że w większości krajów europejskich wydawane są przez lekarza.

Panowie mają wybór, panie mają zakaz. Panie chcą wyboru, panowie nie chcą nakazu. W Polsce państwo daje mężczyznom wolność, choć podkreślił mocno – wcale nie dba o ich zdrowie.

I teraz wracamy do 2025 i wyborów prezydenckich w cieniu wojny za wschodnią granicą. Donald Tusk obwieszcza nakaz szkoleń. Hola hola – mówią wyborcy Konfederacji. Wybór, nie nakaz. Ich niechęć do szkoleń wojskowych wychodzi w badaniach opinii publicznej zamówionych kilka tygodni po wystąpieniu premiera.

Mężczyźni głosujący na Mentzena czy Brauna chcą mieć wybór, bo zapewne, tak zupełnie po ludzku, boją się wojny. Widzą doniesienia z ukraińskiego frontu, gdzie walczą tacy jak oni – i wcale nie uśmiecha się im tego powtarzać. Tu zresztą politycy tych ugrupowań chętnie dopowiedzą, że przecież to nie nasza wojna i że to KO na brukselskiej smyczy chce przymusowo wysłać naszych chłopców zagranicę.

W politycznej debacie nie ma przestrzeni na to, by powiedzieć, że po prostu boisz się wojny. Że czym innym nawet te osławione ustawki, a czym innym konieczność podporządkowania się, nakazu, oddania własnego ciała pod kontrolę dowódcy, wystawienia go na ból i cierpienie, od którego nie można uciec.

Normy rozumienia męskości zmieniają się, co widać nawet w najnowszym raporcie CBOS – o ile 55 procent mężczyzn uważa, że „to ważne by mężczyzna umiał się bić”, to już 38 procent nie zgadza się z tym stwierdzeniem. Jest coraz większe przyzwolenie na okazywanie przez mężczyzn pewnych emocji – ze stwierdzeniem, że „mężczyzna nie powinien płakać ani okazywać słabości” zgadza się tylko 35 procent mężczyzn i 17 procent kobiet ogółem, zaś wśród osób w wieku 18-29 lat zgadza się tylko 21 procent, a 75 procent stanowczo odrzuca to stwierdzenie.

To jak z tym „każdy zdrowy mężczyzna w Polsce powinien chcieć się przeszkolić, żeby móc bronić ojczyzny”, skoro 2/5 mężczyzn nie uważa, że facet powinien umieć się bić?

Oferta Mentzena i Brauna pozwala utrzymać fantazję o sobie w roli obrońcy, silnym i męskim. Jednak kluczowa jest nie tyle sama fascynacja siłą fizyczną i sprawnością, co siła połączona z wolnością wyboru odgrywania roli silnego. Dopiero to daje poczucie, że w obliczu rosnącej złożoności świata, napięć i niepewności nie jest się bezradnym, bezsilnym i kruchym.

Młodzi mężczyźni, jak stwierdził sam prezydent Andrzej Duda, są jak niedźwiadki, lubią się poszarpać, po prostu tak mają. Różnica jest w tym, że bawią się w tygryski, kiedy tego chcą, a nie kiedy muszą.

Ciało jest zatem przedmiotem i polem walki politycznej. „My body is a battleground” – moje ciało to pole walki, pisały amerykańskie feministki walczące o aborcję. A co z „My body is on the battleground”, moim ciałem na polu walki?

Mężczyźni orientują się, że ich cielesna integralność jest naruszana, że ktoś chce podporządkować ich ciała politycznym interesom, bez pytania ich o zdanie. A to budzi ostry sprzeciw, który przekłada się na decyzje elektoratu.

Pod względem odczuwania, przeżywania swojej męskości, mężczyźni w Polsce są mocno przyzwyczajani przez państwo do poczucia wolności i decyzyjności. Dlatego też łatwiej im przyswoić narrację polityczną, w której na ich wolność i decyzyj-

ność czyhają różne zagrożenia – tu politycy Konfederacji, PiS czy Grzegorz Braun podstawią figurę migranta, fiskusa z wysokimi podatkami czy wreszcie nakaz obowiązku wojskowego.

Łatwo wtedy przeoczyć, że tego rodzaju polityczne pomysły wcale nie są korzystne dla mężczyzn, ich zdrowia i życia – w końcu migranci wzmacniają polski rynek pracy, z podatków opłacana jest ochrona zdrowia, której mężczyźni bardzo potrzebują, a szkolenia wojskowe są przydatne w obliczu wojny za wschodnią granicą i bezpośredniego zagrożenia ze strony Rosji.

Kto jeszcze myśli z troską o cielesnej integralności młodych mężczyzn, kto z obawą czyta komunikaty o obowiązkowych szkoleniach i wysyłaniu chłopców do obrony ojczyzny? Ich matki. Możemy dumać, jak to się stało, że na Mentzena czy Nawrockie-

Cyklicznie pada pytanie, czy Polki i Polacy to dwa odrębne narody i czy już mamy wojnę płci wśród najmłodszych wyborców i wyborczyń. Mało kto pyta o podział na wielkie miasta i Polskę powiatową czy na kwestie wieku

go głosowało tyle kobiet, ale może wystarczy pomyśleć, że część z nich po prostu nie chce, by ich synowie podlegali obowiązkowi wojskowemu.

Jest też część kobiet, która lubi ten pozór wolności i sprawstwa oferowany przez Mentzena. Wywiad z polityczką Konfederacji Ewą Zajączkowską-Hernik o szkoleniach wojskowych ilustruje obrazek atrakcyjnej kobiety na strzelnicy. Część kobiet chce się umieć obronić w razie, gdyby ich fizyczne bezpieczeństwo było zagrożone, czy to przez realnego (rosyjskiego) czy wymagowanego (migranckiego) wroga.

Według części najnowszych badań dotyczących motywacji kobiet, które głosują na partie prawicowe i radykalnie prawicowe, tym, co najbardziej popycha je do oddania takiego, a nie innego głosu, jest strach przed Innym, uosabianym dziś przez mężczyznę migranta.

Narracja o niebezpieczeństwie, które rzekomo czyha na europejskie kobiety ze strony niebiałych, niechrześcijańskich migrantów, dawno temu wykreowana przez europejską skrajną prawicę, jest jej największym majstersztykiem. Powtarzana latami przez francuski Front Narodowy, AfD czy Szwedzkich Demokratów, a następnie przejęta przez wiele partii mainstreamowych, napędza też skrajnej prawicy nie tylko nowych wyborców, ale też wyborczynie.

To samo widzimy także w Polsce, gdzie narracja antymigrancka ma się dobrze, a nawet bardzo dobrze, do czego przyczyniła się również Koalicja Obywatelska, zawieszając prawo do azylu, oraz Rafał Trzaskowski, deklarując, że 800+ dla osób z Ukrainy będzie przyznawane tylko tym pracującym.

Ale dlaczego młode kobiety, niekoniecznie zainteresowane szkoleniami wojskowymi, ani też niekoniecznie przestraszone wizją

etnicznej różnorodności, której coraz więcej widać na polskich ulicach, za to chodzące onegdaj na Czarne Protesty, wybierają partię, która chce zakazu aborcji?

Być może dlatego, że żadna partia jeszcze nie zdołała zliberalizować prawa do aborcji, ale też żadnej się nie udało jej całkowicie zakazać. Aborcja była, jest i będzie, niezależnie od prawa. Nie ma natomiast co liczyć na państwo w tym zakresie, a szczególnie na partię czy koalicję, która nie była w stanie zrealizować obietnicy o liberalizacji. Co więcej, nawet nie jest w stanie obronić kliniki aborcyjnej AboTak i mieszkańców ulicy Wiejskiej przed nieustannymi atakami prawicowych krzykaczy, za to chętnie wysyła policję do spisania dziewczyn wieszających na ogrodzeniu plakaty o bezczynności władz.

I choć wciąż jeszcze wśród młodych kobiet można znaleźć więcej zwolenniczek partii liberalnych i lewicowych niż wśród

Na drugim biegunie jest Rafał Trzaskowski, z męskością znacznie mniej konfrontacyjną, na pierwszy rzut oka inkluzywną i konsensualną. Co więcej, w trakcie kampanii pojawiły się narracje, że Trzaskowski jest niemęski, bo mówi po francusku, a wiadomo, co to oznacza, oraz korzystał z opieki psychologicznej, czyli jest słaby.

Naturalnie to, że ktoś korzysta ze wsparcia specjalistów od higieny psychicznej, świadczy raczej o pewności siebie niż słabości, co dostrzega coraz więcej młodych mężczyzn, deklarujących w przywoływanym sondażu, że okazywanie przez facetów słabości jest OK. Tak naprawdę jednak męskość Trzaskowskiego tylko na pozór jest inkluzywna, czego dowodem jest nie tylko schowanie tęczowej flagi podczas jednej z przedwyborczych debat, ale przede wszystkim siła kapitałów, które za nim stoją i które stawiają go jednak na pozycji hegemonicznej.

Podkreślanie starannego wykształcenia, klasy społecznej, z której się wywodzi, oraz francuskiego, w którym to języku pobierał nauki w Kolegium Europy Natolinie, sprawia, że chcąc nie chcąc męskość, którą reprezentuje, jest o lata świetlne oddalona od tej, którą zaproponowali Nawrocki z Kaczyńskim (a w której przy okazji wiele kwestii przemilczano). Ta pierwsza budzi frustrację, ta druga jest swojska.

Co więcej, model męskości uosabiany przez Nawrockiego, a następnie zmiekczoney narracjami o szarpiących się niedziadkach, z łatwością można wcielić w życie. Wystarczy włożyć koszulkę z NOW-Rockym, pójść na siłownię i od razu można poczuć się lepiej. Łatwo, szybko i co najważniejsze, na swoich zasadach. Natomiast model męskości zaproponowany przez Trzaskowskiego, nie dość, że dla większości młodych chłopaków zupełnie nieosiągalny, kojarzyć się może z moznym panem z pałacu, który lud swój wysyła na wojnę. Przeciwno temu wielu z młodych mężczyzn zagłosowało w tych wyborach.

Wolność, wybór, nakaz, zakaz – układanka tych znaczeń to klucz do zrozumienia najmłodszych wyborczyń i wyborców i ich pragnienia decyzyjności o swoim życiu i ciele. ●



Dr hab. Julia Kubisa

profesorka Uniwersytetu Warszawskiego, socjolożka pracy i płci na Wydziale Socjologii UW. Specjalizuje się w badaniach nad upłciowionym podziałem pracy, molestowaniem seksualnym i zagadnieniami równości i niedyskryminacji w szkolnictwie wyższym. Przewodnicząca Rady do spraw Kobiet na Rynku Pracy przy Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.

Dr hab. Katarzyna Wojnicka

socjolożka, badaczka i wykładowczyni w Instytucie Socjologii i Nauk o Pracy Uniwersytetu w Göteborgu oraz badaczka w Centre for European Research (CERGU). Specjalizuje się w badaniach nad mężczyznami i męskosciami, ruchami społecznymi oraz migracjami i integracją. Redaktorka naczelną czasopisma naukowego NORMA: International Journal for Masculinity Studies. Autorka licznych publikacji naukowych i książki „Mężczyznologia” (PWN, 2025), w której w przystępny sposób tłumaczy, o co chodzi w badaniach nad męskością i dlaczego warto o niej rozmawiać.

Kto pierwszy nie ufał urnom

Z tłumy łatwo zrobić oddział bojowy i niektórzy skwapliwie z tego korzystają.



Marcin Matczak

W demokracji można przegrać. I to jest jej największa zaleta. Bo tylko w ustroju, który dopuszcza przegraną, wynik ma jakiegokolwiek znaczenie. Tymczasem coraz więcej ludzi traktuje przegraną nie jako część demokratycznej gry, lecz jako dowód, że sama gra jest ustawiona.

Po każdych wyborach ktoś w Polsce krzyczy „falszerstwo!”. Także, teraz gdy po zwycięstwie Karola Nawrockiego serwisy społecznościowe wypełniają się spekulacjami, że „to niemożliwe”, „ktoś musiał to sfalszować”, „sprawdźcie protokoły!”.

Oskarżenia o falszerstwo bez twardych dowodów to nie dziennikarstwo śledcze czy społeczna czujność. To przedsiwzięcie teorii spiskowej – i to z tych, które demolują instytucje państwa, zamieniając demokrację w paranoję.

Ojcem tej mody na kwestionowanie wszystkiego, co nie po naszej myśli, jest PiS. To Jarosław Kaczyński po wyborach samorządowych w 2014 roku sugerował, że je sfalszowano. To politycy tej partii grzmie-li, że Polacy nie mogą ufać urnom. PiS zasiało w Polsce ziarno, które dziś kiełkuje – tak- że po tej stronie, która formalnie broni de- mokracji.

Pięć problemów

Każdy ma prawo przedstawić dowody na nieprawidłowości – ale nikt nie ma prawa bez dowodów szerzyć teorii, że doszło do przekrętu na masową skalę. Kiedy ci, którzy słusznie piętnowali zamachy na praworząd- ność, zaczynają mówić głosem spiskowej blogosfery, mamy problem większy niż ta przegrana. A tak naprawdę pięć problemów.

Po pierwsze: nieufność wobec instytucji

Gdy oskarżasz o falszerstwo bez dowodu, nie podważasz tylko wyniku, ale sens całego systemu. Jeśli ludzie nie wierzą, że wybory są uczciwe, tracą motywację do udziału – to osłabia samą zasadę rządów większości.

Demokracja opiera się na wierze, że na- wet jeśli przegrasz teraz, możesz wygrać na- stępnym razem. A bez wiary, że można to uczciwie zrobić, zostaje tylko wiara w siłę – czyli antyteza demokracji. Nie demokracja więc, ale wojna: trzeba brać widły i ruszać na stolicę. Tego chcemy?

Po drugie: radykalizacja

Historia USA po wyborach w 2020 roku po- kazuje, że podważanie wyniku głosowania może doprowadzić do fizycznego ataku na władzę. Może podsycać agresję wobec insty- tucji czy przeciwników politycznych.

Gdy tylko ktoś mówi o „kradzieży wybo- rów”, zaraz pojawia się tłum, który doma- ga się aresztowania złodziei czy rozpędzenia komisji. A z tłumy łatwo zrobić oddział bojo- wy i niektórzy skwapliwie z tego korzystają.

Po trzecie: fałszywy komfort

Teorie spiskowe są atrakcyjne, bo łatwo tłu- maczą porażki. Nie chodzi o fakty, wystarczy, że pasują do uczuć. Przegraliśmy? To zna-

czy, że nas oszukali. Wygrał ktoś, kogo nie lubię? To niemożliwe – pewnie sfalszował.

Zamiast analizować rzeczywiste przy- czyny (np. błędy kampanii, zmiany społecz- ne), ludzie przyjmują, że demokracja już nie działa. Zamiast analizy – emocjonalna opo- wieść. A my coraz częściej wolimy beletry- stykę od rzeczywistości.

Po czwarte: pretekst do ograniczeń

Bezzasadne oskarżenia o falszerstwo mogą tłumaczyć wprowadzanie zabezpieczeń, któ- re jednocześnie ograniczają wolność gło- sowania (np. zwiększenie kontroli, utrudnienie głosowania za granicą). Przykład – apka Ma- teckiego do kontroli zaświadczeń, kij, który ma dwa końce: niby zabezpiecza, ale może też uniemożliwić głosowanie.

Po piąte: delegitymizacja wygranego

Gdy rozstrzygnięcie wyborcze uznaje się za spisek, przegrana polityczna zamienia się w kryzys egzystencjalny. Skoro ktoś mnie „okradł z mojego prezydenta”, to ja już te- go „ich” prezydenta nie muszę respektować. I nie muszę czekać pięciu lat – mogę krzy- czeć, demolować, obalać. To nie jest już poli- tyka – to wojna o rzeczywistość.

Demokracja to nie tylko karta do gło- sowania. To także zgoda, że jeśli nie masz do- wodów na oszustwo, które możesz przedsta- wić niezależnemu sądowi, uznajesz, że wy- nik wyborów, choć rozczarowujący, jest rze- czywisty. Gdy ta zgoda się rozpada, zamiast siły głosu pozostaje tylko głos siły.

Ale zaraz – ktoś może słusznie powie- dzieć – komu mam przedstawić te dowody, skoro ten „niezależny sąd” to Izba Kontro- li Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, której powołaniem Andrzej Duda naruszył porzą- dek prawny RP?

Z pałacu – cyrk

I tu docieramy do absurdu naszej sytuacji. Tak jak Kaczyński zaczął demontaż zaufania do demokracji, tak Duda to zaufanie dobi- ja. W poście, który jest prawdziwą perłą me- micznego patosu, pisze, że postkomuniści chcą przekroczyć rozstrzygnięte już wybory. Wzywa, żeby Polacy nie dali sobie odebrać „resztek demokracji i wolności, które po 13 grudnia 2023 roku wciąż jeszcze zostały”.

Jeśli są to „resztki”, to przez ostatnie lata jego ugrupowanie sukcesywnie je wyjadało jak czereśnie z lodówki. Trzeba mieć pewien rodzaj tupetu – może osiągalny po 10 latach sprawowania władzy bez lustra – żeby po wy- granej opozycji krzyżyć o końcu demokracji.

Więc może takim osobom i głosom trze- ba jednak odpowiadać na ich poziomie – kłamstwem, teorią spiskową, hipokryzją demokraty, który niszczy demokrację?

Nie – nie trzeba i nie wolno. To jest pu- łapka, w którą od dawna chce nas wciągnąć PiS. Może nie mamy niezależnego sądu, któ- ry sprawdzi rzetelność liczenia głosów, ale mamy niezależne media, które to robią i nie znajdują przekrętu, który wpłynął na wynik.

Trzeba się trzymać starych mądrości, które brzmią jeszcze dosadniej po tym, jak Prezydent RP uznał za stosowne przedrzeź- niać 94-letniego profesora Strzembosza. One mówią, że kiedy klaun wprowadza się do pałacu, nie staje się królem – to pałac sta- je się cyrkiem. A kiedy karzeł próbuje mówić głosem giganta, ośmiesza tylko siebie.

Jeśli ulegniecie kuszeniu PiS, żeby za- miast analizować przegraną, mówić, że wy- graliście, będziecie jak nieśmieszny klaun, który z demokracji robi żaloszny stand-up. I być może już nigdy nie będziecie zasługi- wać na prezydenta lepszego niż ten jeszcze urzędujący. I na lepszą demokrację. ●

OĞŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34380430

DO 23 CZERWCA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej” — na lipiec u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do wyborcza.pl**
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

*Książka do odbioru od 16 lipca w punkcie sprzedaży **Aby otrzymać dostęp do Klubowego pakietu prenumeraty Wyborcza.pl oraz do archiwum tekstów „Wyborczej”: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. ***Cena sugerowana



* w prezencie Magazyn „Na pamięć” z krzyżówkami i łamigłówkami na lato



CENA 179,90 zł***
oszczędzasz 48 zł



JAKI KRAJ, *taki* PREZYDENT

Z TIMOTHYEM GARTONEM ASHEM
ROZMAWIA MATEUSZ MAZZINI

Czy zwycięstwo Karola Nawrockiego to początek końca demokracji liberalnej w Polsce?

Odsunięcie PiS od władzy w 2023 roku nie było „powrotem do normalności”, tylko chwilowym potknięciem prawicowych populistów?

– Absolutnie nie. Podobnie jak w innych miejscach w Europie, także w Polsce walka pomiędzy siłami liberalnymi i, nazwijmy je, szeroko antyliberalnymi nadal trwa.

Polski przypadek jest może bardziej skomplikowany, bo z Nawrockim jako prezydentem niemożliwe stanie się przywrócenie praworządności, odbudowa sądownictwa i naprawa Trybunału Konstytucyjnego – czyli odnowa instytucji, które są niezbędne dla funkcjonowania liberalnej demokracji. Ale teraz i tak cała polska polityka będzie się koncentrować wokół tego, co wydarzy się w 2027 roku.

Wcale nie jest powiedziane, że wybory parlamentarne nie wydarzą się szybciej. Biorąc pod uwagę zapowiedzi Nawrockiego o chęci blokowania wszystkiego, co zaproponuje rząd, jest coś, co Tusk może jeszcze zrobić, żeby nie zostać uznany za winnego porażki i nie przegrać kolejnych wyborów?

– Zaczalbym od przypomnienia, że te wybory prezydenckie były uczciwe, równe i wolne. To niesłychanie ważna rzecz, o której nie można zapomnieć – przede wszystkim dlatego, że przed głosowaniem w 2023 roku nie było to wcale takie oczywiste. Dzisiaj można śmiało zakładać, że za dwa lata wybory też będą uczciwe i dobrze przeprowadzone. To ma ogromne znaczenie, bo dowodzi prawidłowego funkcjonowania demokracji.

Jeśli Tusk byłby w stanie zaspokoić potrzeby wyborców, zwłaszcza tych młodych, mógłby wygrać ponownie. Lecz teraz to będzie dwa razy trudniejsze, bo przecież te wybory były głosowaniem przeciwko – przeciwko Tuskowi w takim samym stopniu jak przeciwko samemu Rafałowi Trzaskowskiemu.

Kilka rzeczy jest pewnych już teraz.

Po pierwsze, Nawrocki będzie blokował prawie wszystko, co zrobi Tusk, dlatego że blokować Tuska najbardziej chce Jarosław Kaczyński.

Po drugie, przez najbliższe dwa lata sam Tusk musi szukać następcy.

Po trzecie, trzeba jednak próbować realizować obietnice wyborcze, zwłaszcza najważniejsze: dotyczące mieszkalnictwa, rynku pracy, prawa aborcyjnego.

Sporo Nawrocki i tak zawetuje, ale koalicja musi pokazać wyborcom, że podejmuje próby zmieniania rzeczywistości.

Na razie 10,6 mln osób zagłosowało na kandydata popieranego przez PiS niecałe dwa lata po odsunięciu tej partii od władzy. W dodatku trochę nam umyka fakt, że jeśli spojrzeć przez pryzmat pojedynku PiS vs. Koalicja Obywatelska czy Kaczyński vs. Tusk, a nie PiS kontra cała demokratyczna opozycja, to PiS wybory parlamentarne też wygrał. Tylko nie miał zdolności koalicyjnej, żeby rządzić.

Patrzę na te wyniki i zaczynam się zastanawiać, czy Tusk nie jest polską wersją Joego Bidena: liberalną przerwą pomiędzy kolejnymi etapami silnie prawicowego trendu, który dominuje na świecie.

– Całkowicie się z taką tezą nie zgadzam. Szczerze mówiąc, trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek, będąc u władzy, spisał się gorzej od Bidena.

A mówiąc poważnie – i nie mam co do tego żadnych wątpliwości – Donald Tusk jest jednym z najbardziej nadzwyczajnych polskich polityków po 1989 roku. Nie tylko z powodu jego osiągnięć w poprzednich dekadach, ale także tych ostatnich. Przecież wybory w 2023 roku wygrał w znacznie trudniejszych warunkach niż choćby Biden, masowo przy tym mobilizując wyborców, w tym najmłodszych.

Natomiast jeśli chodzi o ten większy trend i uznanie rządu Tuska za przerwę między PiS 1.0 i PiS 2.0, tak jak Biden był przerwą między Trumpem 1.0 i Trumpem 2.0, to wszystko zależy będzie od tego, co wydarzy się za dwa lata. W tej chwili nie ma sensu robić jakichś śmiałych przewidywań.

Ponadto nie przesadzajmy z tą legitymizacją Nawrockiego – on wygrał, ale dostał mniej niż 51 procent wszystkich głosów. To też bardzo ważna kwestia.

Natomiast te wybory unaocznily inny problem.

Jaki?

– Dysfunkcyjność polskiej konstytucji w zakresie uprawnień prezydenta. Ona zezwala de facto na dwu władzę parlamentu i prezydenta. A władza w Polsce, wszystko jedno, prawicowa czy lewicowa, byłaby znacznie wydajniejsza, gdyby prezydent funkcjonował w modelu zbliżonym do niemieckiego. Dzisiaj w Polsce prezydent ma silny mandat demokratyczny, ale nie posiada uprawnień do rządzenia w takim stylu jak na przykład prezydent Francji. Ma natomiast prawo weta, czyli bardzo silną kompetencję negatywną.

Wyobraźmy sobie Polskę działającą w systemie, w którym władza wykonawcza znajduje się w rękach premiera, a prezydent funkcjonuje jak cywilny monarcha konstytucyjny albo jak prezydent w Niemczech, bez jednoznacznej mocy kreowania rzeczywistości politycznej. Trzeba sobie zadać poważne pytanie, czy taki układ nie byłby dla Polski lepszy. Powtórzę – to nie ma nic wspólnego z byciem lewicowcem czy prawicowcem, tylko ze zdolnością do wprowadzania w życie woli wyborców.

A jak pan ocenia te wybory w kategoriach kulturowych? Chodząc na wiece Nawrockiego i wydarzenia organizowane przez prawicę, miałem nieodparte wrażenie, że jego wyborcy głosują nie tylko przeciwko rządowi Tuska, ale też przeciw bardzo konkretnemu stylowi życia. Że to było głosowanie przeciw klasie średniej, ale nie jako takiej, lecz tej wielkowiejskiej, przeciwko globalizmowi. A Trzaskowski te rzeczy uosabiał w stopniu wręcz karykaturalnym. Taką dynamikę obserwowaliśmy w ubiegłym roku w USA. W Polsce jest podobnie?

– Gdyby tak było, znaczyłoby to, że Polska jest po prostu zwykłym krajem demokratycznym, takim jak każdy inny. Dokładnie to samo można powiedzieć o wyborach w Wielkiej Brytanii, Francji, USA czy nawet w Rumunii. Po prostu w takim miejscu obecnie znajduje się nasza demokratyczna polityka.

Oczywiście w każdym przypadku istnieją jakieś partykularyzmy, konkretne konteksty lokalne, ale trend jest wszędzie taki sam. W Polsce może się wydawać, że ton dyskusji nadaje rywalizacja Tuska z Kaczyńskim, duopol i zmęczenie nim ludzi, zwłaszcza najmłodszych, którzy nie znają innej rzeczywistości. Ale to tylko pierwsza warstwa, głębiej zachodzą te sa-



Ludzie głosowali przeciwko Trzaskowskiemu nie z powodu jego programu czy związków z rządem, ale z powodu tego, kim jest, co sobą reprezentuje. Wielu ludzi o poglądach niekoniecznie bogoojczyźnianych nie może przejść do porządku dziennego nad faktem, że on jest liberałem, kosmopolitą, wielkowiejskim inteligentem

me procesy co w pozostałych zachodnich demokracjach.

W końcu nie da się ukryć, że Rafał Trzaskowski reprezentował tradycję inteligencji jako klasy społecznej. W Wielkiej Brytanii te podziały mają jeszcze silniejszy wymiar klasowy, we Francji wynikają z kolei ze statusu edukacyjnego, bycia absolwentem bardzo konkretnych szkół. Być może więc w sposób ironiczny pana diagnoza tylko potwierdza, że Polska stała się normalnym krajem europejskim.

Zaryzykuję, że podobieństwa pomiędzy polskimi i amerykańskimi wyborami na tym się nie kończą. Jeśli wsłuchać się w kampanijną retorykę Nawrockiego, to szybko się okaże, że on posługiwał się narracjami sprzed 20 lat, opierając się na katolicyzmie i antykomunizmie, krytyce nowoczesności, odrzucaniu wszystkiego, co przyszło



z Zachodu. To kropka w kropkę postulaty ruchu Make America Great Again.

– Wracamy więc do mojej poprzedniej obserwacji. Nie ma w tym nic oryginalnego, to klasyczne narzędzia, jakimi posługuje się współczesny populizm. Właściwie w każdej kampanii wyborczej mniej więcej od 2015 roku możemy zaobserwować te same narracje, tematy, punkty zapalne. Tylko że czasem są przechylone ku konkretnym problemom danego państwa i wtedy wydają się odmienne.

W amerykańskich wyborach kwestie gospodarcze odegrały znacznie większą rolę niż w Polsce, bo sporo Amerykanów naprawdę negatywnie odczuło zmiany wynikające z globalizacji. Na przykład w Paśmie Rdzy, niegdyś silnym tamtejszym przemysłem ciężkim i kopalniami, mnóstwo ludzi nie wzbogaciło się ani trochę, nie podniosło poziomu życia przez ostatnie kilkanaście lat. Wielu wręcz straciło swój dobytek, a potem uderzyła w nich inflacja.

W Polsce trudno mówić o tych samych problemach w identycznej skali, bo polska gospodarka po 1989 roku rozwijała się bardzo dobrze. Jasne – niektórym poszło świetnie, innym nie, ale zasadniczo wszystkim żyje się dzisiaj lepiej niż w poprzednim systemie. Dlatego w polskich wyborach bardziej niż w amerykańskich kluczową rolę odegrała płaszczyzna kulturowa.

Podejście do narodu jako wspólnoty, tego, kto się w niej mieści, definicja małżeństwa, związki partnerskie, aborcja, rola Kościoła – ale też polityka historyczna, stosunek do historii najnowszej: każda z tych rzeczy jakąś rolę w populizmie odgrywa zawsze, choć w różnych proporcjach. Nie ma więc przypadku w tym, że kandydatem PiS został historyk. Powiedziałbym nawet, że to historyk specjalnego rodzaju – raczej propagandzista historyczny. To wszystko jest spójne z tożsamością tej partii – w końcu to formacja, która wyrosła na gruncie silnej mitologii historycznej i mocnych narracji na temat przeszłości.

Dlatego wiarygodna jest teza, że ludzie głosowali przeciwko Trzaskowskiemu nie z powodu jego programu, ale z powodu tego, kim jest, co sobą reprezentuje. Wielu ludzi o poglądach niekoniecznie bogoojczyźnianych nie może przejść do porządku dziennego nad faktem, że on jest liberałem, kosmopolitą, wielkomięskim inteligentem.

Jeśli dodać do tego czynniki specyficzne typowe dla Polski, które nigdzie indziej nie występują w takim stopniu – czyli poparcie dla Brauna i rolę Konfederacji – nie dziwi mnie wynik taki jak 1 czerwca.

Tylko skąd się biorą te typowo polskie czynniki? I czy one naprawdę są typowo polskie? Przecież Braun nie różni się specjalnie od bardziej radykalnych głosów spod znaku MAGA. A rządy PiS z Konfederacją, które mogą nastąpić dzięki impetowi nadanemu przez Nawrockiego, mogą przebiegać tak samo jak druga kadencja Trumpa. Czysta polityczna zemsta, radykalizacja i nieprzewidywalność.

– Trudno nie docenić siły i wielkości poparcia dla Konfederacji. To jest bardzo dynamiczny ruch polityczny, doskonale posługujący się mediami społecznymi, silny na YouTube. Przyciąga ogromnie dużo młodych wyborców, zwłaszcza młodych mężczyzn. Jest to całkowicie nowa rzecz na polskiej scenie politycznej.

I z tego względu Polskę nie do końca można porównywać do USA czy Wielkiej Brytanii, bo tam wciąż system układa się dwubiegunowo. Polska jest raczej zbliżona do Holandii, w której notabene rząd dopiero co upadł. Tam też istnieje złożona, rozbita scena partyjna z wieloma podmiotami, które mogą odegrać ważną rolę.

Kluczowe dla polskiej polityki w ciągu najbliższych dwóch lat będą także wydarzenia w innych państwach. Jak będzie radzić sobie Trump? Jaka będzie pozycja Friedricha Merza w Niemczech? Kto wy-

• **Timothy Garton Ash: - Sporo ustaw Nawrocki i tak zawetuje, ale koalicja musi pokazać wyborcom, że podejmuje próby zmiany rzeczywistości. Na zdj. Karol Nawrocki na wiecu wyborczym w Białej Podlaskiej (30.05.2025)**

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

gra wybory prezydenckie we Francji? Polska naprawdę jest mocno podatna na ogólne tendencje polityczne, i te z Europy, i zza oceanu – a w szerszej perspektywie na świecie mamy do czynienia z silnym liberalnym odbiciem przeciwko Trumpowi. Macron, Keir Starmer w Wielkiej Brytanii, Mette Frederiksen w Danii – oni idą w przeciwnym kierunku niż prezydent USA i są na fali wznoszącej.

Jeśli na przykład Trump, którego wszystkie posunięcia zdają się być jednoznacznie szkodliwe dla amerykańskiej gospodarki, poniesie spektakularną klęskę w wyborach połówkowych w przyszłym roku, to odbije się też na polskim elektoracie. Wtedy bliskie związki z jego administracją mogą utracić swój urok i magię przynoszącą sukcesy.

Liberałowie wygrali również w Kanadzie, w której poparcie trumpistów okazało się pocałunkiem śmierci dla prawicy. Podobnie było w Australii czy w rumuńskich wyborach prezydenckich. A polscy wyborcy opowiedzieli się po stronie Trumpa.

– Owszem, poparcie od MAGA okazało się atutem dla Nowogrodzkiej w takim samym stopniu, w jakim było balastem dla kanadyjskich konserwatystów, ale te dwa przypadki są jednak odmienne. Trump obraził wszystkich Kanadyjczyków, atakując ich suwerenność, podczas gdy Polaków chwalił, nazywał „polskimi przyjaciółmi”.

Ale tu warto zwrócić uwagę na inny, szerszy trend, mianowicie sprzeciwu wobec nowoczesności – i na odwrócenie wektorów w tej kwestii pomiędzy USA i Europą. Przez setki lat Europejczycy patrzyli w kierunku Stanów Zjednoczonych, widząc tam jakiś model przyszłości, również własnej. A teraz amerykańska administracja puszcza nam film z naszą własną historią, tyle że od tyłu. Podstawą myśli politycznej J.D. Vance’a jest przecież społecznie konserwatywny nacjonalizm – czyli coś, co wywodzi się ze starej Europy. Pierwszy raz Amerykanie czerpią z europejskiej

historii i dlatego MAGA znajduje tyłu sojuszników w konserwatywnych społeczeństwach w Starym Świecie.

A w polskim przypadku dodatkową ważną rolę odegrała kwestia bezpieczeństwa, czyli bliskość Rosji Putina. Oczywiście to, co Trzaskowski mówił w debatach telewizyjnych – że po co skakać na jednej nodze, skoro można używać dwóch, dlaczego opierać się wyłącznie na Amerykanach, skoro można mieć jednocześnie silnych partnerów w Europie? – miało jak najbardziej sens. Ale okazało się, że dla większości polskich wyborców kluczem do bezpieczeństwa Polski wciąż jest wyraźna bliskość z Ameryką.

Nawet pomimo tego, że Trump jest już jednoznacznie antyeuropejski? Przecież w pewnym sensie wybór Nawrockiego można uznać za sprzeczny z kursem oczekiwanym przez Trumpa. Amerykanie mówią, że Europa musi zbroić się sama, być niezależna, tymczasem Nawrocki obiecuje, że przyklei Polskę do Stanów jeszcze bardziej. Gdzie tu logika?

– Nie ma sensu szukać logiki i spójności w polityce administracji Trumpa – to po pierwsze. A po drugie – w tej chwili Waszyngton ma dla Europy trzyczęściowe przesłanie. Geopolitycznie brzmi ono: „Brońcie się sami”. Geoeconomicznie: „Przestańcie nas dymać”, cytując samego Trumpa. A ideologicznie – i to jest akurat bardziej przekaz Vance’a niż Trumpa – Amerykanie będą wspierać europejskie siły antyliberalne w walce z Europą liberalną.

Dlatego te przekazy różnią się grupami docelowymi. Z ideologicznego punktu widzenia administracja Trumpa zaangażuje się po stronie Orbána, Le Pen, Nawrockiego czy rumuńskiej prawicy. Ale przesłanie o konieczności usamodzielnienia się jest skierowane akurat do całej Europy, nie do jej pojedynczych przywódców.

Tylko czemu oni tak mocno zaangażowali się akurat w polskie wybory? Byli aktywni w Niemczech, w Rumunii, ale to tutaj przyjechała sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego Kristi Noem, tutaj influencerzy MAGA tworzyli treści do internetu. Czy to wynika tylko z pozycji Polski na mapie? Z jej znaczenia strategicznego?

– Nie wydaje mi się. Takie szukanie większego planu i schematów w działaniu ludzi Trumpa nie ma większego sensu. Walka ideologiczna odbywa się w pewnym odseparowaniu od tego, co dzieje się na froncie geopolitycznym czy gospodarczym. W przypadku Polski chodziło głównie o ideologię.

Jak na te wybory zareaguje Unia jako instytucja? Gdy niedawno rozmawiałem z Martinem Wolfem z „The Financial Times”, powiedział mi, że jego zdaniem Unia nie jest odpowiedzią na bieżące kryzysy, bo jest zbyt złożona i skomplikowana, żeby się zmienić. Odpowiedzi szukać raczej w rozmaitych „koalicjach chętnych”. Będą teraz koalicje chętnych bez Polski?

– To skomplikowana sprawa. Ta teza jest w oczywisty sposób nieprawdziwa na wielu poziomach, a jednocześnie na innych coraz częściej znajduje potwierdzenie w rzeczywistości.

Przecież nie da się wygrać bez Unii na przykład wojny handlowej. Albo wprowadzić powszechnych regulacji. Albo zarządzać strefą euro, która już bardzo się zrosła wskutek wspólnej waluty. A zarazem rośnie liczba obszarów politycznych, w tym kluczowych dla całej Wspólnoty, w których rzeczywiście powstają lub będą powstawać te „koalicje chętnych”.

To bardzo ciekawe zjawisko. Spójrzmy na laudację, którą pod adresem Ursuli von der Leyen niedawno wygłosił Friedrich Merz, kiedy szefowa Komisji Europejskiej odbierała Nagrodę im. Karola Wielkiego. Niemiecki kanclerz mówił o jedności i determinacji w działaniu w kontekście



FOT. REUTERS/NATHAN HOWARD

Trump zaangażuje się po stronie Orbána, Le Pen, Nawrockiego czy rumuńskiej prawicy. Ale przesłanie „ukorzcie się i radźcie sobie sami” jest skierowane do całej Europy

konkretnych państw europejskich. Kilukrotnie wymieniał Wielką Brytanię, ale też Norwegię, czyli dwa państwa, które nie są w Unii.

Dodajmy do tego obrazek sprzed kilku tygodni, kiedy Tusk, Macron, Starmer i Merz jadą do Kijowa i razem pozują do zdjęć, mając w tle napis „koalicja chętnych”. To też jest przyszłość Unii, bo przecież do takich inicjatyw jak wspieranie Ukrainy w walce z Rosją Viktora Orbána nie da się przekonać.

Ale jakkolwiek patrzeć, trend jest jednoznaczny. Skrajna prawica rośnie w siłę, zwłaszcza wśród młodych ludzi. Czy europejski liberalizm jest w stanie znaleźć język, który odciągnąłby ich od radykalizmu? Celowo pytam o Europę, bo moim zdaniem ten nasz liberalizm jest bardzo odmienny od liberalizmu amerykańskiego.

– To na pewno jedno z kilku najważniejszych pytań dla przyszłości całej Europy. Politycy tacy jak Merz czy Tusk zdają sobie z tego sprawę. To pewne, tak samo jak fakt, że nie znaleźli jeszcze odpowiedzi. Zacząć jednak trzeba od zrozumienia, czego ci młodzi ludzie naprawdę chcą.

Myślę, że chodzi im przede wszystkim o jakąś formę stabilności i przewidywalnej przyszłości. Chcieliby żyć w systemie, w którym mogą coś osiągnąć, a widzą system, który się sypie, a im jest gorzej niż ich rodzicom.

– Elektorat skrajnej prawicy jest niejednorodny, więc popełniamy błąd, wrzucając ich wszystkich do jednego worka z napisem „radykałowie”. Wręcz przeciwnie, trzeba ten elektorat podzielić na małe grupki i zrozumieć ich potrzeby.

Spójrz na mieszkalność – to jest ewidentnie problem w całej Europie, w każdym kraju, bez względu na orientację polityczną. Zgadza się, że sporo ludzi, którzy głosują na skrajną prawicę, są motywowani na przykład frustracjami związanymi z rynkiem mieszkaniowym albo ogólnie z szansami życiowymi. Czasami też po prostu pragną nowości w polityce.

Te nastroje zagospodarowuje nie tylko skrajna prawica. W Polsce regularnie w badaniach fokusowych pojawiali się wyborcy, którzy po debatach telewizyjnych przenosili poparcie z neoliberalną Mentzena czy ultrakatolika Brauna na socjalistę Adriana Zandberga.

– W ogóle mnie to nie dziwi.

Mnie też nie dziwiło. Komentatorzy, zwłaszcza starsi, tłumaczą sobie często, że to młodzi wyborcy, których poglądy

nie są jeszcze do końca uformowane, ale raczej chodzi o to, że ci ludzie mają po prostu bardzo podobne pretensje do państwa i klasy politycznej. Ciekawi mnie, czy pana zdaniem liberalne centrum znajdzie na to odpowiedź, czy też zgniotą je jednoczesne ataki z dwóch skrajnych skrzydeł.

– Problemem są nie tylko ataki z dwóch flank, ale też to, że atakujący są bardzo liczni. W zdecydowanej większości europejskich demokracji scena partyjna staje się bardzo rozdrobniona, podzielona na małe partyjki. W takim układzie najgorszą rzeczą, którą mogłoby zrobić liberalne centrum, byłoby zamknięcie się na zmiany, powiedzenie sobie, że mamy rację – bo wtedy już na pewno niczego nie dowiezie.

To stało się we Francji, gdzie całe liberalne centrum skupiło się wokół Macrona. Podobny problem mają Niemcy – wciąż liczą na wielką koalicję SPD i CDU/CSU i uznają ją za główny nurt, tylko że ona już nie jest wcale taka wielka.

Jakby tego było mało, można sobie ten obraz skomplikować jeszcze bardziej. Przecież Konfederacja to nie jest jednolity twór. Ma członka nacjonalistycznego i członka neoliberalnego, rodem z czasów Margaret Thatcher i Ronalda Reagana. Trudno w czymś takim szukać spójności.

A czy tu nie chodzi o całkowitą redefinicję państwa jako organizmu politycznego? W całej Europie są miliony młodych ludzi, którzy się po prostu nie odnajdują wewnątrz dzisiejszej demokracji połączonej z wolnym rynkiem. Nie widzą dla siebie miejsca ani szans na przyszłość. Głosują więc na polityków, którzy to państwo chcą radykalnie zmienić, a nawet zburzyć i zbudować na nowo. Czy przyjdzie prywatyzujący wszystko Mentzen, czy chcący silnego państwa socjalnego Zandberg – wszystko jedno. Ważne, że będzie coś nowego, a stare pójdzie w odstawkę.

– Ta teza jest dla mnie aż zanedo teoretyczna. Skupmy się na tym, co wiemy na pewno. Gołym okiem widać, że europejskie demokracje nie są już w stanie zapewnić obywatelom takiego poziomu dóbr i usług, jak od lat 60. przez kilka kolejnych dekad. I że ludzie są bardzo niezadowoleni z bieżącą sytuacją oraz z tego, jak może wyglądać ich przyszłość.

Dlatego liberalna odpowiedź musi zawierać nową wizję przyszłości. To musi być wizja wiarygodna, zdolna przekonać ludzi – ale nie ma żadnego sensu mówić im, że dostaną od państwa pełen pakiet tak jak poprzednie pokolenia. To się nie wydarzy, nie oszukujmy się, to już będzie inna przyszłość.

Tylko jaką konkretnie wizję mógłby zaproponować ten zużyty europejski liberalizm? I jak przekonać masy, że ta wizja jest atrakcyjna, jeśli ma jej towarzyszyć trzeźwy, ale niezbyt zachęcający komunikat, że wam, młodym, nie będzie tak dobrze jak dziadkom i rodzicom?

– Nie podoba mi się słowo „masy”, ale jeśli pan pyta, czy liberalizm zgromadzi jeszcze tyle kapitału politycznego, żeby wygrać wybory, to jestem przekonany, że byłby w stanie to zrobić. Pamiętajmy, z kim przyszło nam walczyć. Populiści naprawdę nie są specjalnie dobrzy w rządzeniu. To nie jest tak, że bijemy się z politycznym ekwiwalentem Paris Saint-Germain czy Manchesteru City. Nie musimy od razu być najlepszą drużyną w historii. Wystarczy, żebyśmy byli lepsi od przeciwnika.

Spójrzmy na konkretny przykład: imigrację. To jest bardzo ważna kwestia dla wyborców niemal we wszystkich krajach, bo wiążą się z nią obawy i kulturowe, i obyczajowe, i ekonomiczne. Tymczasem wielu liberalnych polityków przejmując retorykę skrajnej prawicy w sprawie migrantów przy jednoczesnym braku sukcesów w rzeczywistym regulowaniu nielegalnej migracji. Dlatego tak wyróżniają się Tusk czy premierka Danii Mette Frederiksen, bo im naprawdę udało się nielegalną migrację zmniejszyć.

Właśnie to powinni robić liberalni przywódcy, zresztą nie tylko w tej kwestii. Dawać dowód na to, że rozumieją problem wyborców, osiągając konkretne cele, jednocześnie tłumacząc, jaka polityka będzie dla kraju najlepsza.

W tym przypadku – z jednej strony zmniejszyć liczbę osób, które do kraju dostają się nielegalnie, z drugiej – komunikować wyborcom, że legalni migranci jednak się im przydadzą. Bo mamy starzejące się społeczeństwa, bo potrzebujemy ludzi, którzy będą finansować nasze emerytury, którzy odmłodzą nasze kraje.

To bardzo dobry przykład problemu, który naprawdę dotyczy ludzi, a który można rozwiązać, jednocześnie redefiniując dyskurs wokół niego. Wtedy dostajesz zrozumiałą i atrakcyjną wizję przyszłości, a nie zwykłą imitację populizmu.

Liberalizm na pewno jest w stanie tak działać. A czy się na to zdobędzie – to już jest osobne pytanie. ●



Timothy Garton Ash

• (ur. w 1955 r.) – brytyjski historyk zajmujący się dziejami najnowszej Europy, publicysta, podróżnik. Autor wielu książek o polityce i historii najnowszej Europy. Jako jeden z pierwszych opisał Zachodowi fenomen „Solidarności”. Jest profesorem europeistyki na Oksfordzie i senior fellow w Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda. Niedawno nakładem Znaku ukazała się w Polsce jego najnowsza książka „Homelands. Historia osobista Europy”.

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Píše o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz właśnie ukazującej się „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.



Rząd, opozycja,
wybory 2027:
wiemy,
że nic nie wiemy

KTO BARDZIEJ IRYTUJE TUSKA

Kaczyński nie jest tak pewny siebie, jak się zdaje. Na pewien czas pozbył się Czarnka, ale wie, że jego plany mogą zdemolować Braun i Mentzen. A i Duda nie powiedział ostatniego słowa

Dominika Wielowieyska

Na funkcjonowanie koalicji rządzącej – obok tysiąca innych czynników – wpływ mają także relacje osobiste między politykami. Owszem, w żadnej partii nie ma tyle wewnętrznej nie-nawiści co w PiS: tam działacze podstawiają sobie nogi, w przeszłości z użyciem służb i prokuratury, a teraz donoszą na siebie wzajemnie na Nowogrodzką. Koalicja rządząca nie osiągnęła jeszcze tego stanu. Ale napięcia wewnątrz niej stają się coraz bardziej destrukcyjne. Nie jest przypadkiem, że liderzy partii koalicyjnych jakoś nie mogą wspólnie wystąpić na konferencji prasowej z premierem.

Donald Tusk ciężko znosi lidera Polski 2050 Szymona Hołownię, który nieustająco robi zwroty taktyczne i ustawia się w roli recenzenta rządu. Szef KO jest w stanie ukryć niechęć i trzymać nerwy na wodzy, ale wszyscy wokół wiedzą, że i marszałek Sejmu, i ministra funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz budzą jego irytację. Wcześniej pierwsze miejsce w rankingu postaci irytujących premiera zajmowała harcownicza Nowej Lewicy Anna Maria Żukowska, która przed wyborami parlamentarnymi w 2023 roku regularnie chadzała do PiS-owskiej telewizji publicznej i waliła w Koalicję Obywatelską z armaty. Ale Hołowni udało się zepchnąć ją z podium.

Pozostali koalicjanci i politycy Koalicji Obywatelskiej są przekonani, że frustracja Hołowni rośnie z powodu zbliżającej się utraty stanowiska marszałka Sejmu – bo z umowy koalicyjnej wynika, że to miejsce ma zająć jesienią jeden z liderów Lewicy Włodzimierz Czarzasty.

W poniedziałek u Moniki Olejnik lider PL2050 opowiedział się za otwarciem negocjacji w sprawie umowy koalicyjnej i stwierdził, że kładzie na stole kwestię swojego dalszego marszałkowania. Co prawda podkreślił, że nie jest to warunek trwania koalicji, za to, zachęcany przez dziennikarkę, wdał się w dywagację, że w sumie dobrze byłoby wymienić samego premiera.

Formalnie jednak Hołownia głosi przede wszystkim, że udział jego partii w koalicji uzależnia od realizacji pięciu postulatów: wyjęcia TVP spod bezpośredniego wpływu polityków, ustawy o odpartyjnieniu nominacji w spółkach skarbu państwa, ustawy o asystencji dotycząca osób z niepełnosprawnościami, wypisania z wykazu prac rządu dopłat do kredytów mieszkaniowych, ustawy zakazującej smartfonów w szkołach podstawowych.

W tych postulatach nie ma nic nadzwyczajnego: można o nich dyskutować, te rozwiązania są bardzo potrzebne. Obok nich są i żądania personalne, na przykład, aby Pełczyńska-Nałęcz została wicepremierką. – Szymon się przy tym upiera, tylko on jej broni, choć wszyscy uważają, że jest to osoba bardzo konfliktowa. Nawet sojusznicy z PSL nie chcą jej awansu – słyszę w koalicji.

Ale nie o listę postulatów ani kwestie personalne tu chodzi, lecz o sposób prezentacji i publiczne wypowiedzi polityków PL2050. Przedstawicielka tej partii, mini-

stra klimatu Paulina Henning-Kloska dopiero po roku i trzech miesiącach „dowiozła” ustawę wiatrakową do Sejmu. Jest wysoce prawdopodobne, że Karol Nawrocki jako prezydent ją zawetuje. Już większa szansa ta ustawa miałaby u Andrzeja Dudy, no ale o tym już można zapomnieć.

A podobnież jedna z najważniejszych partii w rządzie szła do władzy z gotowymi projektami. Dlatego inni koalicjanci patrzą sceptycznie na poczynania PL2050 i mówią po cichu: „A może byście w pierwszej kolejności poprawili swoją skuteczność?”.

Owszem, i Włodzimierz Czarzasty, i Władysław Kosiniak-Kamysz chcą na premierze wymóc rozmaite rzeczy programowe i personalne, dyskusja o podziale stanowisk w przyszłości trwa w najlepsze. Lecz w przypadku PL2050 chodzi o coś innego. Szymon Hołownia i jego partyjni koledzy obsadzili się w roli krytyków rządu i Koalicji Obywatelskiej. Wierzą, że dzięki temu ich notowania wzrosną. Bo Trzecia Droga źle wygląda w sondażach, a Hołownia dostał niecałe 5 procent głosów, mimo że całą kampanię prezydencką sprofilował tak, aby atakować kandydata KO Rafała Trzaskowskiego i atakować rząd. Niewiele mu to dało. Wynik prezydencki zły, sondaże nadal zle.

Nie ulega wątpliwości, że niektórzy zwolennicy KO zachowywali się fatalnie wobec marszałka Sejmu, szczególnie w sieci. Zwyczajnego chamstwa nie ma co usprawiedliwiać. Dziś ci fani są zatrudniani w spółkach skarbu państwa, co zwiększa kwasę w koalicji. Co więcej, wiele diagnoz stawianych przez polityków PL2050 jest słusznych. To, co napisała wiceministra edukacji Joanna Mucha o strategii KO na wybory prezydenckie – „PiS wziął do sztabu ludzi, którzy wygrywali wybory. Platforma wzięła do sztabu tych, co zawsze. Ludzi, którzy przegrali wszystkie kampanie. PiS robi skrupulatne badania i na ich podstawie profiluje kandydata, decyduje o tematach, o słowach. Platforma zamawia badania, płaci grube pieniądze, a potem jeden członek sztabu z drugim siadają i mówią, »eeee, nie wydaje mi się« – jak najbardziej zasługuje na uwagę.

Ale wiara w to, że receptą byłby Szymon Hołownia jako prezydencki kandydat Koalicji 15 Października albo że ratunkiem dla jego ugrupowania jest atakowanie własnego rządu, jest skrajną naiwnością. Nie, to

Trzeciej Drogi nie uratuje. Kolejne partie, które próbowały tego typu strategii w III RP, zostały już zapomniane przez wyborców.

Nie można być w koalicji i nie być jednocześnie – uważają koalicjanci koledzy PL2050. Jednak Hołownia nie odpuszcza. Tuż przed exposé Tuska znów zaprezentował konfrontacyjny ton, a ministra Pełczyńska-Nałęcz jako ilustrację stosunków wewnątrz koalicji rządzącej zamieściła na platformie X fragment filmu „Dzień świra” z politykami szarpiącymi biało-czerwoną flagę.

Doświadczeni politycy, tacy jak wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz czy wicemarszałek Sejmu, jeden z liderów Lewicy Włodzimierz Czarzasty, patrzą na to z łagodnym napominaniem i zrozumieniem. Nie krytykują Hołowni, starają się łagodzić emocje, Czarzasty nawet nie zgłasza pretensji do Hołowni, który chce obcesowo złamać umowę koalicyjną i zabrać mu stanowisko marszałka Sejmu.

Lider Lewicy jeszcze chwali Hołownię, podkreślając, że dobrze pełni funkcję marszałka. Faktycznie Hołownia dobrze sobie radzi, przede wszystkim rozbraja agresję PiS, osłabia polaryzację i w ten sposób stara się pokrzyżować plany Jarosława Kaczyńskiego, który chce maksymalnie nakręcić emocje.

Z kolei Kosiniak-Kamysz spokojnie tłumaczy, że najlepiej by było, aby Hołownia wszedł do rządu i objął jeden z resortów oraz zyskał funkcję wicepremiera. Ale w Koalicji Obywatelskiej słychać, że Hołownia nie chce, ponieważ woli nadal recenzować rząd i wyjaśniać Polakom, że on to by wszystko lepiej ogarnął. Czyli kontynuuje strategię, która mu przyniosła marny wynik w wyborach prezydenckich. Polska 2050 bardzo dobrze umie zdiagnozować przyczyny cudzej porażki, ale nie przedstawiła żadnej ciekawej analizy porażki własnego lidera i nie zamierza z niej wyciągać wniosków.

Dzisiejsze sondaże pokazują, że Koalicja 15 Października ma bardzo małe szanse na utrzymanie się przy władzy po następnych wyborach parlamentarnych. Czy środowe exposé było naprawdę nowym otwarciem,



Nowogrodzka obstawia Nawrockiego oficerami politycznymi, ale tak, aby prezydent elekt myślał, że sam sobie dobrał ludzi

które natchnęło nadzieję wyborców szerokiego sojuszu lewicy, centrum, ludowców i chadecji?

Było raczej skalibrowane pod elektorat Koalicji Obywatelskiej. Premier mówił dużo o PiS i rozliczeniach. Występ był retorycznie sprawny, motywujący, uspokajający. I nadal nie ma w Koalicji 15 Października polityka, który byłby w tej dziedzinie bardziej przekonujący niż szef rządu. Ale nie robił wrażenia nowego otwarcia, które porwałoby tłumy. Stwierdzenie, że rząd wiele zrobił, tylko nie uświadomił tego obywatelom, to objaw desperacji. Choć gwo-li sprawiedliwości trzeba przyznać, że rząd Mateusza Morawieckiego głównie koncentrował się na budowaniu przekazu medialnego. Widać to w mailach wykradzionych ze skrzynki byłego szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka: każdą sprawę ogrywali propagandowo. To właśnie z tych konwersacji pochodzi słynne sformułowanie Morawieckiego, skrajnie cyniczne „polityczne złoto”.

Niemniej odrobina autoreklamy nie zaszkodzi, jeśli chce się wygrywać, a ekipa Tuska nie potrafi tego robić. Mimo że byłoby się czym chwalić – weźmy choćby świetne efekty finansowania in vitro z budżetu czy odblokowanie Krajowego Planu Odbudowy i napływ funduszy unijnych. Lecz jakoś nie przebiło się do świadomości społecznej, że podpisywane są kolejne umowy w ramach KPO, dotyczące infrastruktury kolejowej, internetu szerokopasmowego, transformacji energetycznej czy ochrony zdrowia. Więc pochwały za te inwestycje pewnie będą zbierać ci, którzy będą rządzić po 2027 roku, bo skutki zobaczymy za kilka lat. Czyli być może obecna opozycja, która – o przewrotny losie – zrobiła wszystko, aby pieniądze z KPO do Polski nie popłynęły.

Ruszący inwestycje, stabilizuje się inflacja. Są programy społeczne, takie jak babciowe czy renta wdowia. Jest o czym opowiadać. A co w tym czasie robi zaplecze Koalicji Obywatelskiej? Fundacja Twój Głos Jest Ważny, z tym zapleczem związana, wypuszcza serię spotów, rzekomo profrekwencyjnych, w których wyborcy PiS czy Konfederacji są przedstawiani jako prostacki, nienawistny zaścianek i ciemnogród.

PiS ogłosił, że fundacja dostała pieniądze ze spółek skarbu państwa. Fundacja tłumaczy, że owszem, ale na kampanię profrekwencyjną przed wyborami europejskimi w połowie 2024 roku i już z tych grantów się rozliczyła. Teraz robiła spoty za pieniądze prywatne. Ale czy to zmienia obraz sytuacji? Tym bardziej że spoty sprzed wyborów do Parlamentu Europejskiego niewiele się różnią stylem od tych wyprodukowanych w kampanii prezydenckiej.

Podobny wydźwięk miały materiały prezentowane na dwóch profilach na Facebooku, których finansowanie nadal stanowi zagadkę. Czy pomogły? Czy pomogła TVP, która w końcówce kampanii przed drugą turą faworyzowała na antenie Trzaskowskiego? Po wyniku wyborów prezydenckich można stwierdzić, że nie bardzo. A niezły spot opowiadający o ułatwieniach dla przedsiębiorców pojawił się dopiero – uwaga! – w czasie ciszy wyborczej i zamiast przyciągnąć uwagę treścią, był krytykowany jako przykład omijania przepisów Kodeksu wyborczego.

Tuskowi i koalicji brakuje takich projektów, które by natchnęły Polaków optymizmem, były symbolem aspiracji, skoku cywilizacyjnego i nowych wyzwań. Znów przywołuję z przeszłości Euro 2012 czy choćby projekt futbolowych orlików w każdej gminie. To musi być coś, co zapada w pamięć.

Może Centralny Port Komunikacyjny? – pomyśleli rządowi stratedzy od wizerunku. Co prawda PiS nie zaczął nawet budowy i został kompletnie nierealistyczny harmonogram, ale legenda tego pro-

jektu trwa. Rzecz w tym, że Tusk nie zaproponował niczego nowego. To, co głównie usłyszeliśmy, to skorygowana kontynuacja działań PiS, czyli elektrownia jądrowa, CPK, 800+.

Przez dwa i pół roku wiele rzeczy może się zdarzyć. Kosiniak-Kamysz i jego ludzie analizują swoje możliwości, robią badania, bo wiedzą, że zapewne trzeba będzie w ostatnim roku rządów K15P sięgnąć po nowe rozwiązania. Tusk i Czarzasty też wiedzą, ale zdają sobie sprawę, że receptą na problemy nie są klótnie wewnątrz koalicji. Wręcz przeciwnie: to sprawia, że tracą wszystkie partie rządzące, a ludzie mają poczucie chaosu i niepewności.

Słowa Tuska o tym, że zna smak zwycięstwa i gorycz porażki, ale nigdy nie zgodzi się na kapitulację, bo rząd ma mandat pochodzący z wyborów parlamentarnych i poparcie ponad 10 milionów wyborców z wyborów prezydenckich, wybrzmiały mocno. Słowa, że każdy polityk zna to uczucie, „no może poza debutantami politycznymi”, łatwo można odebrać jako przytyk wobec Hołowni. To on ma najkrótszy staż polityczny spośród liderów partii koalicyjnych. A Tusk wzmocnił ten trop, mówiąc, że „zmarnowanie tej kadencji, bo komuś się odechciało albo się przestraszył” nie może się zdarzyć.

Obietnice złożone przez premiera to jest pewne minimum, które jednak nie da zwycięstwa w 2027 roku. Na razie rząd zamierza przekonywać Polaków, że energicznie pcha wózek do przodu, jednak niewykluczone, że w koalicji nastąpi jakieś przetasowanie przed wyborami parlamentarnymi. Można się spodziewać potężnego przegrupowania personalnego. Nie można nawet wykluczyć zmiany premiera.

Ale jeśli, to dopiero pod koniec kadencji. Przegrana w wyborach prezydenckich potężnie osłabiła Tuska, ale nadal nie ma silniejszego od niego polityka. Co nie znaczy, że koalicjanci nie próbują. Chcą włączyć w krąg rządowy Rafała Trzaskowskiego, nawet nie mieliby nic przeciwko temu, by to on stanął na czele rządu.

Skąd taka miłość do prezydenta Warszawy? Bo sądzą, że on pozwoli im rozwinąć skrzydła. Lewica i Trzecia Droga postrzegają Tuska jako ofensywnego gracza i kłusownika, który poluje na ich terenie i blokuje poszerzenie bazy wyborczej. Sojusznicy mają żal do KO, że zachwyca się sondażami, w których tej partii wzrosło o dwa procent, podczas gdy w tym samym sondażu koalicjanci zaczynają tonąć, a K15P nie ma większości. – To z czego Donald się cieszy? – pytają.

Zresztą taki podtekst miał spór o to, czy rząd ma mieć rzecznika prasowego. Do tej pory Tusk uważał, że on sam najlepiej będzie się komunikował z elektoratem K15P i nie bardzo chciał się dzielić z innymi tą rolę. Zdominował przestrzeń medialną. Ofensywność Hołowni też jest swego rodzaju znerwicowaną odpowiedzią na tę strategię Tuska.

Mimo to nic nie wskazuje, aby koalicja miała się rozpaść. A poza tym w ciągu dwóch lat wiele może się zdarzyć także po stronie opozycyjnej.

Gdy w exposé Tusk zwracał się do jednego z liderów Konfederacji, Sławomira Mentzena, by pragmatycznie podszedł do pracy nad deregulacją, miało to wymiar symboliczny. Tak jak i piwo, które z Mentzenem wypili w Toruniu Radosław Sikorski i Rafał Trzaskowski.

Nigdzie nie jest powiedziane, że PiS pozyska Konfederację jako koalicjanta. Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka, który ciąży do Nowogrodzkiej, na pewno by tego chciał, ale Mentzen stawia wyżej poprzeczkę. I dobrze zna polityczną historię najnowszą. Wie, w jaki sposób mniejszych koalicjantów traktuje Tusk, a jak Kaczyński.



Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka ciąży do Nowogrodzkiej, ale Mentzen stawia wyżej poprzeczkę. I dobrze zna polityczną historię najnowszą. Wie, w jaki sposób mniejszych koalicjantów traktuje Tusk, a jak Kaczyński

Tusk od 2007 roku, kiedy pokonał pewny siebie PiS w ogłoszonych przez premiera Jarosława Kaczyńskiego przedterminowych wyborach, ciągnął w górę w PSL. A tuż przed kluczowymi wyborami w 2023 roku wezwał do głosowania na Trzecią Drogę. PiS z kolei deklarował wielokrotnie, że chce PSL utopić. No i co zrobił Kaczyński tuż przed wyborami parlamentarnymi w 2023 roku? Zablockował Konfederatom dostęp do mediów publicznych, a tuż przed dniem głosowania odpalił podsłuchaną rozmowę szefa Najwyższej Izby Kontroli Mariana Banasia, którego syn Jakub startował z list Konfederacji. Po to, aby konfederatów pogrążyć.

A przede wszystkim nawet wśród młodych polityków żywa jest pamięć, jak za „pierwszego PiS”, bezwzględnie pochłoniął „przystawki”. Rozegranie i zniszczenie Samoobrony, partii gniewu ludowego trybuna Andrzeja Leppera, i bogoojczyńskiej Ligi Polskich Rodzin młodego narodowca Romana Giertycha, przeszło do annałów politycznej brudnej roboty.

Konfederacja może zaryzykować, licząc, że mądrzejsza o tę wiedzę zdoła rzadzić z PiS – ale musi się liczyć z tym, że Kaczyński będzie chciał mieć pod pełną kontrolą służby, policję, wojsko i prokuraturę. Czyli główne narzędzia do wykończenia koalicjanta, a w każdym razie ograniczenia jego wpływów.

Tusk rozpoczyna więc grę, która ma Konfederację jeszcze bardziej uświadomić o jej przyszłości w związku małżeńskim z Nowogrodzką. Wie także, że w samej „Konfie” jest spore pęknięcie: Bosak ciąży do PiS, Mentzen chce trzymać do PiS dystans. Dlatego obcesowo potraktował i obśmiał plan Kaczyńskiego powołania rządu technicznego.

wał i obśmiał plan Kaczyńskiego powołania rządu technicznego.

Nie wieszczę koalicji którejś z partii rządzących z Konfederacją, ale warto pamiętać, że układanki rządowe w przyszłości mogą wyglądać zupełnie inaczej, niż dziś sobie wyobrażamy. Może nadchodzi zupełnie inny rodzaj polaryzacji: bardziej na linii Zandberg – Mentzen niż na linii Tusk – Kaczyński.

Z drugiej strony, obecny podział Lewicy jest groźny. Bo Nowa Lewica i Razem dostają w 2027 roku poniżej 5 procent – a więc tyle, ile zanotowali, co prawda każde z osobna, Adrian Zandberg i Magdalena Biejat w wyborach prezydenckich) – i wypadają z Sejmu. Dzięki czemu Kaczyński z Konfederacją oraz Grzegorzem Braunem zyskają większość konstytucyjną i za betonowują – tak jak Wiktor Orban na Węgrzech – system polityczny, by bardzo utrudnić opozycji zdobycie władzy.

Kaczyński na to liczy, będzie emablował Zandberga i – wbrew deklaracjom niektórych polityków PiS – nie chce przyspieszonych wyborów. Chce przez najbliższe dwa lata osłabić Konfederację, która potężnie urosła i może się stać równorzędnym partnerem dla Nowogrodzkiej.

W dodatku spełnia się czarny sen i liderów Konfederacji, i liderów PiS: Grzegorz Braun i jego partia Korona rośnie w siłę i ma szansę przekroczyć 5-procentowy próg, co może poważnie zdemolować plany Kaczyńskiego. Braun jest bowiem nieprzewidywalny i niesterowalny. PiS tymczasem nadal w sondażach nie dogania swojego wyniku z wyborów w 2023 roku i może być zdany na łaskę furiata i mło-

dego aroganta. W kręgu zaufanych Nowogrodzkiej trwa więc narada, jak Mentzena i Brauna zmarginalizować.

Jakie aktywa ma tu Kaczyński? Pałac Prezydencki. Prezesa PiS i prezydenta elekta Karola Nawrockiego łączy potężna emocja, czyli chęć zniszczenia Tuska, dlatego na Nowogrodzkiej panuje przekonanie, że obaj panowie będą grać do jednej bramki.

Jednak Kaczyński obawia się, że Nawrocki za bardzo będzie myśleć o reelekcji, która bez poparcia wyborców Konfederacji i Brauna jest niemożliwa, zamiast o realizowaniu planów PiS, czyli o osłabieniu Konfederacji. Kaczyński chce też zablokować jakiegokolwiek kanały dialogu między Nawrockim a Kosiniakiem-Kamyszem. Prezes robi wszystko, aby nowy prezydent zapomniał, że stanowisko prezesa IPN zawdzięcza też PSL. Bez głosów ludowców młody historyk nie miał szans.

Dlatego Nowogrodzka obstawia Nawrockiego oficerami politycznymi, ale tak, aby prezydent elekt myślał, że sam sobie dobrał ludzi. Główną postacią operacji jest Przemysław Czarnek jako szef kancelarii prezydenta. Były minister edukacji jest ofensywny, lubiany w partyjnych dolach i będzie realizował agendę Nowogrodzkiej. Co prawda do tej pory stanowisko szefa kancelarii uważano za mało polityczne i raczej administracyjne, ale Kaczyński chce kontrolować w Pałacu każdy aspekt. A temperament i wyrazistość Czarnka gwarantują, że na pewno nie utonie w papierach i da o sobie znać. Jednocześnie Kaczyński przynajmniej na jakiś czas przekierowuje gdzie indziej czas i energię silnego polityka, który aspiruje do roli lidera i następcy prezesa.

Do tego do Pałacu Prezydenckiego wybierają się Paweł Szefernaker, opromieniony sukcesem szef kampanii prezydenckiej, jako szef gabinetu, i były wiceszef MSZ Marcin Przydacz, który ma odpowiadać za sprawy zagraniczne. Ludzie samego Nawrockiego są na dalszych pozycjach.

Ale to, że Kaczyński mebluje gabinet nowego prezydenta, nie znaczy, że zapomni o starym. Potwornie drażni go to, że Andrzej Duda wciąż myśli, iż może zostać premierem rządu PiS – Konfederacji jako kandydat kompromisowy, łączący oba ugrupowania. Prezes PiS uważa, że z Dudą nie da się nic ustalić, co pięć minut zmienia zdanie, ulega emocjom, więc rząd z takim premierem jawi się Nowogrodzkiej jako koszmar.

Zwłaszcza gdyby – kolejny z lęków Kaczyńskiego – to wolnościowcy Mentzena zdominowali Konfederację. Bo Mentzen zamierza ograniczyć wpływy narodowców, uważając, że to on z jego gigantycznymi zasięgami na YouTube i TikToku zapewni partii wzrost, a nie Bosak, który w wyborach prezydenckich pięć lat temu zrobił dwa razy niższy wynik. No i, uważają wolnościowcy, wciąż nie bez znaczenia jest to, co jeszcze przed decyzją, kto będzie kandydatem Konfederacji, Mentzen powiedział Bosakowi: Krzysiu, ja mam pieniądze, a ty nie, i to rozstrzyga sprawę.

A ustępujący prezydent nie rezygnuje z polityki. Ostatnio zastrzył retorykę i walczy o rząd dusz w elektoracie PiS, a w przekonaniu, że premierstwo jest możliwe, utwierdzają Dudę jego szef gabinetu i zaufany doradca Marcin Mastalerek i poseł Konfederacji, niegdyś mentor Mentzena, Przemysław Wipler. Dla obu to główna szansa na utrzymanie się na powierzchni. Mastalerek jest bowiem na czarnej liście Kaczyńskiego z powodu dawnych sporów, a Wipler jest skłócony nie tylko z narodowcami, ale także z otoczeniem dawnego protegowanego.

Kotłują się te scenariusze po prawej stronie i także dlatego wieszczę przyszości na podstawie dzisiejszych sondaży jest obarczone sporym ryzykiem. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Karolina Słowik

Liceum w średnim mieście. Lekcja francuskiego w drugiej klasie. Pani oddała kartkówki po trzech tygodniach. Anka wstała i powiedziała, że oceny są nieważne, bo według statutu szkoły nauczyciele muszą oddać prace po dwóch tygodniach.

Panią najpierw замуrowało.
– Nakrzyczała na mnie. Powiedziała coś w stylu, że ona jest dla nas taka dobra, a my teraz z takim czymś jej wychodzimy. I że ona czuje się przez to zraniona. I że jutro wszyscy piszą kartkówkę jeszcze raz i tym razem wpiszcie oceny w przeciągu dwóch tygodni – opowiada Anka.

Na klasowym czacie było burzliwie. „Anka z jakąś konstytucją wyskoczyła”, „To nie jest nauczycielka, do której tak można fikać”.

– Nie byli na mnie źli. Powiedzieli, że nie zrobiłam nic złego i że to ona ma coś z głową. Ale że może bym napisała do niej i przeprosiła. I musiałam się przed nią płaszczyć, żeby nam odpuszcila, bo nie chciałam, żeby przez moje gadanie klasa cierpiała.

Anka napisała do pani profesor oficjalne przeprosiny na Vulcanie. Zaznaczyła, że docenia jej wysiłki dla klasy, i prosi, żeby jednak kartkówki nie było.

– Nie chciałam narażać się w klasie. Nienawidzę, jak są nie mnie źli – mówi.

Klasa Anki niektórych nauczycieli się boi. Ale wychowawczynie sami sobie wybrały. Poprzednia, którą przydzielił im dyrektor w pierwszej klasie, nie spełniła – jak mówią – ich oczekiwań. „Nie było jej” – skarżyli się. „Nie rozmawiała z nami”, „Ciagle mówiła, że jest zajęta, bo ma małe dziecko”, „Wychowawczynie nieobecna”, „Miała nas totalnie w dupie”. Zaangażowali rodziców, odbyło się kilka zebrań, padły argumenty, że nie będą dobrze przygotowani do matury, jeśli nauczycielka będzie wiecznie nieobecna. I doprowadzili do zmiany.

Sami wskazali następczynię: otwartą, uśmiechniętą, empatyczną, która zawsze bierze stronę uczniów. A z innymi nauczycielami ma na pieńku, bo podnosi porzeczkie swoimi autorskimi lekcjami.

Poprzednia wychowawczynie poczuła się na tyle urażona, że na koniec roku nie

Szkoła marzeń

KTO SIĘ BOI UCZNIŃ

Licealiści wywalczyli sobie nową wychowawczynię. Otwartą, zaangażowaną. W pokoju nauczycielskim jej nie lubią.

przyjęła od nich kwiatów. Nie mogli uwierzyć.

– Z pomocą trójki klasowej dopieiliśmy swego. Matki się kłóciły i uciszały nawzajem. Ale postawiliśmy na swoim. Tamta wychowawczyni? Jest beznadziejną nauczycielką. Z przypadku. Nie wie, po co jest w szkole. A może ma problemy psychiczne? Jakaś depresja czy coś. Może poporodowa – mówi Anka. – Co oczywiście nie usprawiedliwia jej zachowania. Bo to nam powinno być dobrze. Ta cała akcja pokazała, że klasę mamy mistrzowską! Zjednoczyliśmy się w takiej koalicji, że to jest niesamowite – dodaje.

Mroźna aura Czarnka

Inny przykład z 2021 roku. Ministerstwem Edukacji rządzi Przemysław Czarnek. Próbuje przepchnąć ustawę, która da władzę absolutną kuratorom oświaty.

Mimo że „lex Czarnek” nigdy nie weszło w życie, działało na szkoły jak Bu-ka z „Muminków”: mroziło wszystko dookoła.

Dyrektorzy i nauczyciele woleli odpuszczać, nie robić nic, niż się narażać. Co innego uczniowie.

Mateusz Drwał, ówczesny maturzysta i przewodniczący samorządu uczniowskiego z I LO w Giżycku, zaprosił na spotkanie do swojej szkoły krakowskiego sę-

dziego Waldemara Żurka, który otwarcie krytykował zmiany wprowadzane w wymiarze sprawiedliwości przez PiS.

– Zaproponowałem sędziemu Żurkowi, by przyjechał do nas do szkoły i opowiedział o zawodzie sędziego. Początkowo pani dyrektor nie widziała przeszkód – mówi Mateusz „Wyborczej”.

Dyrekcja jeszcze przed wakacjami wspierała ten pomysł, ale w mediach robiło się coraz głośniejsze o projekcie ustawy Czarnka.

– Pani dyrektor jednak stwierdziła, że musi zapytać kuratorium o zgodę. Poprosiłem o podstawę prawną i poinformowałem ją, że „lex Czarnek” jeszcze nie obowiązuje. Przyznała mi rację i zgodziła się na organizację spotkania. Potem jednak ktoś życzliwy z kuratorium w rozmowie prywatnej odradził jej, mówiąc, żeby nie robiła sobie problemów. Pani dyrektor w ostatniej chwili cofnęła zgodę w obawie przed reakcją kuratorium – opowiadał Mateusz.

Sebastian Krahel, nauczyciel geografii i opiekun samorządu uczniowskiego, mówił, że podziwia Mateusza i jego zdolności organizatorskie.

– Ale wiemy, jak szkoły się zmieniały pod płaszczykiem odideologizowania. A właśnie to ideologia kazała nam się cofnąć. Pani dyrektor doskonale wie, że nie może

sobie pozwolić na przypięcie szkole politycznej latki. A sama osoba sędziego Żurka, z całym szacunkiem, przyciągnęłaby uwagę. Niezależnie od tego, co by powiedział na spotkaniu – stwierdził.

Mateusz na znak protestu zrezygnował z funkcji przewodniczącego samorządu uczniowskiego. W oświadczeniu napisał, że cofnięcie zgody na spotkanie z sędzią Żurkiem odbiera „jako bezpośredni rezultat nasilonej w ostatnich miesiącach kampanii nacisków i wywierania presji na nauczycieli”.

I podkreślił: „Otwarcie sprzeciwiam się działaniom Ministerstwa Edukacji i Nauki kierowanego przez Ministra Przemysław Czarnka, które zmierzają do zlikwidowania niezależności szkolnictwa i godzą w podstawowe wolności nauczycieli i uczniów”.

Nowacka odczarowuje Czarnka (i dostaje po głowie)

Minister Czarnek minął jak zły sen. Szkoły się odmroziły, nadzór pedagogiczny sprawują nad nimi „uśmiechnięci” kuratorzy oświaty. Barbara Nowacka wymieniła ich właściwie od razu, jak tylko przejęła stery w MEN.

A uczniowie? Mają na coś wpływ?

– Tak wiążąco, to na nic – odpowiada Łukasz Korzeniowski, były prezes Stowarzyszenia Umarłych Statutów (SUS). Zasiada teraz w zespole przy MEN, który przygotowywał projekt dotyczący Rzecznika Praw Uczniowskich.

Samorząd szkolny może wydać opinię. Może wydawać gazetkę, zorganizować festyn. Ale wszystko zależy od dyrektora szkoły.

– Podejście dyrektora szkoły do samorządu uczniowskiego i do samych uczniów w dużym stopniu determinuje to, czy młodzież będzie miała wpływ na cokolwiek, czy nie. Znam skrajne przykłady: jest dyrektor, któremu zależy, który słucha uczniów i sam ich zachęca do aktywności. Są też takie przypadki, kiedy wiadomo, że z dyrektorem nie ma co rozmawiać – mówi Korzeniowski.

Czarnek trzymał szkoły pod butem kuratorów, dyrektorów zastraszał, do uczniów zwracał się lekceważąco. – Młodzież nie chciała być traktowana przedmiotowo, a minister mówił do nich z pozycji moralnej wyższości: o „lewackich” organizacjach wchodzących do szkoły, o tym, że

LGBT to nie ludzie, prawa człowieka nazywał „konceptem” – wymieniała w wywiadzie dla „Wyborczej” dr Igra Kazimierczyk z fundacji Przestrzeń dla Edukacji.

– Taki 15-letni licealista do osiągnięcia swojej osiemnastki słyszał, jak minister mówi o dzikach, o przymusie rodzenia dla kobiet, słyszał, jak drwi z ludzi, zakazuje chłopcom nosić spodnie rurki. W jego języku było tyle buty, arogancji i zwykłego chamstwa, że nie sposób było tego słuchać – podkreślała.

Nowacka od początku swojej kadencji próbuje odwrócić ton, który nadał Czarnek.

– Szkół trzeba dostosować do wyzwani XXI wieku. Najpierw zadajmy sobie jednak pytanie: dla kogo jest szkoła? Pamiętajmy, że w centrum zawsze musi stać uczeń. Jego dobrostan, kompetencje, wiedza, przygotowanie do dorosłego życia – mówiła Nowacka w wywiadzie dla „Wyborczej” tuż po objęciu ministerialnej teki. I jest w tym konsekwentna.

Oprócz wymiany kuratorów jedną z pierwszych prouczeniowskich zmian miało być ograniczenie zadań domowych. Efekt obliczony był na wytworzenie wizerunku władzy, która słucha najmłodszych. Bo tę zmianę zapowiedział jeszcze w kampanii parlamentarnej Donald Tusk – po wiecu, na którym głos zabrał Maciek z Włocławka. Mówił, że do domu mają tak dużo zadane, że nie mają czasu na odpoczynek.

Rozporządzenie dotyczące ograniczenia zadań domowych w szkołach podstawowych pojawiło się tuż po objęciu gabinetu w MEN przez Barbarę Nowacką.

Nowa ministra nie przewidziała jednak, że środowiska nauczycielskie zaprotestują. Nauczyciele wytknęli nowej ministrze, że ogranicza ich autonomię i wchodzi w metodykę ich pracy. Zresztą, przy każdej prouczeniowskiej zmianie Nowacka miała pod górkę z nauczycielami.

Podobnie było z projektem ustawy o Rzeczniku Praw Uczniowskich (RPU).

„A gdzie nasz rzecznik?”

„Uczeń w szkole jest hierarchicznie podległy. Jego prawa często są naruszane” – zaznaczyli autorzy projektu. RPU ma być receptą. Będą działać na poziomie szkolnym, samorządowym lub wojewódzkim oraz krajowym.

Krajowy Rzecznik Praw Uczniowskich będzie powoływany na cztery lata i będzie mógł pełnić tę funkcję przez dwa lata. Będzie powoływać go minister edukacji na drodze otwartego konkursu. Rzecznik ma działać jednoosobowo przy MEN.

Krajowy rzecznik – na wniosek kuratoriów oświaty – będzie powoływał 16 wojewódzkich rzeczników praw uczniowskich. Rzecznicy wojewódzcy będą działać przy kuratoriach.

Samorządowi rzecznicy praw uczniowskich będą powoływani (nieobowiązkowo) przez samorządy.

Szkolnych RPU wybierać będzie rada szkoły spośród nauczycieli danej placówki. Uczniowie będą mogli ich wspomagać.

Nauczyciele na to: „A gdzie nasz rzecznik?”, „Kto zadba o nasze interesy?”, „Uczniowie już teraz nas nie szanują”.

– Niespodzianka! W Karcie nauczyciela jest wiele uprawnień nauczycielskich. Jest art. 63, który przyznaje taką ochronę, jak funkcjonariuszowi publicznemu. Jest kodeks pracy, a tam zakaz dyskryminacji. Jest przepis zakazujący mobbingu. Jest kwestia ochrony sygnalistów. Jest inspekcja pracy. Są w końcu związki zawodowe – wymienia jednym tchem Łukasz Korzeniowski.

I dodaje, że jeśli nauczyciele boją się, że przez RPU ich autorytet osłabnie, to niech się nie boją.

– Jeśli autorytet nauczycieli osłabł, to nie przez prawa uczniów. Istotny zresztą jest autorytet nieformalny, a na niego trzeba zapracować, mówiąc brutalnie. Jest wielu nauczycieli szanowanych przez uczniów. Zdarza się inaczej. Gdy pytam

Rzecznik Praw Uczniowskich? Nauczyciele się burzą: „Uczniowie już teraz nas nie szanują”

dłaczego, to słyszę: „Pani na każdych zajęciach krzyczy i się z nas śmieje”. „Pani robi specjalnie trudne sprawdziany”. „Pani nie potrafi tłumaczyć, a jak mówimy, że nie rozumiemy, to nas nie słucha”. Albo: „Traktuje nas poniżająco”. Możemy zapisać w ustawie, że nauczyciel ma autorytet, ale co to znieni? Autorytet formalny nauczycieli jako całej grupy zawodowej nie może być zadekretowany, a jeśli trzeba go wzmocnić, to chyba nie przez sprzeciw wobec RPU – mówi.

I przytakuje, gdy pytam, czy czas władzy absolutnej dyrektorów i nauczycieli w szkołach się skończył.

– Bo kto kiedyś składał skargi? Obawiano się tego. Ale zmiana w społeczeństwie już zaszła. Coraz częściej my, obywatele, mówimy władzy, pracodawcom: „Stop, nie zgadzam się na takie traktowanie”. Niektórzy latami znosiliby mobbing w pracy. A teraz? Mówią nie. I to samo jest w społecznościach szkolnych – mówi Korzeniowski.

Problem jednak w tym, że szkoły czasem nie reagują na skargi rodziców i uczniów. – Szkoła nie zawsze potrafi tym zarządzać. Albo dostaje skargę i ją olewa. Albo odpowiada półsłówkami – wymienia były prezes stowarzyszenia SUS.

– A jeśli wiem, że dyrektor łamie statut szkoły, może kiedyś powiedziałbym: „Trudno, trzeba przeboleć, taka pani jest i się nie zmieni”. Teraz rodzic czy uczeń mówią: „Nie. Wymagamy, żeby ktoś nam pomógł”. Od tego jest kurator oświaty. Myślenie, że to narzędzie do represjonowania nauczycieli, jest dla mnie manipulacją. Moglibyśmy mówić o represjach, gdyby po skardze dochodziło do niezasadnych ingerencji organów nadzoru, szikan, nękania – i byłoby to systemowo sankcjonowane. Ale prawo do skargi ma każdy, może ją złożyć, ma prawo oczekiwać, by została ona rozpatrzona. I uczniowie też muszą mieć to zagwarantowane. A szkoły boją się już samego sprawdzenia, czy coś się dzieje, czy nie – dodaje.

Rada w każdej szkole

Korzeniowski uważa, że Nowacka chce zmienić szkołę z hierarchicznej w partycypacyjną. Gdzie uczeń jest podmiotem. I może wspólnotę szkolną w jakiejś mierze kształtować. Kolejnym pomysłem, który chce wprowadzić, to reaktywacja rad szkół w każdej placówce.

Teraz są rzadko spotykane. Rady złożone są w równej liczbie z uczniów (powyżej klasy IV), rodziców i nauczycieli. To one będą wybierać Szkolnego Rzecznika Praw Uczniowskich. Będą też uchwalać statut szkoły czy opiniować plan pracy szkoły. I to są mocne, realne kompetencje.

– Do rady szkoły nie wchodzi dyrektor – przypomina Korzeniowski. Podkreśla, że statut szkoły to najważniejszy dokument w placówce, mieć wpływ na jego kształt, to już całkiem sporo. – Statut określa prawa i obowiązki ucznia i nauczycieli, kwestie oceniania, wskazuje, kiedy można ucznia skreślić z listy uczniów. Jak nie ma rady szkoły, robi to rada pedagogiczna, czyli sami nauczyciele. A szefem rady pedagogicznej jest przecież dyrektor – zaznacza. Różnica jest więc ogromna. Nie powołując rady szkoły, cała władza jest w rękach dyrektora i nauczycieli.

Ale to nie koniec: rada szkoły opiniuje też projekt planu finansowego szkoły. Ma też kompetencję występowania do kuratorium z wnioskami o ocenę działalności

szkoły, dyrektora, nauczyciela. I wnioski są wiążące. Kurator musi się tym zająć.

Nowacka, nakazując szkołom powołać radę, robi więc prawdziwą rewolucję. Nic dziwnego, że budzi to opór w pokojach nauczycielskich. – Dzielenie się władzą jest trudne – kwituje Korzeniowski.

Konkurs na dyrektora szkoły czy freak fight

Prawdziwą jednak bombą o krótkim luncie okazał się inny pomysł MEN na upodmiotowienie uczniów. Największy opór środowiska dyrektorskiego i nauczycielskiego wywołała propozycja, by dwaj pełnoletni przedstawiciele samorządu uczniowskiego uczestniczyli w konkursach na dyrektorów szkół. A jeśli w szkole nie ma pełnoletnich uczniów, w pracach komisji mieliby uczestniczyć przedstawiciele samorządu uczniowskiego w charakterze obserwatorów.

Z perspektywy ministrowi znowu logika jest podobna. I polega na działaniu w opozycji do Czarnka. Bo to piśowski minister chciał, żeby to kurator oświaty miał decydujący głos w sprawie wyboru dyrektora szkoły (słynny „lex Czarnek”, trzykrotnie zablokowany przez środowisko oświatowe). A kurator, przypomnijmy, od czasów Anny Zalewskiej powoływany jest przez wojewodę na wniosek ministra. Oświa-

Szkoła marzeń

• To nowa akcja „Wysokich Obcasów” i „Wyborczej”. Jej celem jest zmiana polskiej szkoły na lepszą i bardziej przyjazną dzieciom. Taką, w której jest miejsce na indywidualizm i rozwijanie pasji, a nie ma przyzwolenia na hejt i przedmiotowe traktowanie drugiej osoby. Szkołę, która uczy współpracy, krytycznego myślenia i poruszania się we współczesnym świecie, również tym cyfrowym. Szkołę, w której nauka jest równie ważna jak dobrostan dzieci. O recepty na zmianę będziemy pytać ekspertki i ekspertów od edukacji i zdrowia psychicznego oraz rodziców i dzieci. Czekamy też na wasze listy. Piszcie: listy@wysokieobcasy.pl

• Sponsorem akcji jest Toyota, która od 20 lat wspiera cykle artykułów związane z rozwojem dzieci i młodzież

towcy mówili wtedy o próbie skrajnej centralizacji zarządzania szkołami.

Pomysł Nowackiej jest ewidentnie odwrotny.

– Osoby pełnoletnie są tak samo częścią społeczności szkolnej i będą miały dokładnie tyle samo głosów, co rodzice – argumentowała ministra Nowacka na antenie RMF FM i przypomniła, że mają przecież zdolność do czynności prawnych. – I to jest pomysł, który ma też wciągnąć młodych w partycypację. Tyle mówimy, że potrzebujemy młodych, to w końcu to robimy – dodała.

Organizacje uczniowskie komentują, że to tylko symbol, bo przecież decydujące będą głosy kuratorów oświaty, samorządu i związków zawodowych. Ale sprawczość młodych zostanie podkreślona.

Dyrektorzy na to, że konkursy na dyrektora „nie są dla dzieci”. – Dyrektorzy i urzędnicy nie chcą, by uczniowie słuchali tego, co dzieje się na komisjach konkursowych. Wyciąga się tam różne rzeczy. Zarzuty. Jest walka o stanowiska, często upolityczniona, np. pomiędzy dwoma związkami zawodowymi. Dochodzi do tego polityka lokalna. Kogoś się faworyzuje. Niektórych się „wykonkursowuje”: daje się do zrozumienia, że by nawet nie przychodzili, bo zostaną upokorzeni – wymienia Marek Pleśniar, dyrektor biura Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty (OSKKO).

– To nie jest zabawa. Mamy czasu braku przyzwoitości. To nie jest coś, o czym można opowiadać uczniom – uważa.

OSKKO wysłało już list sprzeciwu do MEN. Pisz w nim o „fasadowości pomysłu”, „narażaniu uczniów na trudne doświadczenia”, wciąganiu ich w ścierające się interesy dorosłych.

A Związek Nauczycielstwa Polskiego dodaje, że uczniowie nie mają „kompetencji do tego, żeby w sposób miarodajny ocenić jakość pracy kandydata na stanowisko dyrektora szkoły”.

– Ze zdumieniem czytałem te komentarze – przyznaje Korzeniowski. – Bo wychodzi na to, że konkursy są gorsze niż freak fighty, tyle dzieje się tam złego. Jeśli tak jest, to znaczy, że są źle prowadzone. I być może trzeba wprowadzić kontrolę społeczną – dodaje.

Prezes Fundacji na rzecz Praw Ucznia Mikołaj Wołanin ma nadzieję, że udział uczniów odpolityczni trochę wybór dyrektora. – Naciski polityczne albo rozgrywki między dorosłymi być może osłabną. Proces będzie bardziej transparentny. A młodzież skorzysta, nauczy się demokracji w praktyce – mówi.

A przecież w szkole wciąż wszystko zależy od dyrektora. Jeśli będzie przychylny uczniom, oni będą działać. – Będą występować w imieniu swoim i swoich rówieśników, ale muszą mieć pewność, że nie stanie im się z tego powodu krzywda – podkreśla Korzeniowski z SUS. – Z naszych sondaży wyszło, że uczniowie często nie reagują na łamanie przepisów szkolnych, bo boją się reakcji odwetowej. Zresztą dorośli też się tego boją – przypomina. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34381077



ORGANIZATORZY AKCJI

wyborcza.pl
wysokieobcasy.pl

SPONSOR AKCJI

OD 20 LAT



PATRONAT MEDIALNY

GAZETA.PL

W Musku jakby coś pękło



FOT. REUTERS/NATHAN HOWARD

Czyżby oskarżenia były bezpodstawne? Czyżby był idealistą, gotowym ratować Amerykę i urzeczywistniać wolnościowe idee, nie bacząc na konsekwencje?

Mariusz Zawadzki

Jeszcze dwa tygodnie temu próbowali przekonać świat (a może i siebie wzajemnie), że ich przyjaźń jest nieustająca. Na ceremonii pożegnania Elona w Gabiniecie Ovalnym Donald wręczył mu symboliczny złoty klucz do Białego Domu. Obaj przerzucali się komplementami. „Elon to jeden z najwybitniejszych innowatorów i liderów biznesu. To, co zrobił w służbie dla Ameryki, nie da się porównać z niczym we współczesnej historii” – mówił Donald. W rewanżu Elon wychwalał złote zdobienia, którymi Donald przystroił Gabinet Ovalny: „Co za wspaniały złoty sufit! Uwielbiam na niego patrzeć. Dzięki prezydentowi ten gabinet wreszcie nabrał majestatu na jaki zasługuje!”. Zapewniał, że – choć formalnie rzecz biorąc odchodzi z rządu – to nadal pozostaje do dyspozycji prezydenta i w razie potrzeby będzie służył mu radą.

Pożegnanie przyjaciół w zasadzie nie powinno być zaskoczeniem. Musk funkcjonował w rządzie Trumpa jako tak zwany specjalny pracownik rządowy. Zgodnie z przepisami taki pracownik może być zatrudniony przez maksimum 130 dni w roku. Oczywiście, gdyby Trump chciał, mógłby znaleźć sposób na obejście tego formalnego limitu (który upływał właśnie w dniu pożegnania, czyli w piątek 30 maja). Ale z drugiej strony Musk przebąkiwał już od kilku tygodni, że planuje wrócić do swoich firm, które mają zmienić świat: SpaceX (rakiety kosmiczne i sztuczne satelity), Tesli (samochody elektryczne), X (portal internetowy) i Neuralink (implanty, które po wszczępieniu do mózgu mają dać ludziom możliwość kontrolowania komputerów samymi myślami, bez pomocy rąk czy głosu).

Pomocy potrzebuje szczególnie Tesla, której najbardziej szaszkodziło polityczne zaangażowanie szefa. W Ameryce wandalę niszczą samochody tesli w zemście za masowe zwolnienia urzędników państwowych, które Musk zarządził jako szef wymyślonego

przez niego, a zaakceptowanego przez Trumpa, departamentu do spraw efektywności rządu (Department of Government Efficiency). W Europie sprzedaż samochodów Tesli spadła dramatycznie: w maju o 35 procent w Niemczech i o 67 procent we Francji względem maja ubiegłego roku.

Teoretycznie zatem w pożegnaniu w Białym Domu nie było nic alarmującego. Jednak już dwa dni później teoria o nieustającej przyjaźni dwóch najważniejszych ludzi w Ameryce zaczęła się sypać.

W niedzielny poranek 1 czerwca Musk wystąpił w telewizyjnym śniadaniowym CBS. Prezenter, zamiast trzymać się śniadaniowych tematów, zadał mu obcesowe pytanie. – Co pan sądzi o planach zamknięcia amerykańskich uniwersytetów dla zagranicznych studentów? Przecież pan, urodzony w RPA, był kiedyś jednym z tych studentów?

Żeby zmusić do posłuszeństwa uniwersytet Harvarda, który rzekomo toleruje „antysemityzm” (czyli protesty studentów przeciwko izraelskim bombardowaniom Strefy Gazy), Trump zakazał uczelni przyjmować zagranicznych studentów. Wycelował boleśnie, bo na Harvardzie jest ich rekordowo dużo, około 30 procent wszystkich słuchaczy. Harvard broni się, pozywając administrację Trumpa w sądzie.

Pytanie poirowało Muska. Odmówił odpowiedzi. – Chciałbym, żebyśmy skupili się na temacie dnia, czyli na rakietach kosmicznych – stwierdził. Najwyraźniej taki śniadaniowy temat mieli uzgodniony przed programem.

Po czym w dalszej części wywiadu sam, nawet niepytany przez prezentera, zaczął wracać do polityki. Jakby coś w nim pękło.

„Nie jest tak, że zgadzam się ze wszystkim, co robi administracja Trumpa. Trudno mi o tym mówić, bo z jednej strony nie chcę krytykować administracji, ale z drugiej nie zamierzam brać odpowiedzialności za wszystko, co ona robi ... Byłem rozczarowany, kiedy

Groźby o zerwaniu rządowych kontraktów z Muskem są puste. Rakiety SpaceX transportują 80 procent wszystkich rzeczy, jakie ludzkość umieszcza obecnie na orbicie

zobaczyłem plan gigantycznych wydatków w projekcie nowej ustawy, która powiększy deficyt w budżecie i zniweczy wszystko, co zrobiłem w DOGE...”.

Chodzi o tak zwany Big Beautiful Bill, czyli Wielką Piękną Ustawę – jak nazwał ją Trump. Liczy ona ponad 1000 stron, bo Republikanie zapisali prawie wszystkie swoje życzenia: przedłużenie istniejących od pierwszej kadencji Trumpa ulg podatkowych dla najbogatszych, a nawet ich zwiększenie; więcej pieniędzy na ściganie i deportacje nielegalnych imigrantów; więcej pieniędzy dla departamentu obrony.

Skąd na to wszystko pieniądze? Po części z tego, że ustawa zlikwiduje bezpłatną opiekę zdrowotną dla około 10 milionów najbiedniejszych Amerykanów. Musk niespecjalnie przejmuje się losem najbiedniejszych, ale bardzo irytuje go fakt, że zaplanowane w Wielkiej Piękną Ustawie oszczędności nie bilansują zwiększonych wydatków. Jeśli zostanie przyjęta, to w ciągu 10 lat zwiększy dług publiczny Ameryki przynajmniej o 2,5 biliona dolarów. Który już obecnie wynosi ponad 36 bilionów dolarów, czyli około 100 procent rocznego dochodu narodowego. Okazuje się, że Trump, który w kampanii wyborczej obiecywał zmniejszenie długu, wydaje pieniądze w znacznie szybszym tempie niż Biden.

– Państwo jest jak przedsiębiorstwo i też może zbankrutować. Już obecnie odsetki od długu, które rząd USA co roku musi spłacać wierzycielom, przekraczają nasz roczny budżet obronny! – alarmował Musk w jednym z wywiadów. A tak się składa, że odsetki ostatnio wzrosły, bo na skutek inflacji wzrosły stopy procentowe.

W kampanii wyborczej Musk obiecywał, że DOGE – który to akronim, znaczący coś w rodzaju naszego „piesela”, bardzo go bawi, bo odpowiada jego rubasznemu poczuciu humoru – zmniejszy dług publiczny o 2 biliony dolarów. Po zaprzysiężeniu Trumpa „zrewidował” plany do jednego biliona. Nawet to okazało się mrzonką. Po zwolnieniu kilkunastu tysięcy urzędników i anulowaniu setek kontraktów rządowych Musk twierdzi, że zaoszczędził 170 miliardów dolarów. Ale eksperci, którzy przejrzyli dokumentację ze strony internetowej DOGE, wyliczyli, że to deklaracja bez pokrycia, a faktyczne oszczędności w budżecie wynoszą niecałe 100 miliardów. Czyli mniej niż 10 procent „zrewidowanego” celu!

Departament ds. efektywności rządu okazał się tak nieefektywny, że w zasadzie powinien sam się zlikwidować. Jeśli dodamy do tego Wielką Piękną Ustawę, która zwiększy wydatki państwa o kwotę prawie 30 razy większą niż oszczędności DOGE, cała działalność Muska w administracji Trumpa staje się śmiesznie warta. Oczywiście Trump tym się nie przejmie-

je i jak zawsze żyje w alternatywnej rzeczywistości – w najlepsze opowiada dziennikarzom, że Wielka Piękna Ustawa przyniesie ogromne oszczędności.

Musk, w odróżnieniu od swojego przyjaciela, jest znacznie bardziej umocowany w realiach. Gdyby nie był, jego firmy nie odnosiłyby takich spektakularnych sukcesów. Dlatego zdaje sobie sprawę, że poniósł klęskę, a co gorsza, został przez Wielką Piękną Ustawę ośmieszony.

Dwa dni po wywiadzie w telewizji śniadaniowej, czyli we wtorek, dał pełniejszy wyraz frustracji w serii wpisów na X, dawnym Twitterze: „Ta skandaliczna ustawa dramatycznie zwiększy nasz już i tak gigantyczny deficyt budżetowy i obciąży obywateli Ameryki miazdzącym długiem”. „W najbliższych wyborach rozliczymy kongresmenów, którzy głosowali za tą ustawą i zdradzili Amerykę”.

Odpowiedź Trumpa była stonowana i melancholijna. – Jestem bardzo rozczarowany Elonem. Przecież tak bardzo mu pomagałem... – mówił na konferencji prasowej po spotkaniu z niemieckim kancle-rzem Friedrichem Merzem. Nie wyjaśnił jak konkret-nie pomagał Muskowi – chyba jedynie tak, że ochoczo przyjął od niego prawie 300 milionów dolarów dotacji na kampanię wyborczą.

Melancholijne rozczarowanie Trumpa wprawiło Muska w furję. W czwartkowych postach pisał kolejno, że zaporowe cła Trumpa doprowadzą do recesji, że czas powołać w Ameryce nową partię, która będzie reprezentować 80 procent niereprezentowanych obecnie obywateli, że Trump powinien zostać odwołany z urzędu i zastąpiony przez wiceprezydenta J.D. Vance’a. A na koniec serii napisał: „Czas odpalić naprawdę wielką bombę. Trump jest w aktach sprawy Epsteina [finansisty pedofila, który przyjaźnił się z amerykańską elitą, w tym Trumpem i byłym prezydentem Billem Clintonem]. To jest prawdziwa przyczyna, dla której akta nie zostały ujawnione. Milego dnia, DJT!”.

DJT to oczywiście inicjały Donalda J. Trumpa, który przystąpił do kontrofensywy na Truthsocial, czyli swoim własnym portalu będącym kopią dawnego Twittera. Napisał tam: „Elon się zużył, kazałem mu odejść, zabrałem mu rządowe subsydia dla jego samochodów elektrycznych, których nikt nie chciał kupować, i teraz on po prostu zwariował!”. W następnym poście straszył, że anuluje rządowe kontrakty ze SpaceX. „To najprostsza metoda, żeby szybko zaoszczędzić wiele miliardów dolarów w budżecie! Dziwię się, że Biden tego nie zrobił!”.

Groźby o zerwaniu kontraktów są puste, bo Ameryka nie poradzi sobie bez SpaceX. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak firma Muska zdominowała światowy przemysł kosmiczny. Jej rakiety Falcon startują średnio dwa razy w tygodniu i transportują 80 procent wszystkich rzeczy, jakie ludzkość umieszcza obecnie na orbicie okołoziemskiej. Nieustannie krąży tam między innymi 7500 satelitów Muska, które stanowią dwie trzecie wszystkich sztucznych satelitów Ziemi i tworzą sieć Starlink, która zapewnia łączność ukraińskiej armii. Jeśli amerykańscy astronauta mają za dwa, trzy lata lądować na Księżycu, tak jak planuje NASA, to mogą to zrobić tylko w ładowniku księżycowym zamówionym przez NASA w SpaceX. Rakiety Falcon przenoszą ładunki i astronautów do międzynarodowej stacji kosmicznej, mają też wynieść na orbitę setki wojskowych satelitów, z których Pentagon chce stworzyć sieć podobną do Starlink.

Jakby tego wszystkiego było mało, SpaceX ma uczestniczyć w projekcie budowy Złotej Kopuły, czyli amerykańskiej kosmicznej obrony antyrakietowej przeciwko pociskom balistycznym.

Po gorącym czwartkowym pojedynku na posty Trump zmienił taktykę – przestał grozić przyjacielowi, a zaczął go ostentacyjnie lekceważyć. Na pytania dziennikarzy, czy zamierza zadzwonić do Muska, odpowiedział: „Macie na myśli tego człowieka, który ostatnio stracił rozum? On ma bardzo poważne problemy ze sobą... Nie mam czasu się nim zajmować, mam inne sprawy na głowie...”.

Jak łatwo się domyślić, awantura wywołała wielką wesołość wśród liberalów. „Oh man, girls are fighting, aren't they?” – „Oj, jak te dziewczyny walczą, nieprawdaż?” – żartowała młoda gwiazda lewego skrzydła Partii Demokratycznej Alexandria Ocasio-Cortez. Jej komentarz stał się przebojem w mediach społecznościowych, bo jest dokładnym powtórzeniem mema o wojujących dziewczynach, który krążył po internecie kilka lat temu, kiedy dwie popularne raperki, Nicki Minaj i Cardi B, pobiły się na pokazie mody w Nowym Jorku.

Kiedy twórca Tesli i SpaceX stanął po stronie Trumpa, to nie tyle wystąpił przeciw Demokratom i Bidenowi, ile przeciwko ich wizji nadopiekuńczego, blokującego rozwój państwa

Warto jednak pamiętać, że niepoważna awantura zaczęła się od sprawy poważnej, czyli buntu Muska przeciwko zwiększaniu deficytu. W ostatnich miesiącach najbogatszy człowiek świata miał bardzo złą prasę, przedstawiano go jako cynika, który sprzymierzył się z Trumpem, żeby zdobyć jeszcze więcej władzy i pieniędzy z rządowych kontraktów. Czyżby oskarżenia były bezpodstawne? Czyżby Musk był idealistą, który postanowił ratować Amerykę i urzeczywistnić swoje libertarianские idee, a kiedy został zdradzony przez Trumpa, ogłosił jego zdradę, nie bacząc na konsekwencje?

Tak twierdzi ojciec Muska – z którym ów zerwał kontakty – 79-letni Erron Musk, który ostatnio bawił z wizytą w Moskwie i mówił rosyjskim mediom: „Elon jest wierny zasadom, ale w realnym świecie nie zawsze to jest możliwe. Nie jest dobrym politykiem. Nie rozumie, że w polityce trzeba czasami z czegoś zrezygnować, że nie da się na 100 procent osiągnąć celu”.

Opowieść o Musku idealiście i wizjonerze była bardzo popularna, zanim kupił Twittera i zaangażował się w politykę po stronie trumpowej prawicy. Inżynierowie ze SpaceX do dziś wspominają wielogodzinne zebrania zarządu, na których debatowano, jak będą wyglądać osiedla na Marsie. „Omawialiśmy szczegóły techniczne: co będziemy tam ubierać, gdzie będziemy mieszkać, co jeść. Wszyscy zachowywali się, jakby to były zupełnie normalne zebrania w pracy”.

W tamtych czasach Musk miał dobre relacje z Barackiem Obamą i zapraszał go na Florydę, gdzie SpaceX wystrzeliwało swoje rakiety. Rząd Obamy pożyczył Tesli pół miliarda dolarów – w ramach promowania zielonej energii – co uratowało firmę przed bankructwem (pożyczka została już spłacona, wiele lat przed terminem). W 2017 roku Musk zgodził się zostać doradcą Trumpa, ale podał się do dymisji, kiedy Trump wycofał Amerykę z układu klimatycznego w Paryżu. „Zmiany klimatu są realne. Wyjście z układu z Paryża jest złe dla Ameryki i dla świata” – uzasadniał swoją decyzję na Twitterze.

Musk opowiadał dziennikarzom, że wszystko, co robi, jest w istocie ratowaniem ludzkości. Na różnych frontach. Kolonia na Marsie uratuje nas w przypadku, gdyby na Ziemi zdarzyła się jakaś katastrofa. Samochody elektryczne Tesli pomogą zatrzymać emisję gazów cieplarnianych. Twittera kupił po to, żeby przywrócić pełną wolność słowa, która była ograniczana przez tysiące moderatorów.

Zgodnie z tą narracją Musk wszedł do polityki, ponieważ zrozumiał, że zwykli, zawodowi politycy prowadzą nas do globalnej katastrofy. Potrzebny jest technokrata – taki jak Musk – który zrealizuje libertarianскую wizję państwa odchudzonego, minimalistycznego, sprawnego, niezaciągającego długów. Bez tej transformacji nie tylko Ameryka, ale cała cywilizacja jest skazana na bankructwo, upadek instytucji państwa i chaos.

O tym, że rozdmuchane państwo jest szkodliwe, Musk przekonał się na własnej skórze. Za rządów Bidena państwo wprawdzie przyznawało SpaceX kolejne wielomiliardowe kontrakty, ale jednocześnie wszczęło przeciwko jego firmom kilkanaście śledztw i zmuśnych postępowań wyjaśniających. W sprawie startów raket Falcon z nowej wyrzutni SpaceX w Teksasie, które szkodzią przyrodzie. W sprawie autopilota w samochodach Tesli, który jest niewłaściwie reklamowany – z prawdziwie śmiertelnymi konsekwencjami – jako coś, co może w pełni zastąpić ludzkiego kierowcę. W sprawie fabryki Tesli w Kalifornii, która pracowała w czasie epidemii COVID-u mimo zakazu.

Wszystkie te śledztwa to – w ocenie Muska – niepotrzebne kłody rzucane pod nogi zbawcy ludzkości. Kiedy stanął po stronie Trumpa, to nie tyle wystąpił przeciw Demokratom i Bidenowi, ile przeciwko ich wizji nadopiekuńczego, blokującego rozwój państwa.

10 milionów najbiedniejszych Amerykanów straci bezpłatną opiekę zdrowotną wskutek ustawy budżetowej Trumpa

o 2,5 biliona dolarów – co najmniej – zwiększy dług publiczny Ameryki ustawa budżetowa Trumpa

100 procent rocznego dochodu narodowego wynosi obecny dług publiczny USA

Niecałe

100 miliardów dolarów wynoszą oszczędności z cięć wprowadzonych przez departament DOGE. Musk zapowiadał, że oszczędzi 1 billion

Robert Zubrin, inżynier specjalizujący się w technologiach kosmicznych i pisarz, który od lat 90. zna Muska osobiście i zaraził go marzeniem o kolonii na Marsie, uważa, że mit o zbawcy ludzkości jest nieprecyzyjny. – Jego głównym motywem jest zdobycie sławy bohatera. Chce uratować ludzkość nie tyle dla ludzkości, ile dla siebie: żeby chodzić w gorlii zbawcy ludzkości. To jest ciemna strona jego charakteru, która została wykorzystana przez Trumpa – mówił dziennikarzom „Guardiana”.

Po wygranych wyborach Trump i Musk spędzali razem wiele czasu; prezydent elekt pozwalał mu decydować o sprawach personalnych i zapraszał na najważniejsze spotkania, zgadzał się na wszystkie jego pomysły. Musk uwierzył, że jest drugą osobą w państwie i ma pełny mandat na optymalizację kosztów. Zaraz po zaprzysiężeniu Trumpa zaczął zwalniać tysiące urzędników zgodnie z prostą koncepcją, którą stosował już wcześniej przy masowych zwolnieniach w Twitterze. Po zakupie portalu na dzień dobry zwolnił 80 procent pracowników, a kiedy okazało się, że w jakimś obszarze działalności Twittera pojawiają się to problemy, to akurat w tym obszarze przywracał ludzi do pracy.

Taka „empiryczna optymalizacja kosztów” jest znacznie praktyczniejsza i skuteczniejsza niż zamawianie analiz restrukturyzacji firmy u zemądrzałych konsultantów, negocjowanie z pracownikami i tak dalej, i tym podobne. 22 lutego Musk napisał na Twitterze: „Wszyscy pracownicy rządu federalnego mają co tydzień raportować emailiem, co osiągnęli w poprzednim tygodniu. Brak odpowiedzi będzie równoznaczny z rezygnacją ze stanowiska”. I faktycznie prawie wszyscy pracownicy federalni, czyli ponad dwa miliony ludzi, dostali takiego e-maila – z poleceniem, żeby wymienili pięć osiągnięć z poprzedniego tygodnia i z deadline do końca poniedziałku.

Szefowie departamentów zbuntowali się i poskarżyli się Trumpowi. W Białym Domu w obecności prezydenta Musk kłócił się z sekretarzem stanu Marco Rubio i z sekretarzem do spraw transportu Seanem Duffym, który alarmował, że DOGE zwalnia kontrolerów lotów akurat teraz, kiedy pod Waszyngtonem samolot pasażerski zderzył się z wojskowym helikopterem. W przypadku kontrolerów lotów zasada „empirycznej optymalizacji”, czyli zwalniania ludzi z założeniem, że „w razie czego przyjmie się ich z powrotem”, zupełnie nie działa.

Z każdym tygodniem ego Muska stawało się coraz większym problemem. Z przecieków wiadomo, że szefową kancelarii Białego Domu Susie Wiles traktował jak sekretarkę. Kiedy Trump ogłaszał kolejne zaporowe cła, Musk napisał na Twitterze, że „należy dążyć do zerowych cel między Ameryką i Europą”. Doradca prezydenta Peter Navarro tłumaczył w telewizji, że Musk nie rozumie polityki celnej, na co Musk odpowiedział na X, że „Navarro jest głupszy niż worek cegieł”. Z przecieków wiadomo, że w kwietniu prawie pobił się w korytarzu Białego Domu z sekretarzem skarbu Scottem Bessentem, który zarzucił mu, że DOGE „de facto nic nie oszczędził i jest kompletną ściemą”.

Na początku maja wszyscy ludzie prezydenta mieli już dosyć Muska i spiskowali, jak się go pozbyć. Podsunęli Trumpowi informację, że Jared Isaacman, były astronauta SpaceX i protegowany Muska, który został nominowany na nowego szefa NASA, w przeszłości przekazał niewielkie dotacje dla Partii Demokratycznej. Wprawdzie Isaacman przekazał aż 2 miliony dolarów na komitet do spraw inauguracji Trumpa, ale okazało się, że ta ogromna suma jest wymazana jego dawnych win. A może Trump po prostu chciał pokazać Muskowi, że również ma go dosyć i nie zamierza się z nim liczyć. W dniu pożegnania, kiedy dziennikarze zostali wyproszeni z Białego Domu, a Musk stał ze złotym kluczem przy prezydenckim biurku, Trump powiedział mu, że wycofuje nominację Isaacmana.

Zapewne wtedy Musk ostatecznie zrozumiał, że został przez przyjaciela wykorzystany i wystrychnięty na dudka. Jego zranione uczucia znalazły ujście najpierw w telewizji śniadaniowej, a potem już pełnym strumieniem – na X.

Czy Musk wycofa się do swoich ulubionych rakiet kosmicznych, czy też na serio będzie walczył z Trumpem? To okaże się już niedługo, przy głosowaniu nad Wielką Piękną Ustawą w senacie. Posłuszni republikańscy deputowani Izby Reprezentantów już ją przyjęli, ale w senacie jest kilku libertarian, bez których Wielka Piękna Ustawa nie zdobędzie większości. Jeśli Musk będzie ich podlegał do buntu, publicznie czy zakulisowo, to będziemy mogli przyjąć roboczą hipotezę, że w całej awanturze mniej chodzi o urażone ego, a bardziej – o ideały. ●

Z **DR JACKIEM DĘBCEM***
ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

Wydaje się, że w Stanach Zjednoczonych mamy do czynienia ze zmianą dyskursu na temat ketaminy – dysocjanta wywołującego uczucie oderwania od rzeczywistości i efekty psychodeliczne – którą w ostatnich latach zaczęto stosować w leczeniu depresji. Do niedawna media przedstawiały ją jako cudowne panaceum. Dziś – za sprawą Elona Muska – coraz więcej mówi się o zagrożeniach.

– To prawda. Nie będę publicznie diagnozować Muska, gdyż szanuję jego prawo do prywatności w tym zakresie. Można jednak wykorzystać publicznie znane fakty do pokazania, jak pewne mechanizmy tutaj nie działają.

Musk ma ogromny wpływ nie tylko na światową politykę i rozwój technologiczny. Jest też influencerem. Wystarczy, że w podcaście u Joego Rogana zdradzi, że je steki, a kolejnego dnia pół Ameryki zmienia dietę. – Absolutnie tak. W Stanach to jest szczególnie widoczne, gdyż amerykańskie społeczeństwo wciąż żyje mitem milionera czy miliardera. Dla wielu ideałem życia jest osiągnięcie bogactwa. A Musk, multimiliarder celebryta mający własną platformę medialną i miliony obserwujących, wpływa na ich styl życia bardziej niż wszystkie towarzystwa medyczne razem wzięte.

W ubiegłorocznym wywiadzie dla CNN ów multimiliarder przyznał, że zażywa ketaminę przepisaną przez lekarza.

– Jak stwierdził, jego partnerzy biznesowi z pewnością chcieliby, żeby tak postępował, ponieważ dzięki leczeniu może pracować na najwyższych obrotach przez 16 godzin dziennie. I tu dla psychiatry zapalają się czerwone światła. Czy lekarz, który przepisuje mu ketaminę, nie widzi, że taki tryb pracy to nie jest sposób na wychodzenie z depresji? Leczenie nie ogranicza się do farmakologii, czyli zażywania silnego środka psychoaktywnego, a 16 godzin bardzo intensywnej pracy dziennie nie jest standardem zdrowienia u osoby z depresją.

Lewicowa krytyka medykacji depresji często odnosi się właśnie do tej narracji: „Bierz tabletkę i zapierdaj”.

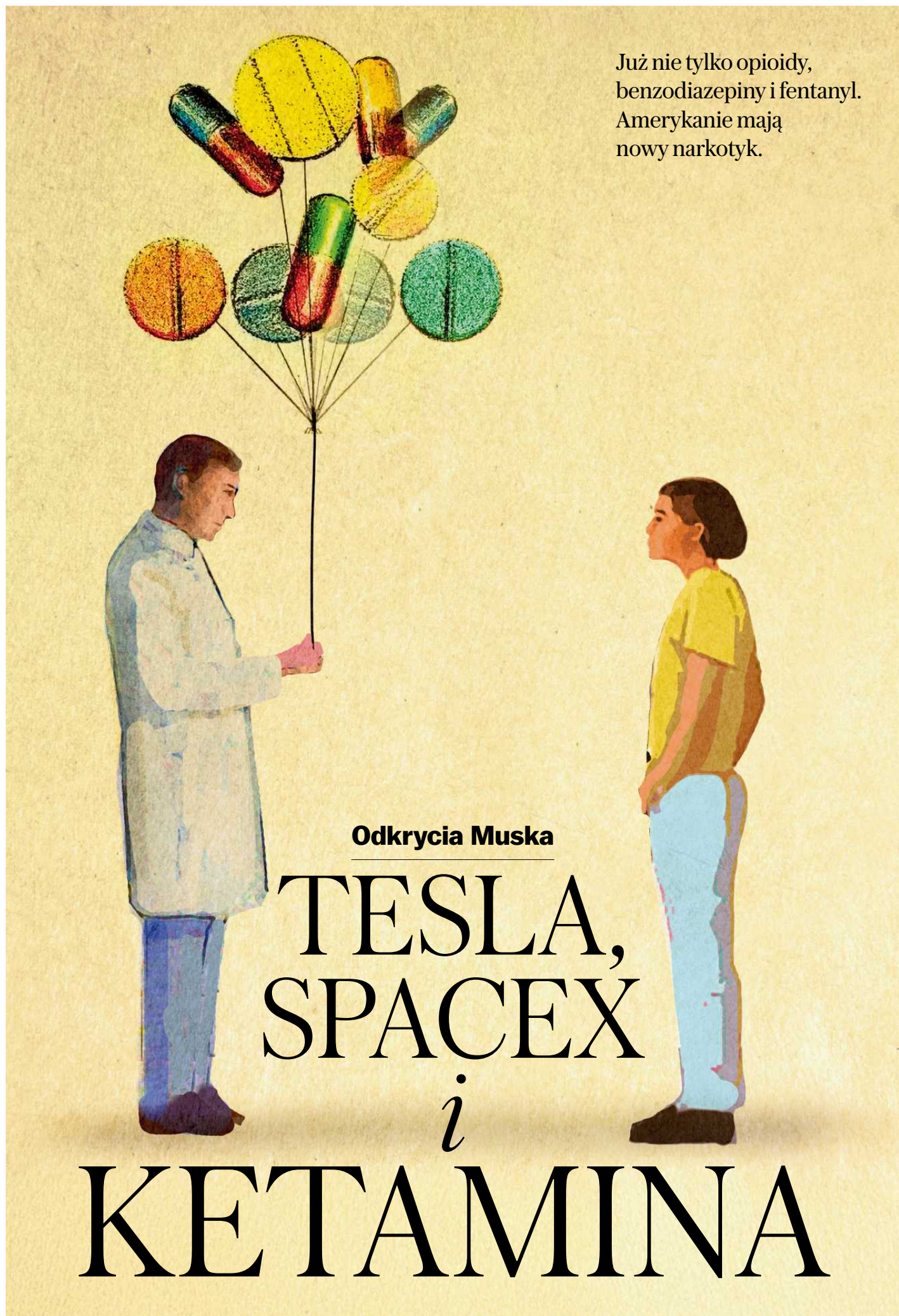
– Mówi pani „lewicowa”, co sugeruje, że wymagany jest określony światopogląd, żeby krytycznie to ocenić. Tymczasem z perspektywy naukowej można obiektywnie stwierdzić, że to nie jest klimat do leczenia depresji. Jeśli pracujemy po kilkanaście godzin dziennie, to gdzie mamy miejsce na zajęcie się sobą i bliskimi? Takie podejście jest bezsensowne, żeby nie powiedzieć dosadniej. Bywają sytuacje życiowe zmuszające do pracy w takim trybie, ale osoba tak majątna jak Musk zdecydowanie nie musi tego robić.

Swoją drogą, Musk nie ukrywa, że od niektórych pracowników oczekuje, że będą spać w pracy, aby mogli być bardziej „produktywni”. Może oni cierpią na związane z pracą stany depresyjne lub lękowe?

Dziennikarskie śledztwa – choćby „New York Timesa” – wykazały, że Musk przyjmuje ketaminę także rekreacyjnie, z całym pakietem innych substancji, jak MDMA, czyli ecstazy, grzybki halucynogenne i adderall, lek na bazie amfetaminy wspomagający terapię ADHD.

– Warto zauważyć, że w CNN Musk nie był w stanie dokładnie powiedzieć, jak często zażywa ketaminę. Rzucił, że chyba co drugi tydzień. Dla mnie to sygnał ostrzegawczy – jeśli pacjent nie wie, czy przyjmuje tabletkę raz czy dwa razy dziennie, trudno mówić o przestrzeganiu jakichkolwiek standardów leczenia.

Poza tym lekarz powinien odmówić przepisania ketaminy, wiedząc, że lek może wchodzić w interakcje z innymi substancjami, które dana osoba zażywa. To kwe-



stia wiedzy i etyki. Tymczasem w przypadku Muska zupełnie nie widać troski o szerszy obraz: jak on żyje, co przyjmuje, od jak dawna.

Z jego wypowiedzi wynika, że sięga po ketaminę już od dłuższego czasu. Co jest ważne, bo jeśli chodzi o długotrwałe skutki zażywania tej substancji, nie mamy wypracowanych żadnych medycznych standardów.

Doniesienia naukowe wskazują na jej potencjał terapeutyczny. Jak ketamina działa na nasz mózg?

– Wyobraźmy sobie mózg jako płataninę neuronów, w której można wyodrębnić układy podtrzymujące różne funkcje życiowe. Ketamina jest antagonistą receptora NMDA, istotnego w procesach pamięci czy uczenia się, do którego przyłącza się glutamina, czyli jeden z głównych neurotransmiterów aktywizujących mózg.

Antagonistą? Wpływa hamująco na jakieś procesy?

– Blokuje pobudzające efekty glutaminy. A przez to, że pobudzenie spontanicznie bardziej aktywnych układów neuronalnych zostanie osłabione, wzrasta aktywność innych, wcześniej przytłumionych neuronów, zwanych cichymi. To znaczy, że ketamina może odwracać wzorzec aktywności naszego mózgu. To może się przejawiać na przykład w gwałtownym ustąpieniu ruminalacji depresyjnych – uporczywych, nawracających negatywnych myśli i uczuć, które są częścią stanów depresyjnych.

Jeśli ruminalacje ustępują, otwiera się przestrzeń na inne myśli i uczucia. Przez to, że ketamina otwiera okna na nowe doświadczenia, ma potencjał terapeutyczny.

Sęk w tym, że dalekosiężne efekty jej zażywania są w zasadzie nieprzebadane?

Już nie tylko opioidy, benzodiazepiny i fentanyl. Amerykanie mają nowy narkotyk.

– Mało tego – wiemy, że u osób długo zażywających ketaminę rekreacyjnie występuje zwiększone ryzyko poważnych problemów somatycznych. Ketamina wyniszcza wątrobę i układ moczowy. A niedawne śledztwa dziennikarskie sugerują, że Musk miał problemy z oddawaniem moczu.

Jakie konsekwencje psychiczne wiążą się z długotrwałym stosowaniem ketaminy?

– Pojawiają się urojenia, zaburzenia pamięci krótkotrwałej i długotrwałej, chroniczne poczucie oderwania od rzeczywistości. Ta substancja nie jest dostatecznie zbadana, by rekomendować ją w dłuższej kuracji. Tymczasem wiele osób zaczyna przepisywaną przez lekarza ketaminę zażywać długotrwałe.

Pod okiem lekarza czy już niekoniecznie?

– Jedno i drugie. Jeśli pierwszym efektem przyjęcia ketaminy jest ustąpienie myśli sa-

mobójczych, dla osoby w głębokiej depresji może to być rzeczywiście bardzo pomocne. Natomiast w dostępnych obecnie badaniach widzimy, że efekt terapeutyczny z czasem słabnie. Nierzadko bywa więc tak, że przepisywany lek nie ma już takiego efektu, ale ciągle jeszcze minimalnie pomaga. Wtedy pacjenci zaczynają kupować ketaminę na ulicy. A w Stanach Zjednoczonych nie jest trudno ją zdobyć.

Pytanie, czy ona rzeczywiście usuwa objawy depresji, czy tylko je łagodzi – a może po prostu wywołuje lekką euforie?

– Właśnie. Chciałbym podkreślić, że stan takiej euforii, który sprawia, że ktoś chwilowo czuje się lepiej, to nie jest stan zdrowego nastroju. Bo jego cechą jest to, że możemy go samodzielnie regulować. Czasem jesteśmy smutni, ale potrafimy z tego wyjść. Coś nas cieszy – i przez chwilę jesteśmy szczęśliwi, a potem wszystko wraca do normy.

Ketamina może zmniejszać objawy depresyjne na skali – czyli badanie pokazuje, że objawów jest mniej. Ale nie pokazuje drugiej strony: że brak badanych symptomów depresji nie oznacza automatycznie zdrowego nastroju. To może być mikroeuforia, która nas wyciąga w górę, ale nie przywrócenie naturalnych mechanizmów samoregulacji emocji.

Niewiele mówi się też o tym, że ketamina po prostu uzależnia.

– To prawda. Często jako punkt odniesienia podaje się bardziej znane substancje: opioidy czy benzodiazepiny, jak choćby popularny Xanax. Ketamina uzależnia inaczej. Może nie daje tak spektakularnych objawów odstawienia, ale fakt, że wiele osób zaczyna jej używać i kontynuuje stosowanie nawet wbrew zaleceniom lekarskim, jest sam w sobie dowodem na jej potencjał uzależniający.

Czy lekarze często przepisują długotrwałą kurację ketaminą?

– Niestety tak. Niektórzy specjaliści robią to bardzo chętnie – nie tylko lekarze, również pielęgniarki czy asystenci medyczni – bo w USA obniżono próg kwalifikacji do przepisywania ketaminy. Co więcej, Kongres rozpatruje właśnie projekt ustawy, który zezwalałby sztucznej inteligencji na przepisywanie leków. Co eliminowałoby całkowicie kontakt pacjenta z lekarzem lub pielęgniarką. Decyzje miałyby podejmować algorytmy zarządzane przez Dolinę Krzemową.

Brzmi jak dystopia.

– Rynek ketaminowy w USA szacuje się na 3 miliardy dolarów – i ciągle rośnie. A dzięki sztucznej inteligencji tylko przyspieszy, bo sprzedawcy będą mogli docierać do „konsumentów” – bo tak określa się dziś pacjentów – bezpośrednio, całkowicie pomijając system ochrony zdrowia.

Ciekawe – najpierw był „pacjent”, potem „klient”, teraz po prostu „konsument”.
– Zmiana języka doskonale pokazuje zmianę w podejściu do leczenia: od terapii pacjenta do konsumowania środków farmakologicznych.

Mówimy o zaniku odpowiedzialności za proces leczenia?

– A nawet, coraz częściej, podstawowej rozmowy z osobą, która przychodzi do gabinetu. Rozmowy, w której pokazujemy, że istnieją różne metody leczenia, różne ścieżki poprawy nastroju czy rozwiązania psychologicznych problemów. Cała profesja się zmienia – spełnia oczekiwania konsumenta, zamiast prowadzić szczerą rozmowę.

Nieprzypadkowo ketamina pojawia się właśnie teraz, gdy inne leki, jak antydepresanty czy benzodiazepiny, straciły dobry PR ze względu na skutki uboczne?
– Niewątpliwie. Celem korporacji produkujących leki psychotropowe nie jest wysoki poziom zdrowia publicznego, lecz zysk. Niestety w ten proceder uwikłana jest medycyna – w tym przypadku amerykańska psychiatria.

Proszę zwrócić uwagę, że do promowania ketaminy używa się takiego pojęcia jak „depresja lekooporna”.

Słowo „lekooporna” brzmi bardzo poważnie. Choć w istocie oznacza, że na danego pacjenta nie zadziałały dwa leki.

– To pojęcie jest nieprecyzyjne – i w pewnym sensie fałszywe. Po pierwsze, depresji nie powinno się definiować w relacji do reakcji na leki. Po drugie – jak pani wspomniała – „lekooporność” oznacza brak efektu po zastosowaniu dwóch z nich. Tymczasem w leczeniu depresji mamy całą gamę różnych substancji: od popularnych SSRI, czyli selektywnych inhibitorów zwrotnego wychwytu serotoniny, przez SNRI – inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny i noradrenalinę – i MAO-inhibitory, po leki działające na dopaminę. Gdybyśmy chcieli kierować się uczciwością, powinniśmy powiedzieć: „To depresja oporna na dwa środki z tej konkretnej grupy leków”.

Ale najważniejsze jest to, że cała narracja pomija czynniki środowiskowe, rodzinne, zawodowe, które przecież mają ogromny wpływ na nasz nastrój.

Kiedys mówiło się na stan depresyjny, że człowiek się po prostu załamał. A często

są ku temu realne powody. Jeśli depresja wynika z sytuacji życiowej, to żadne leki nie pomogą?

– Definiowanie problemów psychicznych wyłącznie z perspektywy farmakologicznej jest fałszywe. Jeśli ktoś stwierdza: „depresja lekooporna”, pytam: jakie terapie zastosowano? Jakie zmiany życiowe? Czy pacjent ma regularny sen, dobrą dietę, aktywność fizyczną, relacje? W jakich warunkach pracuje? Ile czasu spędza na spacerze w lesie lub parku? To wszystko się pomija, skupiając się na wprowadzeniu nowego leku na rynek.

W 2019 roku Agencja Żywności i Leków zatwierdziła Spravato, esketaminę w aerozolu do nosa. Co ciekawe, na podstawie badań, które nie wykazały jednoznacznej skuteczności preparatu.

– Otóż to. A dodatkowo z badaniami nad ketaminą jest pewien problem. Klasyczne badania powinny być podwójnie zaślepione: ani pacjent, ani badacz nie powinni wiedzieć, co jest podawane. Tymczasem w przypadku ketaminy uczestnicy z łatwością rozpoznają, co dostają – podobnie badacze. Dość wykonano tylko jedno badanie z prawdziwym zaślepieniem – w stanie anestezji – i nie wykazało różnicy między placebo a ketaminą.

Ketamina to bardzo tani, generyczny lek stosowany od dekad do znieczulania, m.in. w weterynarii czy chirurgii pediatrycznej. Spravato zaś sprzedawane jest po cenach kilkusetkrotnie wyższych. Taka terapia to twór wyłącznie dla elit?

– Jedna ketaminowa wizyta w prywatnej klinice może kosztować nawet kilka tysięcy dolarów. Zazwyczaj to kilkaset dolarów. Ale odkąd Spravato zostało oficjalnie zaakceptowane do leczenia lekoopornej depresji i ostrej depresji z myślami samobójczymi, większość ubezpieczycieli zdrowotnych zwraca koszty kilkumiesięcznej terapii. Natomiast jeśli ketaminę stosuje się off-label, to koszty w całości pokrywa pacjent.

Jak wygląda dyskusja o ketaminie w USA?

– Z jednej strony są celebryci zachwalający wyjazdy z psychodelikami, na przykład „dla par, by poprawić dynamikę relacji”, i to działa na wyobraźnię Amerykanów. Z drugiej w środowisku psychiatrycznym widać narastającą ostrożność. Coraz więcej lekarzy zaczyna zauważać problemy: skutki uboczne, uzależnienia. Ale w samym tym środowisku są osoby, które prowadzą komercyjne terapie ketaminą. Ci nie mają interesu w prowadzeniu krytycznej refleksji. Mówią: „Nie ma jeszcze wystarczających danych, by ocenić szkodliwość”. Albo: „Potrzeba badań na dziesiątkach tysięcy osób, żeby mówić o miarodajnych wynikach”.

To broń obosieczna. Druga strona mówi: „Nie ma badań, że długotrwale stosowanie ketaminy jest bezpieczne”.

– I zaczyna się spór o standardy badań. Czy wystarczy kilka mniejszych prób klinicznych? Czy trzeba większych badań kohortowych? Problem w tym, że ta dyskusja jest chaotyczna, rozproszona i pod naciskiem zewnętrznych czynników.

A w społeczeństwie pokutuje przeświadczenie: skoro mamy do czynienia z lekiem przepisany przez lekarza – to znaczy, że nic złego nie może się stać?

– Tak myśli wielu ludzi. W niektórych stanach, na przykład w Michigan, gdzie mieszkam, po legalizacji medycznej marihuany wiele osób przyznawało, że prowadziło samochód na haju.

Główne źródło wiedzy o lekach to dziś reklamy – personalizowane, pojawiające się w serwisach społecznościowych wiele razy dziennie. A reklama nie jest źródłem informacji – to narzędzie sprzedaży. Nie powie: „Ten lek może pomóc, ale ma całą listę potencjalnych skutków ubocznych” lub: „Przed podjęciem decyzji o zakupie leku rozważ alternatywy”. Jeśli ktoś codziennie przez tydzień ogląda taką reklamę, a do tego słyszy o tym czy tamtym magicznym leku od Elona Muska, człowieka, który wynisilił Teslę i SpaceX, trudno się spodziewać, że głos nawet najlepszego lekarza się przez to przebijie.

Żyjemy w chaotycznej, lękowej rzeczywistości, młodzi będą ćpać coraz więcej. Wszystkiego. Także ketaminy. A Musk dodatkowo normalizuje i uatrakcyjnia – „no jeśli nawet ktoś taki jak on po to sięga...” – rekreacyjne zażywanie psychodelików.
– Młodzi ludzie wchodzą w życie pod ogromną presją edukacyjną i samorozwojową. Rodzice to w pewnym sensie normalizują. Bo zamiast proponować harmonijny rozwój – i czytanie książek, i sport, i granie na komputerze, i spacer z przyjaciółmi – dzieciaki żyją w trybie „produktywności”. A przecież to czas, kiedy mózg się rozwija – okres wielkich zmian fizjologicznych i psychologicznych. Tu potrzeba spokoju, nie stresu.

Młodzi dorośli, którzy już pracują w korporacjach, też przecież funkcjonują w ciągłym napięciu. A potem przychodzi weekend i trzeba odreagować. Ale nikt nie ma czasu na kilkudniowy wypad w góry. Więc resetują się środkami farmakologicznymi. Jeden wieczór, jedna dawka – i nie myślisz już o niczym.

Dziś zażywanie psychodelików staje się wręcz częścią tożsamości. Dlaczego mielibyśmy chcieć z tego zrezygnować?

– Żyjemy w bardzo indywidualistycznym świecie. Każdy chce mieć prawo do kształtowania własnych przeżyć. Osoby sceptyczne wobec ketaminy lub psychodelików oskarżają się o odbieranie ludziom wolności, prawa do poszukiwania szczęścia na ich własny sposób.

Pojawia się też argument: „Lepiej, żeby ludzie brali mikrodawki ketaminy, niż się upijali i bili partnerki”.

– Jakby nie było trzeciej drogi. Czy wybór współczesnego człowieka to jeden środek farmakologiczny albo drugi? Niedawno na łamach „Washington Post” amerykańska psychiatrka pisała o psychodelikach jako sposobie tłumienia lęków klimatycznych. Coś, co powinno być impulsem do działania, staje się powodem do farmakologicznego znieczulenia. I tak wygląda nasz świat – mamy środki do manipulowania stanami psychicznymi, ale używamy ich powierzchownie. Skutki uboczne? Często widzimy je dopiero wtedy, gdy jest już za późno.

Świat na ketaminie wcale nie jest lepszą alternatywą. Przykład Muska pokazuje, że on tylko sprzedaje się jako dobry, pełen ciekawych doświadczeń. Za kulisami nie jest ani zdrowy, ani piękny, ani prawdziwy.

Za kulisami ma się paranoje i sika się w gacie.

– Niestety.

Czeka nas kryzys ketaminowy?

– On już się zaczął. Przypadek Muska to pierwszy publiczny przykład tego kryzysu. Niedługo usłyszymy o innych. A będzie gorzej. Przypomnijmy sobie, jak zaczynał się kryzys opioidowy. Były już pewne przesłanki, że jest źle. Ale z jednej strony Sacklerowie, potentaci, którzy rozkręcili trend, lansując niesławny Oxycontin, ukrywali tę informację, a z drugiej – oplacani eksperci mówili, że opioidy są „bezpieczne”. Dopiero gdy kryzys był już masowy, zaczęto rozmawiać o kosztach. Z ketaminą będzie podobnie.

A USA znajdują się teraz politycznie w fazie deregulacyjnej. To nic dobrego nie wróży. Raczej będzie tylko więcej kryzysów, na przykład kryzys środków psychodelicznych, jeśli wejdą do masowego obiegu. Przypuszczalnie wejdą, bo wielki kapitał już zainwestował w grzybki, LSD, meskalinę czy MDMA. A skoro zainwestowali, będą chcieli zwrotu kosztów. Szacuje się, że rynek psychodelików wzrośnie z obecnych 3,6 miliardów do 13 miliardów dolarów do 2031 roku.

Cóż, będziemy mieli o czym rozmawiać.

– To wszystko może stwarzać poczucie beznadziei. Jakbyśmy byli skazani już tylko na rozmowę o kolejnych substancjach. Mam nadzieję, że pojawi się nowa kontrkultura. Taka, która skutecznie rzuci wyzwanie obecnym warunkom życia – agresywnemu kapitalizmowi, dezinformującemu marketingowi i bezdusznemu wyzyskowi drugiego człowieka. ●



Dr Jacek Dębiec

● amerykański psychiatra, neurobiolog i filozof. Jego prace ukazały się w czołowych pismach naukowych, jak: „Nature”, „Nature Neuroscience”, „Proceedings of the National Academy of Sciences of the USA”, „Trends in Cognitive Sciences”, „Biological Psychiatry”. Jest naukowym i klinicznym konsultantem społecznej Rady ds. Bezpiecznego Odstawiania Leków Psychotropowych (Psychotropic Deprescribing Council). Autor książek „Opętanie. Próba psychopatologicznego ujęcia problemu” i „Mózg i matematyka”.

Słaby silny człowiek Ameryki

Snyder



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jako „silny człowiek”, czyli polityk o dużej władzy, Trump niszczy normy, prawa i sojusze, które powstrzymywały wojnę. Ale że tak naprawdę jest słabeuszem – wręcz do wojny zaprasza.

Timothy Snyder*

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy inwestorzy na rynkach odkryli schemat działania nowej strategii handlowej opartej na prostej zasadzie: TACO – Trump Always Chickens Out (Trump zawsze wymięka). Amerykański prezydent grozi nałożeniem ogromnych cel importowych zarówno na wrogów, jak i na przyjaciół, lub usunięciem szefa Rezerwy Federalnej ze stanowiska – tylko po to, by wycofać się, gdy bicz rynku narzuca swoją bezkompromisową dyscyplinę. Następnie powraca do nakładania cel – by ponownie zrobić krok w tył.

To schemat, który wykracza dalece poza samą gospodarkę. Tak naprawdę jest to cecha charakterystyczna całej prezydentury Donalda Trumpa. Z tym że Trump to gorzej niż tylko słabszy w grze „kto pierwszy mrugnie”. Jest fałszywym silnym człowiekiem, a przeciwnicy Ameryki rozumieją to lepiej niż większość Amerykanów.

Wielu Amerykanów boi się Trumpa, więc zakładają, że inni też muszą. Ale nikt poza Ameryką nie obawia się Trumpa w taki sposób. Przyjaciół Ameryki, owszem, martwi Trump-podpalacz – ktoś, kto niszczy to, co z takim trudem stworzyli inni. Natomiast wrogowie Ameryki z satysfakcją przyjmują zniszczenia dokonane przez Trum-

pa i Departament Efektywności Rządu wymyślony przez Elona Muska. Kiedy Musk niedawno ustąpił ze stanowiska w DOGE, czołowy ideolog Kremla Aleksander Dugin ubolewał nad tą decyzją: „DOGE wyświadczył wielką przysługę całemu światu, likwidując USA-ID, demontując Departament Zdrowia i Departament Edukacji”.

Trump jest silny w sensie względnym – bo jego głośna obecność jest tym, co pozostaje po zniszczeniu instytucji. Ale zarazem jest słaby, ponieważ po demontażu departamentów rządowych nadzorujących finanse, obronność i wywiad, Stany Zjednoczone stracą realne narzędzia do radzenia sobie z resztą świata. Rolę siłacza Trump odgrywa w telewizji i trzeba przyznać, że performerem jest utalentowanym. Ale jego siła wynika wyłącznie z uległości widzów. Jego występy rozbudzają w nich wręcz marzenie o bierności: niechże ten Trump naprawi, co należy.

Partia Republikańska dokonała na sobie samej, i wykreowało z owej partii potulną kohortę, która zdominowała Kongres. Ludzie, którzy podporządkowują się Trumpowi, postrzegają go jako człowieka silnego, ale to, czego naprawdę doświadczają, to nie kontakt z jego siłą, tylko z ich własną słabością. A ich słabość nie może w magiczny sposób zostać przekuta w siłę wobec świata poza Ameryką.

Wielkie litery i wykrzykniki w postach w mediach społecznościowych, które Trump w ostatnich miesiącach kierował do prezydenta Rosji Władimira Putina, żądając od niego zaprzestania wojny w Ukrainie, nie miały żadnego wpływu na stan emocjonalny Putina, nie mówiąc już o rosyjskiej polityce. Nikt w, dajmy na to, Irkucku nie zacznie nagle zagrażać Putinowi lub robić mu wbrew, ponieważ Trump opublikował coś w Internecie.

Można by wspaniałomyślnie zinterpretować post Trumpa grożący

na ustępstwa wobec Rosji w kwestii ukraińskiej suwerenności. To także nie zadziałało. Jego pozycja wyjściowa była tak słaba, że Putin naturalnie założył, że może uzyskać znacznie więcej i w związku z tym jedynie eskalował rosyjską agresję na Ukrainę. Trump jest owcą w wilczej skórze, a wilki potrafią to rozpoznać.

To oczywiste, ale trzeba to jasno powiedzieć: nikt w Moskwie nie uważa, że Trump jest silny. Nawet gdyby chciał, Trump nie może wiarygodnie grozić Rosji bez funkcjonujących instytucji i kompetentnych urzędników państwowych. Na przykład, aby sankcje były skuteczne, potrzeba więcej ludzi do pracy nad ich egzekwowaniem, a nie mniej. Co więcej, obce mocarstwa musiałyby uwierzyć, że Departament Skarbu jest czymś więcej niż zabawką amerykańskiego miliardera. Niestety, ich agencje wywiadowcze czytają gazety.

Amerykanie mogą wybrać ignorowanie faktu, że potencjał państwa potrzebny do radzenia sobie z przeciwnikami został zduszony i/lub powierzony ludziom, których jedyną kwalifikacją jest absolutna lojalność wobec Trumpa. Ale zniszczenie instytucji władzy w USA tworzy bardzo prostą strukturę motywacyjną dla wrogów Ameryki. Rosjanie mieli nadzieję, że Trump powróci do Białego Domu właśnie dlatego, że ich zdaniem osłabia on USA. Teraz, gdy obserwują, jak demontuje CIA i FBI, umieszczając takich jak Tulsi Gabbard, Kash Patel i Pam Bondi na czele wywiadu i federalnych organów ścigania, mogą tylko pomyśleć, że czas jest po ich stronie.

To dlatego Putin zignorował żądanie Trumpa dotyczące zawieszenia broni w Ukrainie i to dlatego Rosja wykorzysta każde zawieszenie broni, które może nastąpić, aby przygotować się do następnej inwazji. Putin jest słusznie przekonany, że USA wykastrowane przez Trumpa nie będą w stanie zareagować, że Europejczycy będą rozproszeni, a Ukraińcy, po latach wojny, będą mieli trudności z ponowną mobilizacją.

Trump jest owcą w wilczej skórze, a wilki potrafią to rozpoznać

Bez wątpienia charyzma Trumpa jest pewnym rodzajem siły. Nie da się jej jednak zastosować do rozwiązania zasadniczych problemów, a poza Stanami Zjednoczonymi nie ma ona już żadnego znaczenia. Zwolennicy Trumpa mogą żyć w przekonaniu, że Ameryka nie potrzebuje przyjaciół, ponieważ może skutecznie zastraszyć swoich wrogów bez niczyjej pomocy. Ale przecież już się dowiedzieliśmy, że Trump nie jest w stanie zmusić nawet Kanady czy Meksyku – a tym bardziej Chin, Iranu czy Rosji – do wykonywania jego poleceń.

Ta strategia działa tylko w domu. Przez lata Trump wykorzystywał publiczne wiece i media społecznościowe do zachęcania do ślepej przemocy wobec swoich przeciwników w kraju. Doprowadziło to do czystki, która

Kremlowi sankcjami jako akt z dziedziny polityki. Ale słowa mają znaczenie tylko wtedy, gdy faktycznie istnieje jakaś polityka lub przynajmniej możliwość jej sformułowania. Aby jednak istniała polityka, muszą istnieć instytucje, w których pracują kompetentni ludzie. Pierwszym ruchem Trumpa było zwolnienie wszystkich tych, którzy byliby w stanie opracować i wdrożyć politykę. Wielu ludzi, którzy na przykład wiedzieli cokolwiek o Ukrainie i Rosji, po prostu odeszło z administracji po przejęciu rządów przez Trumpa.

W miejsce spójnych działań kompetentnych ludzi pojawiły się nieudolne próby samego Trumpa, by samodzielnie – bez zgody i udziału Ukrainy i kogokolwiek z sojuszników – pójść

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34380125

W SRODĘ „WYBORCZA” NA DŁUGI WEEKEND



Sylwetka J.K. Rowling:
Dlaczego krytykuje osoby transpłciowe?

Szymon Kobyliński z kultowej kapeli Blenders:
Przez muzykę do rowerów

Korespondencja
Marii Dąbrowskiej i Anny Kowalskiej:
Nigdy nie skończy się moja miłość do ciebie

+ dodatek specjalny:
Krzyżówki na długi weekend



FOT. KEN CEDENO / REUTERS

To, co jest prawdą w przypadku Rosji, odnosi się również do Chin. Słaby siłacz wręcz pomaga Chińskiej Republice Ludowej. W okresie przed ponownym przejściem Białego Domu przez Trumpa czas wcale nie był po stronie Chin. Podczas gdy wcześniej całe pokolenie Amerykanów długo obawiało się, że Chiny wkrótce przescięgną USA gospodarczo i militarnie, w ostatnich latach kierunki tych trendów nie były już tak wyraźne, a nawet się odwróciły. Ale teraz, gdy Trump obrał kurs na zniszczenie państwowego potencjału Ameryki, Chiny mogą po prostu wziąć to, o co do niedawna musiałyby walczyć.

Wall Street może skorzystać na handlu prowadzonym według reguły TACO w krótkim okresie, ale w dłuższej perspektywie słaby silny człowiek przynosi tylko straty. Podczas gdy zwolennicy Trumpa mogą dać się omamić przekonaniem, że uczynił on Amerykę tytanem wśród narodów, w rzeczywistości jest wręcz przeciwnie.

Jako silny człowiek, czyli polityk o dużej władzy, Trump niszczy normy, prawa i sojusze, które powstrzymywały wojnę. Jako słabeusz – wręcz do wojny zaprasza. ●

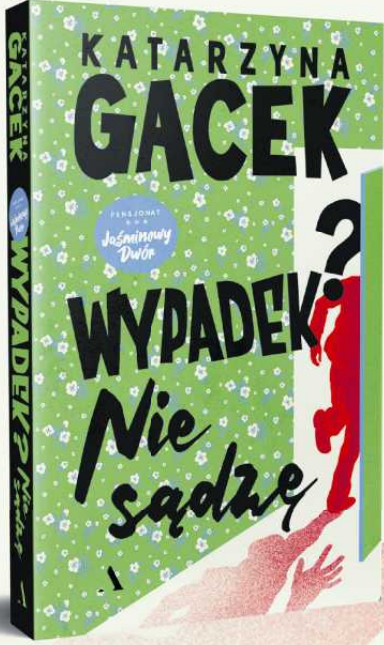
tłum. Łukasz Grzymisławski
Copyright: Project Syndicate, 2025.
www.project-syndicate.org

***Timothy Snyder**

• historyk, niedawno objął nowo utworzoną katedrę współczesnej historii Europy w Munk School of Global Affairs and Public Policy na Uniwersytecie w Toronto, jest też stałym współpracownikiem Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Snyder, urodzony w Ohio w 1969 r., do tego roku wykładał na Uniwersytecie Yale, a jego książki (m.in. „Skrwawione ziemie”) są uważane za kluczowe opracowania dotyczące stalinizmu i Holocaustu. Broszura Snydera „O tyranii”, która została opublikowana w 2017 r., szybko stała się bestsellerem w USA: historyk ostrzegał w niej przed autorytarnym zwrotem władzy w USA, prawidłowo przewidział m.in., że Trump podejmie próbę zamachu stanu przed formalnym końcem swojej kadencji.

REKLAMA

Kraj/34379733



ZBRODNIA

JESZCZE NIGDY NIE BYŁA TAK ODPRĘŻAJĄCA

W Nałęczowie życie toczy się leniwie jak woda w tężniach. Do czasu, aż pojawia się... trup. A razem z nim śledztwo Gabrieli.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Wydawnictwo
Agora

Wybudzenie

Żadna nagroda ani milion sprzedanych płyt
nie były w stanie wypełnić mnie
od środka

Z EDYTĄ BARTOSIEWICZ
ROZMAWIA
JAREK SZUBRYCHT



• Z okazji 30-lecia płyty „Sen”, jesienią 2024 r. i zimą 2025 r. Edyta Bartosiewicz zagrała serię koncertów z orkiestrą symfoniczną pod batutą Daniela Nosewicza

FOT. HUBERT GRYGIELWICZ

1RP

JAREK SZUBRYCHT: Zacznę od OFF Festivalu. Byłem ciekaw jakiegoś gościa z zagranicy, już nawet nie pamiętam którego, ale oglądałem go tylko kwadrans, bo chciałem też zobaczyć twój koncert. No i dostałem za swoje – nie udało mi się wejść do namiotu.

EDYTA BARTOSIEWICZ: Zaproszenie na ten festiwal było dla mnie wielkim zaszczytem, ale przyznam, że bardzo obawiałam się przyjęcia. Okazało się jednak, że od samego początku było przyjaźnie i ciepło, i już po pierwszych minutach odzyskałam spokój. Bardzo dobrze mi się grało.

Zeszedłam ze sceny i od razu wsiadłam z Asią [Gajewską], moją menedżerką, do samochodu, bo następnego dnia rano musiałyśmy być już w Warszawie. Przez pierwsze pół godziny w ogóle nie odzywałyśmy się do siebie i to było bardzo znamienne.

Jak się nażarłeś dobrymi emocjami i trawisz, to możesz milczeć, bo jest ci tak dobrze ze sobą.

Dopiero po dłuższym czasie jazdy w ci-szy zaczęłyśmy wymieniać uwagi: „Wow!”, „Czujesz to?”, „To było niesamowite!”.

To był twój koncert solowy.

Tylko gitara i głos.

– Solo act to niesamowita sytuacja, rodzaj mojej rezurekcji. A zaczęło się bardzo skromnie, od dwóch koncertów w Jassmine, warszawskim klubie na niecałe 200 osób. Po wydaniu płyty „Ten moment” miałam zespół, z którym zagraliśmy Jarocin w 2021 roku, bardzo dobrze przyjęty koncert, i kilka innych imprez.

Niestety, ten zespół się rozpadł. To byli bardzo zdolni muzycy, z którymi świetnie mi się grało. Problem jednak był taki, że ponieważ niektórzy z nich występowali też w innych składach, czasem terminy się nakładały. Czułam, że mam związane ręce i to było frustrujące.

Pewnego dnia pomyślałam, że chcę być wolna, sama chcę stanowić o sobie i decydować o tym, gdzie i kiedy będę występować. Jak to zrobić? I wtedy przyszła do mnie bardzo prosta myśl. „Grałaś kiedyś na gitarze akustycznej i śpiewałaś, tak przecież zaczynałaś, to są twoje piosenki, powstały na tym instrumencie. Spróbuj” – mówiłam sobie.

Chciałam też się dowiedzieć, ile jestem warta jako artystka solo, czy ktoś w ogóle będzie chciał przyjść na taki koncert.

Uparłam się na Jassmine, choć nigdy tam nie byłam. Po prostu spodobała mi się nazwa. Umówiliśmy dwa koncerty. Pamiętam daty: 29 listopada i 1 grudnia 2022 roku. Mówiąc szczerze, to w ogóle nie wiedziałam, jak taki solo act ma wyglądać. Postanowiłam improwizować. Jedyną stałą była oś czasu, po której poruszałam się z piosenkami z następujących po sobie albumów. Szłam chronologicznie, utwory budowały narrację.

Po pierwszym koncercie byłam załamana, myślałam, że ludzie zwrócą bilety na ten drugi.

Co poszło nie tak?

– Okazało się, że nie tylko śpiewam i gram, ale że jest też dużo gadania pomiędzy numerami.

Nie planowałaś tego?

– W ogóle. To, co zaczęło ze mnie wypływać, co się we mnie uruchomiło na skutek intymnego spotkania z ludźmi, gdzie jestem kompletnie sama na scenie, tak mnie przerażało, że nie wiedziałam, co robić. Myślałam, że nikt tego nie chce, że tylko się kompromituję, niepotrzebnie obnażam. To było straszne.

30 listopada miałam audycję w Radiu 357 i poplakałam się, opowiadając o tym wszystkim Bartkowi Gilowi, mojemu wydawcy. „Bartek, im się nie spodobało, to nie ma sensu” – mówiłam. Bardzo mnie wtedy wspierał. Te występy były dla mnie niezwykle trudne, nie byłam jeszcze w formie, nie wiem, na co liczyłam, wychodząc na scenę.

A jednak grałaś kolejne. Nie tylko w kameralnych salach jak Jassmine, ale właśnie na festiwalach, przed tłumami ludzi. Którzy nie rozmawiali, nie szeptali nawet, by niczego nie stracić, nie gapili się w telefony...

– Chcę temu zawierzyć, zaufać i iść w to. Zrozumiałam, że mam niesamowity projekt, prosty jak dwa razy dwa. Zagrałam już z solo actem dwie trasy w Polsce, wyprzedane długo przed koncertami. Zagrałam też trasę po Europie – bardzo się podobało, ludzie na maksa wzruszeni, organizatorzy proponują kolejne terminy.

Nie jestem wielką gitarzystką, nie jestem też w najlepszej formie wokalne, dopiero do niej dochodzę, ale mówię o tym wszystkim otwarcie na koncertach, o swoich problemach. Dzielę się swoją historią. To czyni całą sytuację bardziej wiarygodną.

Teksty piosenek składają się na opowieść o ludzkiej słabości i jej pokonywaniu, a w ustach autorki, osoby, która właśnie jest w takim procesie, wybrzmiewają ze zdwojoną siłą.

Zrozumiałam, że nie jest ważne, jak śpiewam i zagram, że tu chodzi o coś zupełnie innego – o to niezwykle połączenie między nami. Moja opowieść rezonuje z ludźmi, z ich historiami i przeżyciami. To wszystko wraca do mnie w formie jakiejś niesamowitej energii, która mnie zasilą i jeszcze bardziej otwiera.

Nie chcę nadużywać pojęcia zbiorowej terapii, ale coś podobnego tu się dzieje, i nie ja to mówię, tylko ludzie, którzy podchodzą do mnie po koncercie. Coś ważnego sobie nawzajem dajemy. Akcja – reakcja.

Z jednej strony coś bardzo prostego, bo wywoływanego prostymi środkami, ale z drugiej poruszającego plutonicznie, potwornie głębokie zwały ludzkiej psychi-

ki. Towarzyszą temu ogromne emocje. To jest piękne, dzięki temu poczułam na nowo wartość tych piosenek. Przyznam, że ich nie doceniałam.

Nawet jeśli byłaś tak samokrytyczna, wiedziałaś przecież, jak reagują na nie ludzie, jak sprzedają się płyty.

– Wiele razy w wywiadach mówiłam, że nie potrafiłam docenić swojego sukcesu w latach 90., byłam od tego zupełnie odcięta. Myślę, że wiązało się to z brakiem poczucia własnej wartości. Żadna nagroda ani milion sprzedanych płyt nie były w stanie wypełnić mnie od środka.

Teraz jest pięknie, bo każda mała rzecz mnie cieszy. Odbyłam długą podróż, a droga była tylko jedna, jeśli chciałam żyć i dalej robić to, co kocham. Musiałam stanąć twarzą w twarz ze wszystkimi swoimi problemami, zmierzyć się z lękami, zobaczyć siebie taką, jaką naprawdę jestem.

Podjęłam niejedno wyzwanie i pierwsze walki już powygrywałam. Nagrodą jest większy kontakt ze sobą, rodząca się świadomość własnej wartości, wewnętrzny spokój. Jeśli to masz, nie potrzebujesz wiele, by czuć się dobrze.

Znaczna część twojej obecnej publiczności to ludzie młodzi, którzy nie mogą pamiętać twoich przewag w latach 90., bo słuchali Fasolek. Może twoje piosenki do nich trafiają, bo lepiej rozumieją, o czym opowiadasz? Nasze pokolenie długo nie dawało sobie przyzwolenia na słabość, a kiedy ktoś popularny, jak ty, mówił o problemach, pukano się w głowę: „Co to za fanaberie, czemu ona narzeka, skoro wszystko ma?”.

Co Jest Grane Festival

Edyta Bartosiewicz będzie jedną z gwiazd tegorocznej edycji Co Jest Grane Festivalu.



• Impreza odbędzie się 14 i 15 czerwca w piknikowej atmosferze obok Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. W programie: 14 koncertów (wystąpią m.in. Korteż, Fisz Emade Tworzywo, Nosowska & Król) i dwa spektakle (m.in. „Zapiski z wygnania” w wykonaniu Krystyny Jandy) oraz spotkania z artystami, pokazy filmowe i strefa dla dzieci.

• Szczegóły: [Wyborcza.pl/kultura](https://wyborcza.pl/kultura) oraz **Co jest Grane Festival 2025**

– Myślę, że to, co mówisz... ma sens. Gościłam kiedyś w programie „Inny punkt widzenia” Grzegorza Miecugowa [czerwiec 2013 rok] i to był niesamowity wywiad. Właściwie nie wywiad, ale cudowna rozmowa.

Po raz pierwszy publicznie przyznałam się wtedy do swoich problemów. Bardzo długo je ukrywałam. Chciałam być silna, uważałam, że sama dam sobie radę, że nie potrzebuję niczyjej pomocy – to wszystko, o czym mówisz.

Przyznałam wtedy wszem wobec, że straciłam głos, że jestem słaba i że nie daję już sobie rady. Spotkałam się z niesamowitym

odzewem, ludzie byli zaskoczeni, że można tak otwarcie mówić o swoich słabościach.

Dzisiaj masz to w każdym podcaście. Ludzie opowiadają o swoich najbardziej wstydliwych tajemnicach, nalogach i okazuje się, że odbiorcy właśnie tego oczekują. Kultura podcastu, czy – szerzej – publicznej rozmowy, jest dziś bardzo popularna.

Dzieciaki inaczej teraz dorastają i trzeba mówić do nich innym językiem. Hasła, które trafiały do mojej generacji, dla nich są bez znaczenia. Im więcej jest człowieka w człowieku, tym lepiej. Nikogo nie interesują pomnikowe postaci bez wad i rys, bo de facto tacy ludzie po prostu nie istnieją.

Świętując 30-lecie płyty „Sen”, zagrałaś serię koncertów z orkiestrą symfoniczną. To przeciwległy biegun występów solowych. Co się dzieje z piosenką, którą przed chwilą wykonywałaś sama, kiedy ją rozpisz na tak ogromny skład?

– W pewnym sensie to już nie jest ta sama piosenka. Utwór znany z płyt czy radia w wersji elektrycznej, pozbawiony aranżacji, nabiera innego charakteru. Gdy gram solo act, rozbieram go z tego opakowania, dokopuję się do korzenia, do przekazu, który był jego rdzeniem.

Ludzie mówią: „Pani Edyto, zupełnie inaczej teraz odbieram ten tekst, gdy słyszę go z samą gitarą akustyczną. Wcześniej słowa były przykryte aranżem. Teraz jakbym słuchał innej piosenki”.

Rozumiem to doskonale. Wcześniej wykonywałam te numery albo z pełnym zespołem, albo z Maćkiem Gładyszem na dwie gitary, ale nigdy sama. To dla mnie zupełnie nowa rzecz, a zarazem coś absolutnie bliskiego, wręcz pierwotnego.

Natomiast jeśli chodzi o koncerty symfoniczne, tutaj kluczowa jest postać aranżera i dyrygenta Daniela Nosewicza. I znowu magia! Daniel zaaranżował te piosenki z szacunkiem dla autora. Nie kombinował, nie próbował zmieniać harmonii na siłę, nie kierował się swoim ego. Dodał moim piosenkom innego, jakiegoś kosmicznego wymiaru, a orkiestra przepięknie to zagrała. Wszyscy mówią, że nasze koncerty brzmią jak hollywoodzka baśń.

Gdyby ktoś mi powiedział trzy lata wcześniej, kiedy grałam pierwszy solo act, że doprowadzi mnie to do koncertu w Teatrze Wielkim, z towarzyszeniem Symfonii Varsovi, i rejestrować to będzie Telewizja Polska – nie uwierzyłabym. Miałam różne marzenia, ale taka sytuacja nigdy nie przyszlaby mi do głowy. Coś dobrego się uruchomiło dzięki solo actom. Trafiłam na właściwy tor. Może nawet powinienam była poruszać się nim od początku?

Żałujesz, że wcześniej na to nie wpadłaś?

– Taka moja życiowa droga. Wierzę, że wszystko ma swój sens i znaczenie, sprawy układają się tak, jak powinny. Ludzie i sytuacje przychodzą wtedy, gdy jesteśmy na nie gotowi. Kiedyś byłam bardzo uparta i to mocno przeszkadzało mi w przeprowadzaniu wewnętrznych zmian, a musiałam się przekonfigurować. Gdybym nadal tkwiła w swoich sztywnych przekonaniach, nie byłabym tu, gdzie teraz jestem.

Dziś nawet tę swoją wieloletnią utratę zdrowia postrzegam jako dobrodziejstwo.

Ten trudny proces trwał tak długo, że straciłam po prostu siłę do walki z wiatrakami i ciągłego stawiania na swoim. W pewnym momencie jesteś już tak pobity, tak słaby, że naturalnie zaczynasz odpuszczać. W końcu zrozumiałam, że moje przekonania i wzorce postępowania nie tylko się nie sprawdzają, ale wręcz działają przeciwko mnie.

Udało się to również dzięki ludziom, którzy pojawiali się na mojej drodze i mieli na mnie jakiś wpływ, coś mi przekazali. Z początku opierałam się, buntowałam, nie chciałam ich słuchać i dopiero po jakimś czasie, kiedy tych ludzi często nie było już nawet obok, ich przekaz docierał do mnie. Wiesz, jak to jest.

Samo życie.

– No, życie...

To śmieszne, że dopiero teraz, kiedy mam 60 lat, spotykają mnie te wszystkie miłe rzeczy. Ale może właśnie dlatego, że dopiero teraz potrafię się na nie otworzyć. Tak długa była ta podróż w głąb siebie. Tyle czasu potrzebowałam, by w końcu dotrzeć do wewnątrz. Nie mam problemu ze swoim wiekiem, może dlatego, że czuję się teraz lepiej niż 20 lat temu. Wiadomo, że biologia powoli zaczyna działać na twoją niekorzyść. Jeżeli chcesz zostać w siodle, musisz się bardzo starać.

Trzy dekady „Snu” świętowałaś specjalnymi koncertami. W tym roku mamy kolejny jubileusz, czyli 30 lat „Szok’n’Show”.

– Nie, ja już w to nie wchodzę.

„Szok’n’Show” nagrałam rok po „Śnie”. Ostatnio słuchałam kilku utworów z tej płyty i nie mogłam uwierzyć, ile tam jest energii! Przyszedł do nas wtedy Maciek Gładysz, prosto z zespołu Human, z tymi niezwykle dynamicznymi gitarami. Stąd takie numery jak „Szał”, „The Eye” czy „Susza”. Zawsze marzyłam, żeby tak grać.

Po sukcesie „Snu” roznosiła mnie energia, którą chciałam z siebie wyrzucić, chciałam szaleć. „Szok’n’Show” to ważna płyta, są na niej takie numery jak „Zegar” czy „Ostatni”. Chciałabym ją odświeżyć, wydać na winylu. Może jeszcze w tym roku się uda.

„Sen” i „Szok’n’Show” były szalenie popularne, ale ja zostałam fanem już za sprawą „Love”, twojego debiutu. Czulem się nawet trochę zawiedziony, że na kolejnej płycie nie śpiewałaś po angiel-

sku, bo byłem przekonany, że za chwilę zrobisz światową karierę, że będziemy cię oglądać w MTV obok Sheryl Crow i Emmylou Harris.

– Bardzo przepraszam, że cię zawiodłem.

Już od dawna się nie gniewam. Po prostu stwierdzam fakt – „Love” brzmiała światowo.

– Byłam dziewczyną, która dopiero zaczynała, ale miałam to szczęście, że trafiłam na superproducenta Rafała Paczkowskiego. Chyba jako pierwszy w Polsce pracował na lo-pach, samplach, miał bardzo nowoczesne podejście do produkcji muzyki.

Materiału z „Love” posłuchał Staszek Syrewicz, znany kompozytor muzyki filmowej i nie tylko – piosenkę „To nie ja!” Edyty Górniak też on skomponował. Staszek zakochał się w mojej płycie, a że miał kontrakt na Zachodzie, przedstawił „Love” ludziom, z którymi pracował. Dzięki niemu podpisałam kontrakt publishingowy z Chrysalis. Jeździłam często do Londynu, pracowałam z różnymi producentami, ale najwyraźniej nie byłam na to wszystko gotowa.

Pod jakim względem?

– Pod każdym.

Bez przesady, napisałś i zaśpiewałaś piosenki na „Love”, wszystko tam działało.

– Znasz efekt pracy w studiu, ja jednak nie panowałam nad głosem, nie byłam przygotowana technicznie, a w kontaktach zdecydowanie byłam zbyt emocjonalna i niedojrzała. Wtedy zaczęły się moje problemy z wokalem, które po wielu latach powróciły w znacznie poważniejszej formie.

W Polsce nie miałam jeszcze żadnego sukcesu, zapleczu. Byłam dziewczyną z bloku na Woli, która niedawno urodziła dziecko, rozdarła między domem a karierą. Jeździłam do Anglii sama i musiałam się tam jakoś odnaleźć.

Podpisany kontrakt zobowiązywał mnie do pełnego profesjonalizmu, prezentowania wciąż nowych piosenek. Pracowałam z takimi ludźmi jak Steve DuBerry, który produkował hity Tiny Turner. Musiałam umieć przekazać swoją artystyczną wizję, dobrze zagrać na gitarze, zaśpiewać. Szybko, sprawnie...

Nie, nie byłam wtedy osobą, która praktycznie z nikogo mogłaby błyskawicznie wyrosnąć na tak przez ciebie oczekiwaną gwiazdę MTV. Życie miało na mnie zupełnie inny plan. Muszę przyznać, że całkiem niezły. Zresztą gdybym wtedy została w Londynie, to pewnie dziś by mnie już nie było.

Dlaczego?

– Myślę, że potrzebny był mi zdrowy fundament, którego w Londynie raczej bym nie zbudowała. Musiało zaistnieć wiele sprzyjających dla mnie czynników i to się stało właśnie tu, w kraju.

Ogromnym szczęściem były narodziny mojego syna. To było jak kotwica na wzburzonym morzu. Było we mnie dużo mroku i autodestrukcyjnych zachowań, z którymi nie zawsze umiałam sobie radzić, i ta bezwarunkowa miłość do Alka zaczęła mnie powoli odmieniać. Był ktoś, dla kogo warto było być lepszą, kto pozytywnie mnie motywował.

W latach 90. jako artystka odniosłam ogromny sukces i to zdecydowanie stało się załącznikiem mozołnie budowanego przeze mnie fundamentu. Jeszcze wtedy muzyka była dla mnie celem samym w sobie. Dopiero w drugiej dekadzie XXI wieku, będąc w trakcie swojej transformacji, zrozumiałam, że muzyka jest i zawsze była przede wszystkim narzędziem do poznawania i ulepszania samej siebie.

Moje piosenki z czasem stały się cennym kapitałem. Dzięki nim nawet w najgorszym dla mnie czasie czułam, że jestem obecna, potrzebna, że nie zniknęłam. Z tego czerpałam siłę do swojej przemiany.



• Solo act to jej koncerty tylko z gitarą akustyczną, takie, jakie grała na początku kariery

FOT. PIOTR PORĘBSKI

Wiele czasu upłynęło, zanim zaczęłam rozumieć, kim jestem, łapać kontakt ze swoimi emocjami i potrzebami, a nie chciejstwem. To wszystko działało się w moim kraju, wśród ludzi, z którymi łączy mnie mentalne i emocjonalne pobratymstwo, wspólnota kulturowa. W Londynie byłabym emigrantem, kimś obcym, wykorzenionym. Mogłabym tam przepaść z kretesem.

To twoja dzisiejsza perspektywa, ale skoro tam jeździłaś, pewnie miałaś marzenia związane z międzynarodową karierą.

– Ogromne. W 1997 roku było drugie podejście i znowu nie wyszło. Miałam wydać płytę międzynarodową, kompilację moich najlepszych numerów zaśpiewanych po angielsku. Andrzej Puczyński, szef polskiego oddziału Polygramu, zorganizował nawet w tej sprawie konferencję prasową. Jeździł na Zachód i prezentował moje piosenki.

Szwedzi byli zauroczeni „Skłamałam”, w Seattle spodobało się „Jenny”. Niestety, trafiło na moment, w którym Polygram został przejęty przez Universal. Do centrali przyszli inni ludzie, mój temat się rozmył. Miałam o to sporo pretensji i między innymi z tego powodu odeszłam z wytwórni i założyłam własną firmę.

Niewiele później poznałam ludzi z Ariсты (BMG), spotkaliśmy się przypadkowo w Kanadzie, poszliśmy na drinka. Opowiedziałam im swoją historię i jeden z nich tak to podsumował: „Edyta, twój czas przyjdzie, jak będziesz na to gotowa”. Wtedy mnie to dotknęło, zabrzmiało jak jakaś złowieszcza przepowiednia odsuwająca realizację moich marzeń mocno w czasie, ale dzisiaj rozumiem to zupełnie inaczej. Może mój czas jeszcze kiedyś przyjdzie. Może gdy będę miała siedem dych. (śmiech)

Gdybym wtedy została w Londynie, to pewnie dziś bym mnie już nie było

Może teraz? Nie wiem, czemu się śmiesz, nie żartuję.

– Najlepsze jest to, że pewne rzeczy przychodzą do ciebie, kiedy przestajesz o nich myśleć, kiedy jesteś pogodzony z tym, że ich nie masz. Bardzo często tak jest z miłością... Ale masz rację, czemu nie? Teraz jestem otwarta na wszystko, co dzieje się w moim życiu, a dzieje się bardzo dużo fajnych rzeczy. Nie mogę narzekać. Jest dobrze.

Twój ostatni jak na razie materiał studyjny to „Ten moment” sprzed pięciu lat. Najbardziej hulaśliwy moment twojej dyskografii.

– Jeszcze nie miałam tej siły w sobie i energia płynąca z sampli, z brzmień gitar zastępowała energię, której nie było w wokalu. Dostałam od Sławka Leniarta i Bodka Pezdy, współproducentów albumu, coś, czego nie mogłam sama wygenerować.

„Ten moment” to moja najmniej komercyjna płyta, sprzedały się ze trzy tysiące egzemplarzy. Z punktu widzenia osoby, która sprzedawała kiedyś setki tysięcy, może się to wydawać totalną porażką, ale dla mnie to najważniejszy krążek, jaki nagrałam w życiu.

Aż tak?

– Tak. Nieprzypadkowo nazywa się „Ten moment”. Ze Sławkiem i z Bodkiem wspólnie pracowałam już w 2000 roku, nagraliśmy razem utwór „Egoiści” do filmu Trelińskiego pod tym samym tytułem. Pano wie dostali wtedy od Kilara zgodę na zapętlenie fragmentu jego utworu i bardzo fajnie to wyszło.

Przypomniałam sobie o chłopakach, kiedy szukałam producenta albumu „Ten moment”. Wciąż jeszcze nie byłam w formie i potrzebowałam nietypowego podejścia, wręcz objęcia mnie opieką i troską. Szukałam kogoś, z kim nadaję na tej samej fali.

Leniart i Pezda zrobili na próbę „Love song” i to było tak inne od wersji demo, którą przygotowaliśmy wspólnie z Maciem Gładyszem i Romualdem Kunikowskim, że wywaliło mnie w kosmos.

Romek był załamany i wkurzony, kiedy usłyszał wersję Sławka i Bodka: „Co to jest? Jak można tak zniszczyć numer? To brak szacunku do artysty!”. A mnie się podobało, miało energię, której brakowało mi na „Renovatio”. Ponadto podobało mi się szalone i odważne podejście Sławka i Bodka do moich piosenek. Nie miałam nic do stracenia. Coś ciągnęło mnie w nieznane.

Myślałam, że właśnie „Ranovatio” była ważniejsza, w końcu to twój powrót po kilkunastu latach milczenia.

– Ktoś mi zwrócił uwagę, że nie powinnam krytykować własnej muzyki, tylko pozwolić ludziom jej słuchać i po swojemu oceniać. Coś w tym jest. Mam jednak potrzebę opowiadania swojej historii, a płyty oznaczają kolejne etapy, są punktami na osi czasu, dzięki którym wiem, co się wtedy działo w moim życiu. Wszystko ma swoje miejsce i swój sens.

Nagrałam „Ten moment” głównie dla siebie i to jedyna moja płyta, której zdarza mi się słuchać w całości, najczęściej w trakcie jazdy samochodem. „Lovesong” gram na koncertach solowych, „Cichy zabójca” to mój hymn, prawdziwy odlot, a tytułowy „Ten moment” gram z orkiestrą symfoniczną.

Ten ostatni wymieniony utwór oznacza nowy początek, wybudzenie się ze snu. A przecież album, dzięki któremu w 1994 roku odniosłam sukces, nosi właśnie tytuł „Sen”. Ostatnio to rozkminiałam – co za koincydencja, kosmiczna synchronizacja! Uwielbiam odkrywać takie znaki.

W refrenie „Snu” na końcu śpiewam: „Budzi mnie krzyk... czy wciąż się śni?”. I wtedy, 30 lat temu, czułam, że z powrotem osuwam się w sen. Taki był na tamten czas wydźwięk tego tekstu.

Piosenka „Ten moment” kończy się zaś słowami: „To jest ten czas, byś w końcu zbudził mnie swym pocałunkiem”. Trochę jak wybudzenie Królowny Śnieżki (śmiech).

A koncerty symfoniczne są przecież baśniowe. Odpowiada mi taka estetyka. Ten przekaz jest dla mnie niezwykle symboliczny, bo ja naprawdę czuję się dziś wybudzona i świadoma.

Z wybudzeniem przyszła jakaś lekkość. Mam wrażenie, że kiedyś dużo było we mnie ciężaru. Dużo wysiłku wkładałam w wydobywanie z siebie głosu. Ten wysiłek czułam właściwie w każdym aspekcie swojego życia.

A lekkość jest tak piękna i uwalniająca, szczególnie gdy czujesz ją w sercu. Frustracja, gniew, pretensje... wszystko odchodzi.

Był też we mnie mrok, przez który teraz przebija się światło.

Pamiętasz tę scenę z „Matrixa”, kiedy Neo w tym długim korytarzu rozpędza się, daje susa do wnętrza agenta Smitha, wchodzi do jego krwiobiegu i rozsadza go od środka?

Ciało agenta zaczyna pękać, a przez pojawiające się szczeliny z coraz większą mocą przedostaje się światło. W końcu Smith rozpada się na kawałki.

Taki obraz teraz do mnie przyszedł. I może zakończmy naszą rozmowę na tym świetle? ●

Edyta Bartosiewicz

• ur. 1965 roku, wokalistka, gitarzystka, kompozytorka i autorka tekstów. Jedna z najważniejszych postaci polskiej sceny muzycznej końca XX wieku, obsypywana nagrodami, sprzedająca płyty w platynowych nakładach. „Jenny”, „Sen”, „Tatuaż” czy „Skłamałam” to już kanon polskiej piosenki. Milczała przez kilkanaście lat, by powrócić na scenę wydaną w 2013 roku płytą „Renovatio”. Jej koncerty – od solowych po występy z orkiestrą symfoniczną – cieszą się ogromną popularnością. Ze swoim solo actem wystąpi na festiwalu Co Jest Grane w Warszawie. Tego lata zobaczyć ją będzie można również na koncertach z orkiestrą, w amfiteatrach w Ostródzie, Koszalinie, Płocku, Żywcu i Opolu.

Prezesie, to jakaś
Galácticos. Musimy
zatrzymać to dziecko.

• Mecz naszej kobiecej reprezentacji z Mołdawią – eliminacje do mistrzostw Europy na stadionie Polonii w Warszawie, 17.03.2020. Biało-czerwone znokautowały rywalki 5:0. Gwiazdą meczu była Ewa Pajor: zdobyła trzy bramki, a przy dwóch kolejnych asystowała

DZIEWIĄTKA Z *Ortem*

Dariusz Wołowski
Radosław Leniarski

Kiedy zobaczyłam Ewę, lzy poleciały mi jak groch – wspomina Lidia Kozłowska, żona odkrywcy talentu najlepszej polskiej piłkarki.

Lidia razem z mężem Piotrem i siedmioma innymi znajomymi wybrali się do Lizbony na finał piłkarskiej Ligi Mistrzyń. 24 maja Barcelona, w barwach której gra od roku Ewa Pajor, była stuprocentowym faworytem w pojedynku z Arsenalem. Sensacyjnie przegrała 0:1. Dla Ewy to był piąty przegrany finał najbardziej prestiżowych rozgrywek, trudno znaleźć podobny przypadek nie tylko w kobiecej, ale także w męskiej piłce.

Pierwszy trener Ewy przywiózł do stolicy Portugalii biało-czerwoną flagę, żeby największa gwiazda polskiego futbo-

lu pań mogła wykonać z nią taniec radości po zwycięstwie. Zamiast radości były lzy goryczy i bezsilności. Ewa nie wzięła flagi, a podczas dekoracji rywalk stała z boku w głębokim poczuciu winy.

– Wyglądała, jakby czuła, że zawiodła nie tylko siebie, ale i nas wszystkich – mówi Lidia Kozłowska.

Narodziny cielaczka

Rozmawiamy w szkole podstawowej w Wieleninie w gminie Uniejów. Przed wejściem stoi duże zdjęcie Ewy świętującej gola zdobytego dla reprezentacji Polski z podpisem: „Nasza absolwentka, nasza duma”. Wielenin jest wsią w województwie łódzkim, położoną o 4 km od Pęgowa, skąd Ewa pochodzi, tam się wychowała.

W Pęgowie wśród kilkunastu budynków jest dom jej rodziców, starszego brata Piotra i siostry. Na charakterystycznej ścianie z żółtego kamienia, z którego zbudowana jest stodoła w gospodarstwie kolegi Ewy, wciąż stoi drewniana bramka.

– Strzeliłam na nią milion goli – mówi Pajor w filmie „Moja Barcelona”. Zamieściła go w portalach społecznościowych, by pokazać kibicom miejsce, z którego wyruszyła w świat. Praca w gospodarstwie rodziców była ciężka, ale hartowała w Ewie zaciętość niezbędną w sporcie. Rodzice wspominali ze śmiechem, jak brała udział w narodzinach cielaczka.

– Przecież to normalne, krowa sama nie urodzi – mówi jej brat Piotr, którego zastaliliśmy przy rozwoju nawozu w polu. – To znaczy, może czasem urodzi sama, ale jeśli nie, trzeba jej pomóc.

Ile lat miała wtedy Ewa? – Pewnie z piętnaście – odpowiada brat. On też grywał z nią w piłkę w dzieciństwie, ale dziś nie jeździ nawet na mecze siostry.

– Nie mam czasu. Krowy trzeba doić codziennie, w gospodarstwie jest mnóstwo pracy – mówi. Rozmawia z nami uprzejmie, ale niezbyt chętnie – spieszy się do pracy.

– Moja wioska ma 60 lub 70 mieszkańców, no, może 71, bo mnie do dziś liczą – opowiada Pajor w filmie „Moja Barce-

lona”. Piotr Kozłowski dodaje, że Ewa jest dumna z miejsca pochodzenia i zawsze się nim chwali. Małeńka osada w gminie Uniejów uzmysławia, jak daleką drogę miała piłkarka do wielkiej kariery.

Pierwszym przystankiem był wspomniany już trawisty placek nierównej ziemi za stodołą z drewnianą bramką na ścianie, drugim szkoła w Wieleninie, gdzie Piotr Kozłowski z grupą swoich uczniów własnoręcznie zbudowali boisko do piłki. Zaorali plac, posiali trawę, dbali o nią. Ewa rozgrywała tam swoje pierwsze mecze.

Nie dla dziewczyn?

Piotr Kozłowski był wuefistą w szkole, ale pracował także w świetlicy. Dzieci, które czekały na rodziców, wołały oczywiście grać w piłkę, niż odrabiać lekcje. Ewa grała, z kim popadło, przede wszystkim z chłopakami. Zawsze była najlepsza.

Kozłowski wspomina moment, kiedy uświadomił sobie, że ma do czynienia z niezwykłą dziewczynką. Podczas gry jeden ze

starszych kolegów kopnął mocno piłkę, która trafiła Ewę prosto w twarz.

– Bałem się, że złamał jej nos lub uszkodził zęby – mówi trener. – Pomyślałem, że mała się zniechęci i będzie miała dość piłki. Ale ona otarła tylko krew i natychmiast chciała wrócić do gry.

Zaciętość, upór, determinacja ważą w sporcie więcej niż talent. Tak twierdzi Kozłowski. Dodaje, że stereotypy, iż piłka nożna to sport brutalny i męski, utrwalają doświadczenia.

– U nas w szkole nigdy nie było tak, żeby chłopcy nie chcieli grać z Ewą lub śmiali się, że dziewczyna biega za piłką. Przeciwnie: była dobra, więc wybieranie składów zaczęli od niej – wspomina trener. – W piłce nożnej funkcjonuje najwięcej szkodliwych mitów ze wszystkich dyscyplin sportowych – dodaje. – Że jest nie dla dziewczyn, bo niebezpieczna i nogi się krzywią.

Dziewczyna może ćwiczyć siatkówkę, koszykówkę, piłkę ręczną, nawet karate, ale od piłki nożnej powinna się trzymać z daleka, bo to zagraża jej kobiecości. Bzdura.

Dziś Kozłowski jest dyrektorem szkoły w Uniejowie. W Wieleninie wciąż pracuje jego żona. Razem jeżdżą na mecze Pajor – reprezentacyjne i klubowe. – Ja na piłce się nie znam, ale zwiedzam świat przy okazji – mówi Lidia Kozłowska.

Brat Ewy Piotr, zanim wrócił do pracy, powiedział nam jeszcze, że ich mama nie może oglądać córki na boisku, bo tak bardzo się denerwuje. Wynikami? – Nie tylko. No przecież tam można doznać kontuzji – powiedział Piotr.

Dwadzieścia lat temu Kozłowski musiał pokonać wiele trudności, żeby talent dziewczynki z Pęgowa mógł rozkwitnąć. Przepisy piłkarskie w województwie łódzkim nie pozwalały, by dziewczyna grała w meczach chłopców. W czwartej klasie Kozłowski musiał stworzyć dla drużyny dziewcząt, w której ona grała, drybłowala, strzelała gole, a rok starsze od niej koleżanki stały pod własną bramką i tylko wybijały piłkę.

Jaki był stosunek rodziców Ewy do uprawiania przez nią piłki nożnej? – Byli troskliwi, ale też wymagali od nich pomocy w gospodarstwie – mówi Kozłowski. – Dzieci na wsi zaganiały krowy, karmiły kury, pracowały w polu, nikt ich nie rozpieszczał jak dziś, ale gdy uwinęły się z robotą, miały czas dla siebie. Wtedy mogły się bawić lub kopać piłkę.

Ewa nazywa swoje dzieciństwo szczęśliwym, choć nie było beztroskie. Jej pierwszy trener opowiada, że jej rodzice nie pomagali, ale też nigdy nie przeszkadzali córce rozwijać pasji do sportu. – A to już bardzo dużo – ocenia. Kiedy wyjeżdżał z Ewą na mecze i zgrupowania, rodzice nigdy nie protestowali, nie psoczyli, że zaniedbuje obowiązki w domu lub naukę.

Prezesie, to jakaś Galácticos

Talent Ewy był ogromny. „Ile za nią chcesz?” – usłyszał Kozłowski od jednego z działaczy, gdy kiedyś zabrał ją na turniej do Łodzi. Odpowiedział, że to jest dziecko, a nie samochód. Już wtedy nie wyobrażał sobie, że mógłby opuścić taki skarb jak Ewa. Zараżała i nakręcała go swoją pasją.

Gdy miała 10 lat, trener skontaktował się z prezesem Medyka Konin Romanem Jaszczakiem. Opowiedział, jaki talent ma w szkole Wieleninie, gdzie Ewa nie miała już przy kim się doskonalić. Konin dzieli od Pęgowa 60 km, ale jest w województwie wielkopolskim, gdzie dziewczynki mogły już grać w zespołach z chłopcami. – Niech ją pan przywiezie – powiedział Jaszczak. – A na miejscu po samych ruchach Ewy dostrzegł jej nadzwyczajną koordynację. To zwiastuje nieprzeciętny talent sportowy – wspomina Kozłowski.

W tym momencie w życie i karierę Ewy wkracza kolejna kluczowa osoba – Nina Patalon, dziś selekcionerka kobiecej reprezentacji Polski, która za niecały miesiąc poprowadzi drużynę w Euro 2025 w Szwajcarii. 18 lat temu Patalon sama była piłkarką, a jako trenerka stawia-



• Ewa Pajor podczas meczu towarzyskiego: reprezentacja dziennikarzy - reprezentacja kobiet U-17 (2:2) na stadionie Polonii w Warszawie (9.07.2013).

ła dopiero pierwsze kroki. Pamięta jednak doskonale filigranową dziewczynkę, której piłka sięgała do kolan.

Wzruszył ją ten widok, zapytała z troską trenera Ewy, czy nie obawia się, że starsze i większe dziewczyny zrobią jej na boisku jakąś krzywdę. – Sama zobaczysz – odpowiedział. Pięć minut później Patalon nie mogła uwierzyć własnym oczom, patrząc na słom, jaki wykonywała 10-latką z piłką przyklejoną do nogi wśród rosyłych rywali. – To jakiś mały geniusz – pomyślała. I druga myśl, jaka trenerce przyszła do głowy: „Czy ja jako początkująca trenerka dam sobie radę, czy czegoś nie zepsuję?”

Zadzwoniła do prezesa Jaszczaka. – Prezesie, to jakaś Galácticos. Musimy zatrzymać to dziecko – powiedziała.

Żeby wyjaśnić zachwyt trenerki: „Galácticos” to termin ukuty przez kibiców na najlepsze, gwiazdorskie drużyny Realu Madryt.

Prezes był sceptyczny: Co, Galáctico w Pęgowie? Nasłuchał się o cudownych dzieciach, które potem okazywały się całkiem zwykłe. Poza tym, jak zatrzymać 10-latkę w Koninie, przecież jej rodzice mieszkali w Pęgowie? Przez jakiś czas Kozłowski woził Ewę do Konina, na treningi i turnieje. Aby zatrzymać Ewę w Medyku, trzeba było namówić na grę w piłkę jej starszą siostrę. Dzięki temu 10-latką czuła się w klubie pewniej.

W pierwszej drużynie Medyka zadebiutowała w wieku 15 lat. – Już się wtedy o nią nie bałam, wiedziałam, że da sobie radę – wspomina Patalon.

Śladem Lewandowskiego

W kwietniu 2006 roku, mając 15 lat i 133 dni, Pajor zadebiutowała w ekstraklasie, najwyższej klasie rozgrywek dla piłkarek w Polsce. Aby mogła zagrać, potrzebne było specjalne zezwolenie z Polskiego Związku Piłki Nożnej, bo przepisy nie pozwalały na występy zawodniczek przed skończeniem 16 lat.

Weszła z ławki rezerwowych w 55. min spotkania z AZS PSW Biała Podlaska, ale zdążyła wbić dwa gole. Pierwszego w zaledwie dwie minuty po pojawieniu się na boisku. W kolejnym sezonie zdobyła z Medykiem vicemistrzostwo i Puchar Polski, w finale z Unią Racibórz (2:1) strzeliła obydwa gole dla klubu z Konina. Potem wywalczyła z Medykiem dwa tytuły mistrzyni Polski i dwa Puchary, w 60 meczach w ekstraklasie wbiła aż 64 gole. Ostatni jej mecz w Medyku to był zwycięski finał Pucharu Polski. Ewa zdobyła w nim trzy bramki.

Jako osiemnastolatka wyrastała już ponad polską ligę. Latem 2015 roku wyjechała do Wolfsburga. Odrzuciła oferty z Chelsea i Paris Saint Germain – klubów bogatszych, wybrała grę w Bundeslidze, idąc śladem Roberta Lewandowskiego. Najlepszy polski piłkarz pięć lat wcześniej wyjechał z Lecha Poznań do Borussia Dortmund. Ich drogi miały się rozstać latem 2024 roku w Barcelonie.

Kibicuj Polkom, zakochaj się w Szwajcarii

• W Mistrzostwach Europy w piłce nożnej kobiet – UEFA Women’s EURO 2025 zagrają nasze Polki. Od 2 lipca 2025 roku można im będzie kibicować w pięknych, atrakcyjnych turystycznie miejscowościach Szwajcarii. Na łamach „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej” przedstawiamy piłkarki, które zagrają w tych mistrzostwach oraz miejsca, gdzie po meczach będzie można spędzić niezapomniane chwile z przyjaciółmi i bliskimi.

Sponsorem Wolfsburga jest firma optyczna. W 2017 roku u Ewy zdiagnozowano poważną wadę wzroku: stożek rogówki. Dwie operacje zatrzymały chorobę, która groziła nawet utratą wzroku. W przyszłości konieczna może być kolejna. Ewa wychodzi na boisko w specjalnych soczewkach.

Pech Pajor polegał na tym, że w Wolfsburgu znalazła się zaledwie sezon po wygraniu przez jej klub Ligi Mistrzyń, drugi raz z rzędu. Ewa była wtedy nastolatką, wchodziła do wielkiej drużyny. Opowiada, że patrzyła na gwiazdy zespołu jak na nadludzi. Zaczynała na ławce rezerwowych, ale jak już odpaliła, wywalczyła z Wolfsburgiem pięć tytułów mistrzyni Niemiec, dziewięć Pucharów i została dwa razy królową strzelczyń Bundesligi. Cztery razy docierała do finału Ligi Mistrzyń, ale cztery razy go przegrała (2016, 2018, 2020 i 2023).

W finale sprzed dwóch lat Wolfsburg mierzył się z Eindhoven z Barceloną. Pajor zdobyła bramkę na 1:0, ale potem piłkarki z Katalonii zwyciężyły 3:2, zaczynając okres dominacji w europejskim futbolu kobiet. Do barcelońskiego gwiazdozbioru Ewa dołączyła rok temu. Pobila wszystkie strzeleckie rekordy, zdobyła mistrzostwo Hiszpanii. Debiutancki sezon był perfekcyjny, gdyby nie feralny mecz z Arsenalem.

„Fatum nad Pajor” – tego typu dramatyczne tytuły ukazały się w polskich i hiszpańskich mediach 24 maja. – Jechaliśmy do Lizbony pewni, że w końcu Ewa musi Ligę Mistrzyń wygrać. Zastanawiałem się tylko: strzeli gola czy nie – wspomina Kozłowski.

■
*Ja się już w życiu
nasłuchałam okrzyków
z trybun „baby do garów”.
Nie robią na mnie wrażenia
– mówi trenerka Patalon*

I dodaje: – Dawno nie widziałem jej tak załamanej jak po tej porażce.

Barcelona wygrała dwie poprzednie edycje rozgrywek, latem 2024 zatrudnił polską napastniczkę, która szybko okazała się ostatnim brakującym ogniwem największego gwiazdozbioru w klubowej piłce kobiet.

Wszystko wskazywało na to, że Barcelona sięgnie po trzeci kolejny triumf w Lidze Mistrzyń, a 28-letnia Pajor w swoim piątym występie w finale wzniesie wreszcie upragnione trofeum. Po to przenosiła się z Wolfsburga do Katalonii.

Czy koleżanki cię nie lubią?

W latach 2016-22 w kobiecej piłce dominował francuski Olympique Lyon, który w tym czasie tylko raz, w 2021 roku oddał tytuł najlepszej drużyny Europy Barcelonie. Wolfsburg z Pajor w składzie przegrywał z Lyonem trzy finały Ligi Mistrzyń. Za pierwszym razem dopiero po serii rzutów karnych. Nic dziwnego, że kolejne finałowe porażki w najbardziej prestiżowych rozgrywkach zaostbrały apetyt Pajor na uciekającą jej trofeum. Wybrała klub z Katalonii, żeby wygrać w końcu Ligę Mistrzyń, i znów się nie udało.

We wszystkich rozgrywkach w Barcelonie Ewa zdobyła 43 bramki i poprawiła rekord Jennifer Hermoso – dotąd to Hiszpanka strzeliła dla klubu z Katalonii najwięcej goli w jednym sezonie (41). W debiutanckich rozgrywkach w Barcelonie Polka zdobyła tytuł królowej strzelczyń w lidze hiszpańskiej i tytuł mistrzowski, ale to było oczywiste. Jej drużyna od sześciu lat nie ma sobie równych w kraju.

Finał Ligi Mistrzyń z Arsenalem w Lizbonie miał być kulminacją dominacji Barcelony. Drużyna z Katalonii była niemal pewna zwycięstwa, w półfinale w dwumeczu rozbiła Chelsea aż 8:2 – mistrza Anglii, który w kobiecej Premier League wyprzedził piłkarki Arsenalu aż o 12 pkt.

A jednak mecz w Lizbonie zakończył się sensacyjnie. W prasie hiszpańskiej komentarze były takie, że Barcelona była tak zapartkowana w siebie, iż zapomniała o finałowym przeciwniku. Trudno się jednak dziwić, bo zespół z Katalonii to największy gwiazdozbiór w kobiecej piłce, ma niepowtarzalny styl i gdyby zagrał w Lizbonie na swoim normalnym poziomie, zapewne by wygrał.

Kiedy patrzyłem na niektóre mecze Barcelony, bywałem poważnie zaniepokojony – wyznaje Kozłowski. Zapytał nawet Ewę: – Czy gwiazdy zespołu Aitana Bonmati i Alexia Putellas cię nie lubią, bo mam wrażenie, że za rzadko podają ci piłkę.

Pajor odpowiedziała, że koleżanki uczą się grać z nią, bo przez lata nie miały w zespole klasycznej środkowej napastniczki.

Tak naprawdę Ewa sama bywała zaniepokojona, uspokoił ją jednak Robert Lewandowski. Kibiecy i męski zespół Barcelony gra w stylu nazywanym tiki-taką. Krótkimi, szybkimi podaniami, maksymalizując utrzymanie się przy piłce. Lewandowski wytłumaczył Pajor, że on w pełni oswoił się z tym stylem dopiero w trzecim sezonie gry w Barcelonie, czyli ostatnio. Ewa zrozumiała, że musi być cierpliwa. Ona zgłębia tiki-takę zaledwie w 10 miesięcy.

Ewa i Robert – oboje wyrosli ponad polski futbol. Oboje osiągnęli status gwiazdorski, niedostępny dla rodaków, uprawiających najpopularniejszą dyscyplinę sportu.

Pajor zarabia w Barcelonie 0,5 mln euro rocznie, Lewandowski był najlepiej opłacanym graczem klubu w minionym sezonie z pensją 33,3 mln euro.

To pokazuje, jakie są dysproporcje w kontraktach kobiet i mężczyzn.

Z Niemkami, Szwedkami i Dunkami

Niedługo po porażce w finale Ligi Mistrzyń Ewa przyleciała do Polski na zgrupowanie reprezentacji, ale odwołała wszystkie swoje plany medialne.

Jak to mogło wpłynąć na kadrę Niny Patalon, która w lipcu po raz pierwszy w historii zagra na Euro 2025 w Szwajcarii?

– Po finale w Lizbonie było mi po ludzku strasznie przykro – opowiada Patalon.

– Wiedziałam, jak musi czuć się Ewa, więc dałam jej czas, nie dzwoniłam. Taki jest sport, często więcej w nim porażek niż zwycięstw. Trzeba się więc co jakiś czas podnosić, odbijać od dna. Dojrzały sportowiec wie, że porażki musi zostawiać za sobą, nawet te najdotkliwsze. Ewa to potrafi, bo jako piłkarska zmieniła się bardzo w ostatnich latach, ale jeszcze bardziej zmieniła się jako człowiek – tłumaczy Patalon.

I dodaje, że odczekała jakiś czas po meczu w Lizbonie, a potem wysłała do Ewy SMS-a ze słowami wsparcia.

W lipcu Pajor ma być liderką drużyny narodowej, która po raz pierwszy w historii awansowała na Euro. Polki trafiły do grupy z Niemkami, Szwedkami i Dunkami, czyli rywalkami ze światowego topu, z którymi nigdy jeszcze nie wygrały.

Patalon wie lepiej niż ktokolwiek, jaka jest skala trudności rywalizacji z takimi gigantami kobiecej piłki. Ale przywołuje przykład Arsenalu – skazywanego na porażkę w finale z Barceloną.

– Jedziemy do Szwajcarii spełniać nasze marzenia – mówi Pajor. Selekcyjnerka dodaje, że nie ma w sporcie nic bardziej destrukcyjnego niż strach przed porażką. – Każda z nas ma swoje zadania. Ja i mój sztab mamy przygotować zespół na 100 procent, Ewa i inne piłkarki grać na 100 proc. Wtedy podarujemy sobie szansę na sukces, choć nawet wykonanie planu na 110 proc. nie da nam gwarancji awansu z tak trudnej grupy – mówi pani selekcyjner.

Zdaje sobie sprawę z tego, że podczas szwajcarskiego Euro piłkarska kadra kobiet „wyjdzie z podziemia”. To będzie moment, kiedy na Pajor i jej koleżanki zwrócą się oczy milionów rodaków, nawet tych, którzy nie wiedzą, że są w Polsce kobiety zawodowo uprawiające piłkę nożną.

– Oczekiwania? One są w sporcie zawsze. Dziewczyny mają robić swoje, a nie martwić się o to, co o nich powiedzą inni.

Ja się już w życiu nasłuchałam okrzyków z trybun: „Baby do garów!”. Nie robią na mnie wrażenia – mówi Patalon.

Dla Pajor piłka nożna to miłość. – Grałam z rodzeństwem, z kolegami, potem na turniejach chłopaki się dziwili, że dziewczyna strzela najwięcej bramek. To były lata ciężkiej pracy w gospodarstwie, ale piłka była zawsze moją pasją – opowiada.

Jej inspiracją był Cristiano Ronaldo, podkreśla charyzmę i zacięcie do futbolu Portugalczyka. Wiele lat później spotkała idola i zamieniła z nim kilka zdań. Ten moment określa jako spełnienie marzeń.

Uczy się jednak także od Lewandowskiego. Jakies dwa miesiące temu FC Barcelona zorganizowała mały panel dyskusyjny z udziałem dwójki Polaków – środkowych napastników w kobiecej i męskiej drużynie. Pajor przyznała, że pilnie ogląda mecze Roberta, patrzy, jak się porusza po boisku i jak szuka sobie miejsca między rywalami w ścisłu pola karnego.

Sama jest w tym doskonała. Podkreśla to trener Barcelony Pere Romeu. Tak jak większość komentatorów w Hiszpanii uważa, że zatrudnienie Polki zlikwidowało ostatni słabszy punkt jego zespołu. – Od czasu Jennifer Hermoso Barcelona nie miała klasycznej, środkowej napastniczki takiej jak Ewa – mówił Ángel Pérez, dziennikarz największego sportowego dziennika w Katalonii „El Mundo Deportivo”.

Patalon podkreśla jednak, że Ewa jest innym typem napastnika niż Robert. – Lewandowski to egzekutor najwyższej klasy, ale potrzebuje kolegów, by strzelać gole. Sam nie przedrybluje całej obrony przeciwnika. Pajor to potrafi – przekonuje.

Ewa podziwia piłkarzy, ale nie przepada za porównaniami: ani do Messiego, ani Lewandowskiego, ani nawet Ronaldo, w którego czerwonej koszulce Manchesteru United, kupionej w dzieciństwie, obijała ceglano-drewnianą bramkę w rodzinnym Pégowie.

Jest sobą, a nie „Lewandowskim w spódnicy”, nawet jeśli takie niezbyt wyrafinowane porównanie uważa za komplement. Spódnicę zakłada zresztą rzadko.



• Gdańsk, 3.06. 2025. Ewa Pajor rozdaje autografy przed meczem Ligi Narodów Polska-Rumunia. Nasza drużyna wygrała 3:0

Pajor zarabia w Barcelonie 0,5 mln euro rocznie, Lewandowski był najlepiej opłacanym graczem klubu w minionym sezonie z pensją 33,3 mln euro.

Kozłowski współczuje wychowance serii porażek w finale Ligi Mistrzów, ale jest pewien, że za rok ją wygra. Barcelona jest po prostu teraz najlepsza. Pierwszy trener Ewy myśli też o Złotej Piłce dla Pajor – tego wyróżnienia nie otrzymał jeszcze nikt z Polski.

Seksistowskie SMS-y

Poza zwycięstwami i trofeami liczy się coś jeszcze. Ángel Pérez z „El Mundo Deportivo” opowiada, że Barcelona to wciąż jedyny klub w Hiszpanii, który piłkę kobiecą traktuje serio. Jego słowa potwierdzają fakty z finału Superpucharu Hiszpanii rozgrywanego w styczniu w Sewilli.

Barcelona grała w nim z Realem Madryt. Na mecz przybył prezes klubu z Katalonii Joan Laporta, tymczasem prezes Realu Florentino Pérez nie znalazł czasu. Laporta cieszył się ze zwycięstwa 5:0, Pajor zdobyła dwie bramki. Prezes Barcelony pojechał też do Lizbony, ale tam musiał pocieszać swoje piłkarki po sensacyjnej porażce.

Są one wyjątkowo aktywne w walce o równouprawnienie piłki kobiecej, co nie może nie mieć wpływu na Pajor.

Do 1975 roku uprawianie futbolu przez kobiety było w Hiszpanii zakazane, jak w wielu innych krajach Europy.

Kiedy namawiano ówczesnego preza hiszpańskiej federacji, żeby stworzył kobiecą reprezentację kraju, odpowiedział błyskotliwie, że kobietom bardziej do twarzy w strojach ludowych niż sportowych. W 1980 roku powstał jednak niezależny związek piłki kobiecej, hiszpańska federacja musiała zaakceptować kobiety w tej dyscyplinie. Trzy lata później powstały pierwsze rozgrywki: Copa de la Reina – Puchar Królowej. W tym roku wygrała go Ewa Pajor: 7 czerwca w finale Barcelona pokonała Atletico Madryt 2:0.

Dwa lata temu z okazji Dnia Kobiet Robert Lewandowski został zaproszony przez zawodniczkę Barcelony Mapi Leon do akcji zwalczania hejtu skierowanego w piłkarki. Czytał na głos seksistowskie SMS-y, które dostają jego koleżanki. Był zszokowany, że kibice klubu walczącego o równouprawnienie mogą pisać tak obraźliwe słowa.

Piłkarki Barcelony walczą o swoje prawa także z federacją hiszpańską. Rok przed mundialem w Australii zdecydowały się na strajk, żądając odejścia selekcjonera Jorge Vildy. Ówczesny prezes Luis Rubiales odrzucił ich argumenty. Część wróciła do kadry i pojechała na mundial, gdzie zdobyły złote medale. Na ceremonii ich wręczenia Rubiales pocałował w usta Jennifer Hermoso. Wywołało to seksistowski skandal w Hiszpanii i całym świecie. Prezes zapłacił za to posadą, a niedawno dostał wyrok w sądzie.

Walka Hiszpanek stała się głośna na całym świecie. Gdy po mundialu jechały na mecze w Lidze Narodów, rywalki witały je transparentami z poparciem.

– Żadna z nas nie żąda zarobków takich, jakie mają piłkarze – tłumaczyła Aitana Bonmati, laureatka Złotej Piłki w ostatnich dwóch latach i koleżanka Pajor z Barcelony. – Jesteśmy świadome, że futbol kobiet jest mniej popularny i generuje mniej pieniędzy. Żądamy jednak równych praw dla dziewcząt, które chcą zostać piłkarkami.

Aitana wie, co mówi, jej w dzieciństwie zabraniano gry w piłkę z chłopakami. Wszyscy dookoła uważali, że nie wypada. Poza rodzicami. Dziś jest najlepsza na świecie.

Hiszpańskie piłkarki założyły własny związek zawodowy, strajkowały, by wymusić na federacji i władzach ligi kobiecej podstawowe sprawy. Takie jak ubezpieczenia od kontuzji lub wsparcie w czasie ciąży. Dużo udało się poprawić. Szefowa związku piłkarek zapewnia, że wprowadzono procedury karania każdego trenera, który nazwie piłkarkę grubaską.

Jeszcze niedawno publiczne obrażanie zawodniczek podczas meczów i treninów uchodziło za skuteczną metodę motywacyjną.

– Piłkarki Barcelony są zdeterminowane w swojej walce – mówi Ángel Pérez. – Ewy nikt do tego jednak nie nakłania. Jest w klubie nowa, musi poznać język, realia i sama zdecydować, co chce robić. Dla jej koleżanek najważniejsze jest, żeby dobrze się czuła w drużynie i zdobywała jak najwięcej bramek.

Ewa walczy przede wszystkim o przyszłość piłki kobiecej w Polsce. Organizuje akcje, turnieje, zachęca dziewczynki do gry. Żeby nie rezygnowały z marzeń, choćby ktoś im wmawiał, że piłka nożna nie jest dla nich. Barrier jest coraz mniej, futbol kobiecy staje się normalnym sportem.

Nina Patalon opowiada, że piłkarki amerykańskie zarobiły dla swojego związku w ciągu roku 20 mln dolarów. – Piłka męska i kobieca nie muszą ze sobą rywalizować, raczej rozwijać się razem – mówi Patalon. – Nawet jeśli futbol męski jest najpopularniejszym sportem na świecie, to i tak znajdują się kibice, którzy wybiorą piłkę kobiecą. Albo sponsorzy, którzy będą chcieli ją wspierać, bo ich produkty są przeznaczone dla kobiet – kończy.

Status piłki kobiecej w Polsce wzmacnia awans reprezentacji na Euro 2025. Kapitan drużyny z małego Pégowa staje się sportsmenką rozpoznawalną i docenianą w kraju i za granicą. Będąc na zgrupowaniu kadry w Gdańsku, przed meczem w Lidze Narodów z Rumunkami widzieliśmy chłopców w biało-czerwonych koszulkach z orłem oraz numerem dziewczę na plecach i z napisem: „Ewa Pajor”. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/3437753

**KIBICUJ POLKOM
I ZAKOCHAJ SIĘ
W SZWAJCARII**

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

SPONSOR

swi⁺zerland



© Switzerland Tourism – Ekspres Lodowcowy, Wiadukt Landwasser

Wielka podróż kolejowa

Tylko jedna podróż, a w niej:
najciekawsze miejsca,
najpiękniejsze widoki, nie dość,
że wygodnie to również bardzo
ekologicznie – jedziemy pociągami

Wielka Podróż Kolejowa – Grand Train Tour of Switzerland (GTToS) to nie jest jedna trasa. Ponieważ nie chodzi w niej o samo dotarcie do celu tylko o to, co przeżyjemy po drodze, tworzą ją najciekawsze odcinki najpiękniejszych tras. Łączą się ze sobą w kilku punktach, co pozwala na dowolne stworzenie własnej „wielkiej podróży” – na dwa dni albo i na dwa tygodnie. Jest to świetny sposób



© Switzerland Tourism – Ekspres Bernina, Alp Grüm



© Switzerland Tourism – Ekspres Przedalpejski, Nesslau Toggeburg

na relaksujące letnie albo jesienne wakacje: kiedy wam się znudzi jazda z widokami (a świsnak na to: niemożliwe), zmęczą wędrówki albo będziecie mieli przesyt miejskich atrakcji, zawsze można się zatrzymać na przykład w spa.

Grand Train Tour pozwala poznać wszystkie cztery szwajcarskie rejony językowe, czyli: francuski, niemiecki, włoski i retoromański, ich kulturę, tradycję, kuchnię. Łącznie ma ok. 1300 km, prowadzi wzdłuż 22 dużych jezior, pomiędzy lodowcami – w tym alpejskim kolosem Aletsch, wodospadami i monumentalnymi szczytami: wjedziecie na przełęczę znajdujące na wysokości powyżej 2 tys. m n.p.m., skąd niebo naprawdę jest na wyciągnięcie ręki. Przy trasie znajduje się wiele mniejszych i większych miast, tradycyjnych wsi oraz jedenaście atrakcji wpisanych na listę UNESCO.



© Switzerland Tourism – Ekspres Panoramiczny Gotarda, Flüelen

To początek „ochów” i „achów”, bo: szwajcarskie pociągi są komfortowe, punktualne jak tutejsze zegarki, w dużej części zasilane zieloną energią (np. w słynnych Kolejach Retyckich – już stuprocentowo) co daje „eko” przemnożone przez dwa. Na trasie GTToS będziecie podróżować panoramicznymi ekspresami: Bernina, Lodowcowy, Gotarda, Przedalpejski oraz Złotej Przełęczy a także innymi pociągami pomagającymi je łączyć w pętle – są to ciekawe trasy: Zurych-Lucerna-Interlaken; Zurych-Szaфуza-St. Gallen oraz Monterux-Zermatt. W pociąg można wskoczyć zaraz po meczu: Polki grają w Lucernie, skąd składy rozjeżdżają się na trasę GTToS w czterech kierunkach (St. Gallen, Zurych, Interlaken, Andermatt) oraz w historycznym mieście St. Gallen, z którego dostaniecie się szybko pociągami na Ekspresy Kolei Retyckich, czyli: Lodowcowy i Bernina. Z St. Gallen można również ruszyć linią poprowadzoną wzdłuż Renu do słynącej z jego przełomu i najpotężniejszego europejskiego wodospadu Szaфуzy.

Ekspresy Bernina i Lodowcowy to najstłynniejsze pociągi Szwajcarii, ten pierwszy jest jedynym pociągami pozwalającym pokonać Alpy z południa na północ. Startuje z włoskiego miasteczka Tirano tuż przed granicą ze Szwajcarią (można też zacząć wcześniej, w uroczu śródziemnomorskim szwajcarskim Lugano – pierwszy odcinek pokonacie autobusem Ekspres Bernina) i aż do Thusis jest wpisany na listę UNESCO: za majstersztyk konstrukcji i piękno otaczającego krajobrazu. To 122 km naszpikowane niezwykle tunelami, wiaduktami i mostami, zaczynając od słynnego okrągłego wiaduktu Brusio. W eleganckim kurorcie St. Moritz startuje również Ekspres Lodowcowy, na odcinku do Chur trasa obu się pokrywa. I świetnie, bo znajdują się tu imponujące konstrukcje – biegnący łukiem i wsparty na potężnych pylonach wiadukt Landwasser oraz cztery wiadukty i trzy spiralne tunele pozwalające płynnie pokonać najtrudniejszy technicznie odcinek



© Switzerland Tourism – Ekspres Złotej Przełęczy, Montreux

niedaleko Bergün. Okolica jest sercem Gryzonii, w czerwcu zostanie tu otwarty pozwalający ją poznać lepiej Landwasser World. To projekt z atrakcjami takimi jak np. pociągi, restauracje, muzea, szlaki podzielony na pięć tematycznych dziedzin: kolej, kultura, woda, las, rolnictwo.

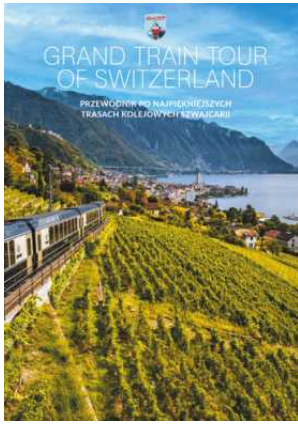
Ekspres Lodowcowy w Chur odbija na południowy-zachód, by przemierzyć majestatyczną dolinę Renu Wschodniego. Z okien zobaczycie niezwykle głęboki kanion Ruinaulta, a na koniec podróży – ikoniczny szczyt Matterhorn z charakterystycznym zakrzywionym nosem widziany z kurortu Zermatt.

Ekspres Złotej Przełęczy to luksusowy pociąg z wagonami stylizowanymi na czasy belle epoque, który w nieco ponad dwie godziny pokonuje trasę z Montreux do Zweisimmen. Nazywa się tak, bo pierwszy angielskojęzyczny pasażerowie zachwyceni winnicami Lavaux i doliną orzekli, że mieli tu „złoty czas”. **Ekspres Przedalpejski** jedzie z Lucerny do St. Gallen przez łagodne zielone wzgórza z widokiem na alpejskie szczyty na horyzoncie. W samym St. Gallen koniecznie zajrzyjcie do opactwa św. Galla, jednego z najważniejszych klasztorów benedyktyńskich w Europie, założonego ponad 1200 lat temu i jego wspaniałej biblioteki z unikatowymi rękopisami i starodrukami, np. Ewangelią św. Jana z początków IX w. **Ekspres Gotarda** jako panoramiczny kursuje w sezonie letnio-jesiennym – z Lucerny do Lugano we Włoszech, podróż urozmaica pierwszy odcinek – pokonacie go parostatkami po Jeziorze Czterech Kantonów.

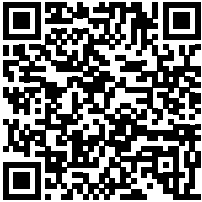


© Switzerland Tourism – Ekspres Złotej Przełęczy, Schönried

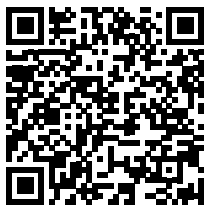
**Pobierz
naszą publikację:**



←
**Grand
Train Tour
of Switzerland**



Więcej na:
mojaszwajcaria.pl



NIE TYLKO FACECI SĄ CH...MI



FOT. GETTY IMAGES

Konserwatywni politycy zauważyli, że mężczyźni mają dość krytyki, i odpowiedzieli na ich lęki.

Z AGĄ KOZAK* I PAWŁEM GOZLIŃSKIM**
ROZMAWIA MAŁGORZATA SKOWROŃSKA

Napisaliście polityczną książkę.
A.K.: Od ponad tygodnia ciągle to słyszymy. A nie taki był zamiar...

Przed wyborami prezydenckimi nie ustawiłabym „Sztuki męskości, czyli jak nie być chujem” na półce z publicystyką polityczną. A po 1 czerwca, gdy okazało się, że konserwatywni mężczyźni mają taką siłę, która daje prezydenturę, łądajecie z waszymi rozmowami obok felietonów Magdaleny Środy i książek Krytyki Politycznej.
A.K.: Bo te wybory dobitnie pokazały, jak bardzo męskość w Polsce jest – lub czuje się – niezaopiekowana, niewidziana, a jest nieprzegadana.

P.G.: I jak na to nieprzegadanie mężczyźni reagują, również swoimi politycznymi wyborami.

A.K.: Bezwiednie wpisaliśmy się więc ze „Sztuką męskości...” w polityczny kontekst.

Mężczyźni źle się dziś czują w swojej skórze?

A.K.: Tak nam mówili nasi koledzy i przyjaciele w rozmowach prywatnych jeszcze przed powstaniem książki – że

coś ich uwiera, że jest trudno i że nikt tego nie dostrzega. O tym poczuciu mówili nam też nasi książkowi rozmówcy: profesor psychologii Bartłomiej Dobroczyński, prof. Andrzej Leder, terapeuta i filozof kultury, socjolog prof. Tomasz Sobierajski, semiotyk kultury prof. Marcin Napiórkowski oraz androlog, psychoterapeuta, spec od komunikacji, pastor czy raper.

My – kobiety – z kolei widzimy to, bo nie możemy się dogadać chociażby z coraz bardziej wycofującymi się z życia ojcami, partnerami czy synami. I też nam z tym niewygodnie.

P.G.: Wielu mężczyzn czuje się atakowanych, zmuszanych do tego, żeby się posunąć, zrobić miejsce osobom i grupom, które do tej pory miały w życiu społecznym mocno pod górę. To trudne – zrezygnować ze swoich oczywistych przywilejów. Stąd frustracja, a nawet, jak mówi jeden z naszych rozmówców, Andrzej Leder, męska histeria wywołana kryzysem i kroczącym za nim lękiem, że trzeba będzie zejść z tronu.

Ale to nieuchronne. Procesy emancypacyjne sprawiły, że jako mężczyźni nie jesteśmy w stanie obronić dotychczas dziedziczonego i powielanego patriarchalnego wzorca męskości. Zbroja, którą kazano nam nosić, jest za mała, uwiera, trzeba ją łątać i przytrzymywać rękami, żeby z nas nie opadła. Żeby w jej szczelinach nie ujawniły się nasze słabości.

Więc żadnych słabości! Mężczyzna zawsze musi być gotowy. Do rywalizacji, do walki, do wyruszenia na wojnę. Nie jest łatwo taką zbroję zrzucić i stanąć twarzą w twarz z własnymi lękami. Równie trudno jest sprostać dziś tym męskim wzorcom. Psycholog Bartłomiej Dobroczyński mówi nam, że każdy mężczyzna słyszy

w swojej głowie chór, który żąda od nas, byśmy byli kowalami swojego losu, a przy okazji wykuli dla siebie status jakiegoś Muska albo Trumpa.

Jeśli ci się nie uda – a przecież prawie na pewno się nie uda – łądujesz w przed-szkolnej grupie „przegryw”. Ale nie możesz zapłakać nad swym losem, bo przecież chłopaki nie płaczą.

Jak pokazują badania, mężczyźni nie przyjaźnią się też głębiej, nie chodzą do lekarza, bo to oznaki słabości. Mają być silni za wszelką cenę.

Właśnie odmalowałeś portret konserwatywnego mężczyzny.

P.G.: Do tego uproszczony, wiem, ale żeby dojść do jakichkolwiek sensownych wniosków, nawet naukowcy muszą sobie rzecz- ywistość sprowadzić do modeli.

Tyle że ów konserwatywny mężczyzna akurat wydaje się zadowolony z tego męskiego patriarchalnego wzorca. A nawet jeśli go uwiera, to nie na tyle, żeby go odrzucić. Te wybory dobitnie to pokazały. Jeśli popatrzeć na statystyki, to ponad połowa głosujących mężczyzn opowiada się za tradycyjnym wzorcem...

A.K.: A ponad połowa głosujących kobiet go odrzuca. Z badań prof. Pauli Pustulki z SWPS wynika, że z romantycznej miłości kobieta poślubi takiego konserwatywnego mężczyznę, urodzi mu nawet dziecko. Ale właśnie jedno, nie więcej, bo dzielenie życia z kimś, kto traktuje cię – tu cytuję – jak część inwentarza, jest po prostu żmudne. Kobiety chcą – choć nie wszystkie oczywiście – partnerstwa. Choćby przy obsłudze pralki czy opiece nad dziećmi. A tego partner, który nawet przy pralce chciałby „tradycji”, im nie zapewni.

Nie chcą też mężczyzn, którzy są chujami, choć ten konstrukt dla niektórych bywa pociągający, bo w chuju jest jednak jakaś moc, obietnica sprawczości.

A kim są chujowi mężczyźni? Intuicyjnie wiem, ale chciałbym usłyszeć waszą definicję. Do mnie przemawia ta, którą kolportuje Bartłomiej Dobroczyński w anegdocie, jaka jest różnica między fiutem a chujem. Z tym pierwszym nie chcesz się kolegować, ale się go nie boisz, a z tym drugim możesz się kolegować lub nie, ale się go boisz.

P.G.: Gdy pytamy, jak nie być chujem, chodzi nam po prostu o namysł, co zrobić z typem wciąż przywiązany do patriarchalnych relacji, niegotowy na zmiany i partnerstwo z kobietami, z inaczej myślącymi.

Ale ta książka powstała nie z potrzeby akademickiej dyskusji, ale autentycznej próby zmierzenia się z własnymi problemami. Aga chciała wreszcie zrozumieć mężczyzn swojego życia, a ja mam syna, którego nie chciałbym wychować na patriarchalnego chuja. Sam też próbowałem się zmierzyć z trudną relacją z własnym ojcem, żeby bez przerwy nie powtarzać i przekazywać tych samych chujowych błędów.

A.K.: Powiedzmy to sobie szczerze: nie tylko faceci się chujami. Prawie każdy i każda z nas bywa chujem i trzeba się wreszcie z tym zmierzyć. Po psychologicznemu – zintegrować tę postać w sobie. Mnie na to pytanie odpowiadali tak-sówkarze, z którymi „konsultowałam” temat: mówili, że kim chuj jest, każdy wie, że to taki ktoś, kto rozumie, że nie robi dobrze. A jednak robi świństwa, bo mu zależy na sobie, na władzy, na tym, żeby mieć lepiej niż inni.

A co powiecie na to, że prawie połowa wyborców konserwatywnego prezydenta kibola z sutenerską przeszłością czyściciela mieszkań to kobiety?
A.K.: Jak już nie mówiłam, nie tylko faceci potrafią być chujami: nie budujemy takiego obrazu, że mężczyźni są TYLKO tacy, be, a kobiety TYLKO prodemokratyczne, wolnościowe, wspaniałe.

O strażniczkach patriarchy można by napisać kolejną książkę. Ale ja się im nie dziwię. Zmęczone tym, że wspaniałe sklejo-ny z patriarchatem kapitalizm narzuca im po 2-4 etaty – bo oprócz pracy mają jeszcze dom i być może opiekę nad starszymi osobami – tęsknią za czasami, w których wszystko było „prostsze”. Nawet ja czasem w zapierdolu ulegam tej retroutopii, którą pięknie opisuje specjalista od masculinity studies prof. Wojciech Śmieja.

P.G.: Nie mamy jednego typu mężczyzny i nie mamy jednego typu kobiety. To chyba oczywiste. Jest spektrum, a w takim kontekście pytanie, jak nie być chujem, zmierz ku czemuś bardzo prostemu, ale nie naiwnemu: jak być wartościowym człowiekiem.

A.K.: To prawda, choć to męskość jest mocniej niż kobiecość uwięziona w ciągłej potrzebie udowadniania, kto jest „prawdziwym” mężczyzną – siła, kompetencja, dominacja. Potrzebie udowadniania, że się nie jest kobietą czy dzieckiem, czyli babą albo cipą.

W Polsce, gdzie wciąż żywy jest obraz „twardego faceta” – według ostatniego badania CBOS 41 procent osób w wieku 18-65 lat uważa, że mężczyzna nie powinien płakać ani okazywać uczuć – jest to szczególnie aktualne. My szukamy odpowiedzi na pytanie, czy męskość naprawdę musi być taka.

Owszem, może, wręcz powinna być siłą, mocą. Ale czy nie powinny się w niej również znaleźć miejsce na przyzwolenie na niepewność, na dialog, na zaopiekowanie słabszym, sobą samym? Nasza książka chce przełamać tradycyjny schemat, pokazać, że mężczyzna może być sobą – w całym swoim spektrum płci – a nie tylko rolę.

Trafiło do mnie zdanie, które przeczytałam we wstępie do waszych rozmów, że męskość przestała być przezroczysta i stała się obiektem krytyki. Trzeba być naprawdę twardym/ twardą, żeby dobrze znosić krytykę.
P.G.: Mogę politycznie odpowiedzieć?

Pewnie.

P.G.: Te wybory pokazały, że tradycyjna męskość – „opiekun rodziny”, patriota, lider – wciąż ma w Polsce ogromną siłę. To przemawia do mężczyzn, którzy czują się zagubieni w świecie, w którym kwestionuje się ich rolę.

Leder mówi o męskiej hysterii właśnie jako reakcji na utratę przywilejów. Konserwatywni politycy zauważyli i wykorzystali to, że mężczyźni mają dość krytyki, i odpowiedzieli na ich lęki. To oczywiście nie rozwiązuje kryzysu mękości. Raczej go pogłębia, zamyka mężczyzn w starych schematach.

Erich Fromm powiedziałby, że uciekają od wolności.

A.K.: Wolności, nowoczesności, odpowiedzialności, ale też przecież od zbytniego przyspieszenia i chaosu nowych czasów, w których z jednej strony wojna i być może trzeba będzie iść do wojska, czego mężczyźni – jak wychodzi z badań – nie chcą, a z drugiej AI. Z jednej baby się emancypują, z drugiej dzieci mówią niezrozumiałym językiem memów...

P.K.: Uciekają w... grupy rekonstrukcyjne. To akurat z Bartłomieja Dobroczyńskiego, który mówi, że konserwatywna część Polski to jedna wielka grupa rekonstrukcyjna.

A.K.: To wynika z poczucia zagrożenia – prawdziwego czy wytworzonego przez rozmaite podmioty mające w tym interes. Wszelkie wybory to lustro społecznych lęków, a te ostatnie pokazały nam, że – miej-

my nadzieję – odchodzący patriarchat ma ochotę jeszcze przywalić, klasyczny „backlash”, z którym mieliśmy do czynienia już w latach 80. To reakcja, jak mówi Andrzej Leder, na rewolucję podmiotowości, czyli zmiany, gdy kobiety i mniejszości domagają się równości.

Opcja konserwatywno-narodowo-kościelna wygrała, bo wielu mężczyzn nie chce zmiany, zmiana bowiem jest przerażająca i wymagająca. Jednak to ślepa uliczka. Pokazują to choćby krwawe przykłady irańskich czy sudańskich rewolucji kulturowych.

W zasadzie wszyscy nasi rozmówcy są zgodni, że mężczyzna może być wrażliwy, refleksyjny, a nie tylko silny. Właśnie to wymaga tego, co z męskością kojarzymy, czyli odwagi. Szczególnie gdy polityka czy algorytmy mediów społecznościowych budują binarne podziały i nagradzają stereotypowe wyobrażenia.

W waszej książce Marcin Napiórkowski mówi: „Bycie chujem polega na wiedzeniu wszystkiego zawsze i o wszystkim. A także nieprzyjmowaniu do wiadomości sytuacji, w których mogą czegoś nie wiedzieć”. Mam dziennikarskie doświadczenia z tym związane. Gdy dzwo-

Ja się nie dziwię strażniczkom patriarchy, że tęsknią za czasami, w których wszystko było „prostsze”

nię do kobiety i proszę o komentarz, bardzo często słyszę: „Nie moja dzialka, nie mam z tego habilitacji, może lepiej z jakimś profesorem”. Gdy o to samo proszę mężczyznę, odmowy nie ma, a rozmówca od razu jest gotowy komentować wszystkie sprawy świata.
P.G.: Mężczyźni od dziecka słyszą, że muszą być pewni siebie, znać odpowiedzi, działać. „Nie wiem” jest postrzegane jako słabość, niemal zdrada męskiego ideału.

Napiórkowski mówi o „overconfidence” – nadmiernej pewności siebie, która prowadzi do mansplainigu czy wielu niepremyślanych decyzji. Wiąże się z tym przesadna potrzeba działania, która w ostatecznym rozrachunku nam szkodzi.

Przywołam giełdowe doświadczenia, o których Marcin opowiada nam na podstawie artykułu Brada M. Barbera sprzed 15 lat. Tytuł znamienny: „Boys will be boys: Gender, overconfidence, and common stock investment”. Co z niego wynikało?

Okazuje się, że zaufani w sobie mężczyźni, przekonani o swej genialnej intuicji i spostrzegawczości, dokonują o 45 procent więcej transakcji niż kobiety. Bez przerw sprzedają, zamieniają, kupują. Z powodu tych chaotycznych ruchów każdego roku ich zysk zmniejsza się średnio o 2,65 punktu procentowego. Natomiast kobiety nie wykonują tak gwałtownych ruchów i w efekcie osiągają większe zyski.

Dobrze wiedzieć.

A.K.: To odpowiedni moment, żeby przypomnieć, że kobiety też czasem wpadają w pułapkę pod tytułem „wiem wszystko i udzielę ci rady”, zwłaszcza w relacjach z mężczyznami, gdy narzucamy im swoje zdanie, nie słuchamy albo – również wychowane w patriarchacie i też tańczące ze swoimi lękami, zmęczone – narzucamy im rolę „rycerza” czy „opiekuna”. A im bardziej my i oni wiemy, tym bardziej stoimy w rozkroku.

Jako osoba niezwiązana z Kościołem lubię cytować to, co Ralph Fiennes mówi jako kardynał Lawrence w filmie „Konkla-

we”: „Nasza wiara jest żywa właśnie dlatego, że idzie ręką w rękę z wątpliwością. Gdyby istniała, zatem nie byłoby potrzeby wiary. Módlmy się, aby Bóg dał nam papieża, który wątpi”.

Ja się modlę, żebyśmy mieli więcej ciekawości siebie, a nie oceny i pewności, bo tak się właśnie przewala wybory. „Be courageous, not judgmental” – jak mówi Ted Lasso, cytując Walta Whitmana.

P.G.: Z jednej strony mężczyźni czują, że stare wzorce – „twardy facet”, „głowa rodziny”, – już nie działają, ale wciąż są do nich przywiązani, bo nie widzą alternatywy, ale też dlatego, że z przywileju trudno zrezygnować. Bo w imię czego?

Rozmawialiśmy nie tylko z mężczyznami, którzy wyrażają żal, że tracą uprzywilejowaną pozycję, ale też z takimi, którzy widzą w tym szansę. Na przykład raper Vienio, czyli Piotr Więclawski, mówił o tym, jak ulica i podwórko ukształtowały jego męskość. Ale dopiero świadomość własnych ograniczeń pozwoliła mu stać się po latach „fajnym facetem”.

Widzimy też złość – u tych, którzy czują się zagrożeni przez zmiany, przez MeToo, przez kobiety, które domagają się równości. Ale jest też nadzieja – w mężczyznach, którzy zakładają „męskie kręgi”, chodzą na

terapię, uczą się mówić o emocjach, budują głębokie relacje ze swoimi dziećmi, są w ich życiu obecni. Jest ich coraz więcej.

Vienio przejmująco mówi o gniewie, który nosił w sobie. Ten gniew miał związek z ojcem i podwórkową opresyjną hierarchią. Właśnie taki syf noszą w sobie polscy mężczyźni.

P.G.: Mężczyźni, z którymi rozmawialiśmy, często wskazywali na: gniew, wstyd, poczucie nieadekwatności. Vienio mówił o tym, że nie został przez ojca „pasowany na mężczyznę”, więc musiał tę swoją męskość potwierdzać na ulicy. To częsty motyw – brak wzorców, jak być mężczyzną w świecie, który z jednej strony wymaga od ciebie siły, a z drugiej wrażliwości. A wmówiono ci, że możesz być mężczyzną tylko w jednej z tych pozycji.

Syf to też presja rywalizacji – na podwórku, w pracy, w relacjach. Mężczyźni uczą się, że muszą być „najlepsi”, a to rodzi frustrację, gdy nie sprostają. Zmierzenie się z tym wymaga odwagi – przyznania, że coś nas boli, że nie wiemy, jak być. To trudne, gdy kultura, media, nawet kobiety mówią: „nie bądź słaby”.

A.K.: Mężczyźni dźwigają okropne oczekiwania, że będą zawsze silni, zawsze ogarnięci, nie mogą pokazać słabości, co – jak wiemy – prowadzi do depresji oraz zatrważających w Polsce statystyk samobójstw.

Te stereotypy sprawiają, że mężczyźni rzadziej niż kobiety szukają pomocy psychologicznej, nie chodzą do lekarza. A kiedy w końcu przechodzą w krótkim stadium raka, chwalą się doktorowi: „U lekarza to ostatnio 40 lat temu byłem”, jak opowiada nam jeden z rozmówców. To pokazuje, jak bardzo potrzebujemy nowego języka dla męskich emocji, opieki nad sobą – języka, który pozwoli powiedzieć „boli mnie” bez wstydu.

Wyniki wyborów pokazały silną polaryzację w Polsce. Z jednej strony mamy partie konserwatywne, które odwołują się do tradycyjnych ról płciowych, z dru-

giej progresywne siły, które promują różnorodność. Wasza książka wpisała się w ten dualizm.

P.G.: Polska jest podzielona w kwestii płci i ról społecznych. Konserwatywne narracje często wykorzystują obraz silnego mężczyzny jako przeciwwagę dla „chaosu” równości płci czy praw mniejszości. To widać w retoryce wielu polityków, którzy straszą „upadkiem tradycyjnej rodziny”.

Nasza książka jest odpowiedzią na ten strach – mówimy: męskość nie musi być monolitem, nie musi być twarda czy patriotyczna w stereotypowym sensie. Rozmawialiśmy z mężczyznami, którzy odrzucają ten model – jak pastor Dariusz Zuber, który potrafi znaleźć nawet w postawie Jezusa argumenty dla rezygnacji z patriarchalnych przywilejów.

Jest miejsce na rozmowę tych dwóch światów?

A.K.: Zawsze. Jeśli założymy, że są dwa światy, to mogła. Tych światów jest więcej, trzeba to dostrzec, a nie wpadać w binarny podział, zwłaszcza że chłopaki z KO też wcale nie są takie postępowe, a raczej w stylu „chuj wie”. Trzeba widzieć ludzi – w tym kobiety i mężczyzn, większości i mniejszości – z ich lękami i potrzebami bicia dostrzeżonymi i wysłuchanymi.

P.G.: Choć konserwatyści właśnie pogrozili reszcie społeczeństwa. Dali nam znać, że nie chcą, żeby im pod zbroje zaglądać.

A.K.: Polityka to jedno, ale jest też codzienność. W książce piszemy o „empatycznym rozpierdolu” – nie tylko złości na męskość patriarchalną i przemocową, ale też tęsknocie za nową, świadomą męskością, która konfrontuje się z własnymi emocjami i zawsze stanie w obronie najsłabszego.

To jest odpowiedź na tytułowe pytanie: jak nie być chujem?

P.G.: Nie ma jednej kanonicznej odpowiedzi na to pytanie. Nasi rozmówcy też na nie precyzyjnie nie odpowiadają. Dają nam jednak coś cenniejszego: czuły, empatyczny namysł nad stereotypem i odwagę, żeby się mu postawić. ●



*Aga Kozak

• dziennikarka, coacherka, edukatorka. Pracuje na styku psychologii i antropologii. Autorka wywiadów z Anthonym Bourdainem, Esther Perel, Stingiem czy Brené Brown.

**Paweł Goźliński

• pisarz, redaktor. Autor m.in. powieści „Akan” i rozmowy rzeki „Bralczyk o sobie” (z Karoliną Oponowicz). Były redaktor naczelny „Książek. Magazynu do Czytania” i Wydawnictwa Agora. Obecnie redaktor inicjujący w wydawnictwie Znak Literanova. Współzałożyciel Instytutu Reportażu.

• „Sztuka mękości, czyli jak nie być chujem”

(Agora) – autorzy w swoich rozmowach z mądrymi mężczyzną szukają odpowiedzi na pytanie: jak dziś być przywoitym i szczęśliwszym facetem? Wśród ich rozmówców znaleźli się m.in.: Bartłomiej Dobroczyński, Marcin Napiórkowski, Andrzej Leder, Vienio i Tomasz Sobierajski.





Ciemniejsza strona CHORWACJI

Doświadczenie mieszkania w tym kraju wielokrotnie mi udowodniło, że daleko Chorwacji do ideału.

Z **PATRYCJĄ CHAJĘCKĄ**,
ANTROPOLOŻKĄ, SERBISTKĄ I FILOLOŻKĄ
ROZMAWIA **ALEKSANDRA WOJTASZEK**

Zacznijmy nie od wybrzeża, ale od Zagrzebia. To ważne miejsce na twojej mapie Chorwacji, poświęciłaś mu sporo uwagi w książce „Chorwacja. Ciemniejsza strona słońca”, piszesz o nim doktorat. Skąd ta miłość?

– Zagrzeb to miasto, które trudno pokochać od pierwszego wejrzenia, zwłaszcza jeśli porównuje się je z Barceloną czy Paryżem. Porównania do Wiednia czy Paryża wcale nie były zresztą rzadkie.

Do Paryża? Trochę na wyrost.

– W XIX wieku często nazywano go „małym Paryżem”, ale nie zawsze miało to pozytywny wydźwięk. Marija Jurić Zagorka [pierwsza chorwacka dziennikarka i feministka] pisała o nim w ten sposób, bo rzekomo podobnie jak Paryż miał być w XVIII wieku sceną licznych orgii, afer miłosnych z udziałem szlachty i politycznych zawirowań. Ale z Paryżem porównywał stolicę Chorwacji też Antun Gustav Matoš, poeta oraz eseista z przełomu XIX i XX wieku, i nierzadko się zdarzało, że to właśnie Zagrzeb wypadł korzystniej, choćby ze względu na bogactwo przyrody.

Aż mi żal, że wtedy tam nie bywałyśmy, teraz jest zdecydowanie nudniejszy.

– Kiedy przyjechałam tu pierwszy raz, wydał mi się podobny do Krakowa – taka sama zabudowa, szczególnie w centrum, te same niebieskie tramwaje, choć mniej knajp i życia nocnego. Dopiero z czasem odkryłam jego urok. Bez przerwy chodziłam, zaglądałam w różne zakamarki, wchodziłam na wszystkie podwórka. Zagrzeb ma swój specyficzny zapach, rytm. Lubię tutejszą architekturę, każda dzielnica żyje własnym życiem, a kawiarnie są ważnym miejscem spotkań. Lubię też tutejszą spontaniczność – nie trzeba się umawiać wiele dni wcześniej, wyjście można zaplanować tego samego dnia. To także bezpieczne miasto.

Stereotypowo ta część Europy nadal kojarzy się z nieprzewidywalnymi, dzikimi krainami, tymczasem miasta w krajach byłej Jugosławii są wyjątkowo bezpieczne.

– Zgadzałam się. Wracałam wielokrotnie późno w nocy w Zagrzebiu i nigdy nie czułam się zagrożona. W Belgradzie też czuję się znacznie bezpieczniej niż w porównywalnej rozmiarem Warszawie.

Tego samego dnia, kiedy w Polsce odbyła się druga tura wyborów prezydenckich, w Zagrzebiu na drugą kadencję wybrano burmistrza Tomislava Tomaševića, który wywodzi się z lewicowych ruchów aktywistycznych.

– Prawda jest taka, że nie miał realnej konkurencji. Jego kontrkandydatka była znana głównie z krytyki obecnego prezydenta Chorwacji. Mieszkańcy są jednak podzieleni – widać to choćby po napisach na murach: „Tomaševiću, odejź!”. Mieszkańcom nie podoba się, że po trzęsieniu ziemi w 2020 roku remonty idą tak wolno. Nie dalej jak miesiąc temu komuś w centrum znowu spadła cegła na głowę. Z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że w mieście sporo się zmienia: są inwestycje w infrastruk-

turę, jest coraz więcej podziemnych śmietników. Kwestia śmieci to osobny problem, z którym Zagrzeb średnio sobie radzi od lat. Zmiany są powolne i budzą kontrowersje – na przykład podziemne śmietniki zabierają miejsca parkingowe, a parkowanie w centrum to już i tak surwiwał.

Dla mnie jego wybór jest też ciekawy w kontekście prób przełamania duopolu największych partii, które dominują w tutejszej polityce nieustannie od lat 90.

– Widać, że Chorwaci są zmęczeni tym politycznym marazmem, bo frekwencja w wyborach nieustannie rośnie. Z drugiej strony brakuje realnej alternatywy. Polityka mniejszego zła jest na porządku dziennym.

Problemem jest też ogromne upartyjnienie, zwłaszcza na prowincji trudno coś załatwić albo dostać pracę w instytucjach bez odpowiedniej legitymacji.

– Nie mam twardych danych, które by to potwierdzały, ale często słyszę od młodych ludzi, że brak przynależności do określonej opcji politycznej utrudnia im rozwój zawodowy. Czasami się zastanawiam, na ile to rzeczywiste zjawisko, a na ile mechanizm obrony – bo łatwiej zrzucić odpowiedzialność za niepowodzenia na układy czy brak pleców.

Z drugiej strony, kiedy się patrzy, jak tutejsi politycy potrafią bezwstydnie wykorzystywać swoją pozycję, trudno się dziwić takim opiniom: pierwszą decyzją nowego burmistrza Sisaka, członka partii rządzącej, było podniesienie sobie pensji o 100 proc., mimo że budżet miasta jest w tarapatkach. W lipcu zeszłego roku wysocy rangą urzędnicy dostali podwyżki, i to nie o jakieś kilka euro, jakimi próbuje się uciszyć na przykład nauczycieli, lecz w przypadku prezydenta czy premiera o 60-70 proc. A w tym czasie koleżanka opowiadała mi o swoich strategiach przeżycia w Zagrzebiu za 800 euro przy ko-

nieczności wynajęcia mieszkania lub pokoju. Nic dziwnego, że ludzi trafia szlag.

Na co narzekają młodzi Chorwaci. Bo że narzekają, to pewnie, skoro masowo od dekady opuszczają kraj.

– Na brak pracy, niskie zarobki i trudności z kupnem mieszkania. Praca jest, ale głównie sezonowa, niskopłatna, poniżej kwalifikacji. Tymczasem w głębi kraju, zwłaszcza w Sławonii, domy pustoszeją. Wyniesiono nawet program sprzedaży domów za grosze tak, jak na włoskiej prowincji, by przyciągnąć nowych mieszkańców.

Chorwatom nie podobają się też: jedna z najwyższych inflacji w Europie i rosnące ceny – bojkot konsumencki ze stycznia miał ogromne poparcie społeczne.

– Najbardziej absurdalne było to, że niektórzy przedstawiciele rządu przyłączyli się do bojkotu. Sklepy świeciły pustkami, obrót był mniejszy o prawie połowę w stosunku do piątku tydzień wcześniej. Bojkot został powtórzony z podobnym sukcesem, inne kraje regionu też postanowiły skorzystać z doświadczeń Chorwatów. A potem wszystko się jakoś rozeszło po kościach, wprowadzono tylko limity cen dla kolejnych czterdziestu produktów. Warto pamiętać, że przeciętny mieszkaniec Chorwacji sporą część pensji wydaje na produkty spożywcze.

Wspomniałaś o kłopotach mieszkaniowych, ale w Chorwacji sytuacja wygląda trochę inaczej niż w Polsce, między innymi ze względu na dziedzictwo Jugosławii.

– Polityka mieszkaniowa stanowiła w Jugosławii ogromne wyzwanie dla rządzących ze względu na masowe przeprowadzki ludności ze wsi do miast, w których potencjalnie łatwiej można było znaleźć pracę, szczególnie w rozwijającym intensywnie przemyśle. Co więcej, taka przeprowadzka była przez państwo aktywnie wspierana

• - **Zagrzeb trudno pokochać od pierwszego wejścia. Dopiero z czasem odkryłam jego urok, architekturę, specyficzny zapach i rytm - mówi Patrycja Chajęcka. Na zdj. Targ Dolac, wielki rolniczy targ w centrum miasta. W tle wieże katedry Wniebowzięcia NMP**



FOT. ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

i promowana. W latach 60. i 70. budowano na potęgę. W pewnym momencie także zakłady pracy zobowiązane były zapewnić zakwaterowanie swoim pracownikom. Z kolei osoby lepiej usytuowane w strukturach nierzadko otrzymywały mieszkania albo na przykład domki letniskowe nad morzem (tzw. vikendice). Dostęp do mieszkania był więc łatwiejszy, chodziło o to, by każdemu zapewnić tę podstawową potrzebę.

Powstawały nowe dzielnice, dziś słynące z brutalistycznej architektury, jak Nowy Zagrzeb czy Nowy Belgrad, ale nigdy nie udało się zaspokoić wszystkich potrzeb. – To prawda, ale i tak było o wiele lepiej niż dziś. Potem te mieszkania, domki się dziedziczyło. Wielu moich znajomych, choć zarabia niewiele, ma jeden czy dwa domy nad morzem, bo dziadkowie lub rodzice im je zostawili. Posiadanie nieruchomości nad Adriatykiem niekoniecznie musi więc w Chorwacji oznaczać wysoki status ekonomiczny – mimo że z polskiej perspektywy może się tak wydawać. Z drugiej strony z tym dziedziczeniem jest też trochę problemów. W Zagrzebiu ze względu na nieuregulowany status własności wiele lokali stoi pustych, czasem nawet całe kamienice, a przez to, że problem jest prawnie nierozwiązany, właściciele nie mogą wyremontować fasad, więc kamienice niszczeją, przy okazji stając zagrożeniem dla przechodniów.

Zawsze kiedy pojawia się problem chorwackiej ekonomii, dochodzimy do kwestii nadmiernego uzależnienia tamtejszej gospodarki od turystyki. – Nadmorska Chorwacja żyje z turystyki, ale tylko przez kilka miesięcy. Po sezonie młodzi wyjeżdżają za granicę lub wracają do większych miast, takich jak Zagrzeb. W sezonie na wybrzeżu pracują głównie Serbowie, Bośniacy, Macedończycy, a nawet Nepalczycy, Hindusi czy Filipińczycy, bo Chor-

waci nie chcą wykonywać takiej pracy za niskie wynagrodzenie. Politycy cieszą się z rekordów turystycznych, że przyjechało więcej Niemców, niż się spodziewali, ale przeciętny mieszkaniec nie czuje, że jego życie się poprawia. Przeciwnie – ceny rosną, a zarobki za nimi nie nadążają.

Symbolem tej galopującej turystyki stał się Dubrownik. – On bardzo odczuwa skutki masowej turystyki. W sezonie przyjeżdża tam trzy razy więcej turystów, niż jest mieszkańców. To powoduje wzrost cen, tłok, problemy z parkowaniem. Na Stradunie w Mlinarze, czyli w sieciowej piekarni, kanapka kosztuje dwa razy więcej niż w Zagrzebiu, a już ta w Zagrzebiu wydaje mi się przepłacona. Dla turystów z Australii czy USA to może znośne, choć nawet oni narzekają na ceny.

Wspomniałaś, że o niechęci do obecnego burmistrza Zagrzebia przeczytałaś na murach miasta. W swojej książce zwieźdzasz Chorwację m.in. śladami street artu. Skąd ten pomysł? – Lubię street art i chciałam dzięki niemu pokazać, że w miastach, które leżą z dala od obowiązkowych szlaków turystycznych, też dzieje się coś ciekawego. Na przykład Vukovar kojarzy się głównie z wojną z lat 90., tymczasem miasto pełne jest interesujących murali. Podobnie jest z Sisakiem, gdzie turyści raczej nie zaglądają. Mieszkańcy tych miast próbują na różne sposoby, również przez sztukę uliczną, przyciągnąć podróżnych. Chcą pokazać, że nie są tylko rozczarowani i pogrążeni w marazmie, ale zależy im, aby coś zmienić w swoim otoczeniu, opowiedzieć swoją historię.

Porozmawiajmy więc trochę o prowincji. – Dzieli się właściwie na dwa typy – jest ta sielska, zadbana, z ogródkami, winoroślą i suszącym się praniem. Ale nie brakuje także tej opustoszałej, zrujnowanej i wyludnionej. To zależy w dużej mierze od regionu, ale ten drenaż, o którym rozmawiałymy, prowincji dotknął w sposób szczególny. Mam kolegę, który wyjechał do Irlandii i tam dzielił dom z ludźmi, którzy pochodzili z tego samego miasteczka co on.

Często mówi się też o tutejszym wykluczeniu komunikacyjnym, a ty przyznajesz, że przejechałaś Chorwację bez auta. Jak ci się to udało? – Moja koleżanka to dobrze ujęła: jeśli nie możesz się gdzieś dostać, zovi čovika, czyli zadzwonił po kogoś. Na pewno jakiś twój znajomy ma innego znajomego, który jest w stanie gdzieś cię podwieźć. Ale zasadniczo podróżowanie po Chorwacji bez samochodu, zwłaszcza po sezonie, nie jest łatwe. Nawet Zagrzeb nie jest dobrze połączony z różnymi miejscowościami w Zagorju czy Medimurju, czyli z regionami znajdującymi się tuż obok, nie mówiąc o dalszych miejscach. Czasem odległość jest naprawdę duża, ale nie da się tak po prostu gdzieś dostać, trzeba kombinować, dostosowywać się albo właśnie szukać przyjaciół z samochodem lub podróżować rowerem.

Nie przeszkodziło ci to jednak udać się na Vis, najdalej położoną chorwacką wyspę na Adriatyku. – Byłam po sezonie, co ma plusy i minusy. Jesteś jedną z nielicznych turystek, wszyscy są ciebie ciekawi i łatwiej nawiązać kontakt, usłyszeć interesujące historie. Nie da się jednak ukryć w żaden sposób i trzeba zdawać szczegółowe raporty ze swojego życia. Widać też jak na dłoni, dlaczego, choć wyspy są piękne, tak trudno tam żyć. W sklepach jest mniej produktów, po większe zakupy trzeba płynąć 50 km promem do Splitu. Można zamówić przez internet, ale paczka szybko nie dojdzie, a prom przy złej pogodzie nie przepłynie. Na Visie dałam się namówić na jazdę skuterem, ale mina mi zrzedła, kiedy zobaczyłam tamtejsze serpentyny.

Vis był w czasie II wojny światowej główną kwaterą sztabu Tito. Potem przez cały

Podróżowanie po Chorwacji bez samochodu, zwłaszcza po sezonie, nie jest łatwe. Nawet Zagrzeb nie jest dobrze połączony z różnymi miejscowościami znajdującymi się tuż obok, nie mówiąc o dalszych miejscach

okres Jugosławii wyspa była niedostępna dla turystów, bo mieściła się tu baza wojskowa. Widziałaś ślady tej przeszłości? – Są bunkry, tunele, pozostałości koszar, nawet próbuje się wykorzystywać te elementy historii do promocji wyspy, znajdują się tuż obok informacji o dziewiczych plażach. Ale jak zwykle wygrywa współczesna popkultura. Kiedy tylko przyjechałam, właścicielka apartamentu zaznaczyła mi wszystkie miejsca, gdzie był kręcony film „Mamma mia!”.

W Chorwacji przeszłość często o sobie przypomina, szczególnie że od ostatniej wojny minęło dopiero trzydzieści lat. Stosunki serbsko-chorwackie nadal są dalekie od ideału, choć mam wrażenie, że to bardziej kwestia rozgrywek politycznych niż faktycznej wrogości między ludźmi. – Z wykształcenia jestem serbistką i kiedy przyjechałam pierwszy raz do Chorwacji, było słychać, że mówię po serbsku. Mimo to nikt nie zachowywał się wobec mnie nieprzyjemnie. Czasem te wzajemne stereotypy przychodzą z nieoczekiwanej strony. Mam koleżankę o raczej lewicowych poglądach i alternatywnym stylu życia, która często niewybrednie wypowiada się o Serbach. Pytałam czy ma jakąś traumę albo historię rodzinną, ale wygląda na to, że nie. Przyznaję, że unikałam w książce tego tematu, bo sama jestem nim zmęczona. Mam też wrażenie, że w codziennym życiu Chorwatów kwestie wojny przestały mieć aż tak duże znaczenie.

Temat jest jednak chętnie podsycany przez media i polityków, zwłaszcza w okolicach wyborów. – Tak, i to z obu stron. Pamiętasz na pewno, jak na początku protestów studentkich, które od ponad pół roku trwają w Serbii, złapano tam grupkę Chorwatów i oskarżono ich o podburzanie, działanie na szkodę państwa serbskiego i tym podobne bzdury. Prezydent Serbii jasno wtedy wskazywał, gdzie mają swoje siedziby wrogowie Serbii – w Zagrzebiu i Prisztinie.

Wydawałoby się, że coraz mniej osób daje się złapać na taką narrację, choć na lipcowy koncert nacjonalistycznego barda Marka Perkovicia Thompsona w Zagrzebiu sprzedano pół miliona biletów. – To szaleństwo przygotowań do koncertu Thompsona trwa już kilka miesięcy, dotyczy także logistyki. Ostatnio jedno z centrów handlowych zapowiedziało, że w dniu koncertu za zostawienie auta na ich parkingu trzeba będzie zapłacić 80 euro. Wydaje mi się, że do tego zamieszania w bardzo przyczyniły się media, robiąc z koncertu Thompsona wydarzenie roku, nieustająco pytając, kto się na niego wybiera i tworząc atmosferę, że dzieje się coś wyjątkowego, czego żaden Chorwat nie powinien przepuścić.

Jedna z moich ulubionych historii o Thompsonie to ta, że w pewnym momencie dostawał niemałe pieniądze od rządzącej obecnie partii... byleby nie śpiewał. Chodziło o rozgrywkę polityczne, bali się jego poparcia dla skrajnej prawicy, ale i tak mnie śmiesz, że piosenkarz może zarabiać milczeniem. – Ostatnio znowu zrobiło się wokół niego głośno, gdy został nominowany do Porin 2025, najbardziej prestiżowej nagrody mu-

zycznej w Chorwacji, a niektóre gwiazdy się temu sprzeciwiły. Jednej z nich za ostrą krytykę i nawoływanie do bojkotu głosowania grożono nawet śmiercią. Z drugiej strony żartowano, że skrajnie nacjonalistyczny piosenkarz nie wie, w jakim języku śpiewa. Piosenka, za którą został nominowany, nosi tytuł „Ako ne znaš šta je bilo” (Jeśli nie wiesz, co się stało), a zaimek pytający „šta” jest typowy dla języka serbskiego. Oczywiście sprawa zaimka jest bardziej skomplikowana, obecny jest także w chorwackim, tyle że nie standardowym.

Podtytuł twojej książki brzmi „ciemniejsza strona słońca”, tymczasem chorwaccy politycy, zwłaszcza ci z prawej strony, lubią lukrować ostatnie trzy dekady. Mówią o wejściu do Unii, przyjęciu euro, kolejnych turystycznych rekordach, sukcesach w piłce nożnej... – Bo sukcesy w piłce nożnej, drugie miejsce na zeszłorocznej Eurowizji, w regionie bardzo chętnie oglądanej, czy liczby pokazujące rekordy turystyczne tworzą bardzo optymistyczną opowieść o ważności państwa na arenie międzynarodowej. A taka opowieść przydaje się każdej władzy – szczególnie wtedy, gdy chce przykryć to, co mniej wygodne i mniej efektowne. Podtytuł, zaproponowany zresztą przez wydawnictwo, miał pokazać, że w książce podważam nieco rajski obraz Chorwacji i staram się w miarę możliwości odwoływać do wielu perspektyw. Nie chciałam poza tym, by książka opowiadała o słodkiej i pocztówkowej Chorwacji, bo doświadczenie mieszkania w tym kraju wielokrotnie mi udowodniło, że daleko mu do ideału. A z drugiej strony nie chcę być aż tak pesymistyczna, ponieważ byłoby to niesprawiedliwe, pewnych sukcesów nie da się przecież Chorwatom odmówić, więc trochę słońca w podtytule zostało.

Słusznie, przecież ostatecznie i tak wszyscy pojedziemy tam na wakacje. ●



Patrycja Chajęcka

• Antropolożka, serbistka i filolożka polska, studiowała też etnologię i kroatystykę na Wydziale Filozoficznym w Zagrzebiu. Sekretarzynie czasopisma naukowego „Slavia Meridionalis”. Publikowała m.in. w: „Dużym Formacie”, „Nowych Książkach”, „Twórczości”, „Fabulariach” oraz „Wyspie”. Stypendystka międzynarodowego programu Connecting Emerging Literary Artists 2024-2027.
• Patrycja Chajęcka
„Chorwacja. Ciemniejsza strona słońca”
Wydawnictwo Poznańskie, 2025



Aleksandra Wojtaszek

• Bałkanistka, dziennikarka i tłumaczka. Ma doktorat z literaturoznawstwa, pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim, Autorka zbioru reportaży „Fjaka. Sezon na Chorwację” (Czarne 2023), który stał się bestsellerem w Polsce i na Słowacji, oraz monografii naukowej „Topografie przestrzeni wyobrażonych. Serbska i chorwacka fantastyka gatunkowa”. Laureatka m.in. Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO i nagrody Europejski Poeta Wolności. Publikuje w: „Tygodniku Powszechnym”, „Herito”, „Dwutygodniku” i „Polityce”.

Emilia Dłużewska

Pamiętam ich z dzieciństwa. Mgliście, bo powtórki PRL-owskich seriali szybko przegrały z kreskówkami z Cartoon Network, „Oстрым дыžurem” i „Milionerami”.

Zapamiętałam zafrasowany wyraz twarzy i siwe skronie inżyniera, czerwonego malucha, Magdę w laboratoryjnym fartuchu, łuk drzwiowy, który do dziś można znaleźć w polskich mieszkaniach. No i to, że Karwowsy byli strasznie starzy. Już nie są.

Serial „Czterdziestolatek” właśnie skończył 50 lat. A i mnie – jak śpiewał Andrzej Rosiewicz – czas dogania. Do czterdziestki jeszcze chwila, ale do bohaterów metrykalnie mam zdecydowanie bliżej niż dalej. A mentalnie? Sprawdźmy!

Spychaczem w widownię

Kultowy (w tym wypadku wytarty epitet jest w pełni uprawniony) serial Jerzego Gruzy i Krzysztofa Teodora Toeplitza zaczyna się brawurowo: od zakleszczonego spychacza. Inżynier Stefan Karwowski wkracza na plac budowy i podsuwa pod koło kawałek drewna, uwalniając maszynę.

Taką scenę – wrzucającą widza w sam środek akcji jeszcze przed czołówką – w Hollywood nazywa się cold open. W amerykańskich serialach służy przyciągnięciu uwagi widza, by nie przeskoczył na kolejny kanał.

Nie przypuszczam, by Gruza i Toeplitz zakładali, że widzów porwie walka o wypełnienie normy na odcinku budowy Trasy Łazienkowskiej. Raczej mieli świadomość, że przeskakiwać nie ma gdzie. Choć w momencie premiery „Czterdziestolatka” (16 maja 1975) Telewizja Polska liczyła sobie już dwa ogólnopolskie kanały (a gdzieś tam również stacje regionalne), konkurencja między nimi była raczej nienachalna. Dość wspomnieć, że jeszcze w latach 90. alternatywą dla powtórek serialu był „Agrobiznes”.

Ale nawet jeśli widz pozostał przed ekranem z braku alternatywy, nie pożałował. Bo choć część ówczesnych krytyków zbywała serial epitetem „sympatyczny” albo kręciła nosem na rysowane grubą kreską postaci, brak realizmu czy przewidywalność, społeczeństwo „Czterdziestolatka” pokochało. Serial Gruzy i Toeplitza gromadził przed ekranami miliony Polaków.

I nic dziwnego. Był świetnie zagrany, niekiedy błyskotliwy, niekiedy absurdalny, a przede wszystkim bardzo zabawny. Jest taki i dziś, choć nie bez zgrzytów.

Nie być nieszczęśliwym

Jeśli jakimś cudem nie poznali państwo rodziny Karwowskich, przedstawiam:

- Stefan Karwowski (Andrzej Kopiczyński), głowa rodziny, inżynier pracujący przy sztandarowych inwestycjach Polski Ludowej – w młodości wznosił Nową Hutę, później pilnował budowy Trasy Łazienkowskiej, Dworca Centralnego i Trasy Toruńskiej.

- Magda Karwowska (Anna Seniuk) z domu Sławek, hydrołożka – przepraszam: „magister inżynier hydrolog” – zatrudniona w warszawskich Filtrach, stacji uzdatniania wody.

- Jagoda (Grażyna Woźniak/Mirella Olczyk) i Marek Karwowsy (Piotr Kąkolewski), uczniowie szkół stołecznych.

Innymi słowy, rodzina modelowa. Dzieciata, ale nie za bardzo; partyjna, ale nie nachalnie; wykształcona, ale technicznie, bez podejrzanych inteligenckich zaszłości; pracująca w branżach społecznie pożytecznych, zamieszkała w wybudowanym niedawno kilkunastopiętrowym bloku.

Wyemancypowana, ale bez przesady – Karwowski deklaruje wprawdzie, że kibicuje rozwojowi zawodowemu żony, ale ani tytuł magistra inżyniera, ani pełnoetatowa praca nie zwalniają Magdy z obo-



„Czterdziestolatkowi” stuknęła pięćdziesiątka. I wciąż ogląda się go bardzo dobrze. Może dlatego, że dążenia bohatera, by stać się człowiekiem lepszym, są z góry skazane na porażkę.

• **Andrzej Kopiczyński mówił, że Anna Seniuk była idealną filmową żoną (ona, że był idealnym mężem). – Czasem sami wymyślaliśmy dialogi i sytuacje, kiedy reżysera nie było. I przez te lata nigdy nie pokłóciliśmy się na planie** FOT. INPLUS / EAST NEWS

wiązku gotowania dla całej rodziny; podobnie jak tytuł magistra inżyniera nie wystarczy, by Stefan samodzielnie przyrządził sobie kawę.

Ale Karwowsy to nie tylko wzorcowi obywatele. To też rodzina, z którą ówczesnym widzom stosunkowo łatwo było się utożsamić: mająca kryzysy i słabości, ulegająca konsumpcyjnym marzeniom na miarę epoki Gierka, umacniająca swoją społeczną pozycję i mierząca się z wynikającą z tego nieustanną niepewnością, czy ich ambicje, pragnienia i styl życia są odpowiednie.

Niepewność ta sięga głębiej. W pierwszym odcinku kończącego 40 lat Stefana Karwowskiego nawiedzają duchy przeszłości: kolega z dzieciństwa, licealna dziewczyna, kapral z wojska, dawny profesor, koleżanka, w której podkochiwał się na stu-

diach. Kiedy ta ostatnia pyta, czy jest szczęśliwy, odpowiada: „Nie jestem nieszczęśliwy. To dużo”.

Ale czy dość? Ewidentnie nie. Sednem serialu Gruzy i Toeplitza są bowiem nieustanne zabiegi bohatera, by stać się człowiekiem lepszym: szlachetniejszym, atrakcyjniejszym, zdrowszym, bardziej obytym, bardziej zaangażowanym, niepozostającym w tyle. Dążenia, dodajmy, w większości skazane na porażkę.

I chyba właśnie dlatego, choć minęło już pół wieku, „Czterdziestolatka” wciąż ogląda się tak dobrze.

Karwowski z Multisportem

Jego aktualność może zaskakiwać, bo „Czterdziestolatek” jest serialem wyraźnie osadzonym w miejscu i czasie: to portret Warszawy lat 70., stolicy w trakcie modernizacji. Gruza kręcił na prawdziwych placach budowy, uwiecznił powstające Trasę Łazienkowską, Dworzec Centralny i Trasę Toruńską. Mieszkanie Karwowskich mieściło się co prawda w studiu filmowym, ale zostało odtworzone na podstawie prawdziwego lokum w bloku przy ul. Pańskiej.

Portret to, rzecz jasna, aspiracyjny. Wystrój wnętrza Karwowskim pozazdrościłby niejeden współczesny widz, zwłaszcza dziś, gdy PRL-owski design jest w cenie. Dzięki scenografce Halinie Dobrowolskiej w mieszkaniach z wielkiej płyty jest miejsce na gigantyczną artystyczną tkaninę, reprodukcję i sztukę nowoczesną, lekkie, modernistyczne meble, ale i na rzeźbiony zegar z wahadłem, suszki czy ozdobny miedziany rondel. Kolory zasłon, lamp i drobiazgów dobrane są tak idealnie, że nawet w rozbuhanym kapitalizmie XXI w. wydaje się to imponujące.

Kim byłby inżynier Karwowski dziś? Być może frankowiczem, niemal na pewno osobą spłacającą kredyt, bo na przydziałowe mieszkanie w centrum Warszawy nie mógłby liczyć. Jako budowlaniec pracowałby pewnie w prywatnej firmie, choć Magda hydrołożka zostałaby w budżetówce.

Czerwonego malucha wymieniliby na toyotę albo opla, zamiast giewontów usiłowałby (równie bezskutecznie) rzucić iqosy. Zamiast zapisywać się do sekcji sportowej w zakładzie pracy, wykupiłby kartę Multisport (i przez kolejny kwartał wyrzucał sobie, że nie chodzi na siłownię), sąsiadów usi-

ŁBY THERMOMIXA



• **Karwowski z ekipą budował nową Warszawę, taką na miarę lat 70. Tu akurat Trasę Łazienkowską. Obok inżyniera Maliniaka – nachalny lizus, który wciąż próbuje się wykazać. Grający go Roman Kłosowski sprawił, że mimo oczywistych wad – to była bardzo lubiana postać** FOT. INPLUS / EAST NEWS

lowalby zintegrować nie w świetlicy w bloku, ale na pikniku albo „urodzinach ulicy”. Czy skusiłby się na Thermomixa? Pewnie tak. Ale niechętnie.

Paradoksalnie, zmiana dekoracji jest łatwa właśnie dlatego, że realia „Czterdziestolatka” oddane są tak drobniawo. Łatwo rozpoznać typ, którego uosabia inżynier Karwowski. A jednocześnie w nowych dekoracjach nietrudno wyobrazić sobie perypetie, jeśli nie identyczne, to przynajmniej zadziwiająco podobne.

Bohater zawierza hochsztaplerce oferującej cudowny lek na łysienie; kupuje działkę pod miastem; wdaje się w romans; konfrontuje z młodszą, ambitną podwładną z niedostępnym mu kapitałem kulturowym – od banalnych po poważne, problemy Karwowskiego są zaskakująco dzisiejsze.

Czy raczej: uniwersalne. Tak jak uniwersalny jest lęk przed przemijaniem.

Co z tym koniakiem?

Pierwszy odcinek serialu nosi tytuł: „Toast, czyli bliżej niż dalej”. Faktycznie, nie było może blisko, ale statystycznie bliżej niż dziś. W 1975 r. średnia długość życia polskiego mężczyzny wynosiła 67 lat. Dziś jest o niemal osiem lat dłuższa, ale czterdziestkę wciąż można uznać za połowę życia.

Wśród zjaw, z którymi rozmawia Karwowski w swoje urodziny, przewija się jedna postać, której osobiście nie poznał: Ernest Hemingway. W skórzanej kamizelce, kraciastej koszuli i czapeczce z logo New York Yankees strzela z balkonu do kaczek. I radzi: „Trzeba żyć mocno, ale krótko”.

– Czterdzięci lat to krótko? – pyta przejęty Karwowski.

– Zależy, jak mocno – odpowiada pisarz.

Jerzy Gruza i Krzysztof Teodor Toeplitz – pierwszy od bohatera starszy o dwa lata, drugi o rok – nie ukrywali, że w „Czterdziestolatku” odbijają się ich własne przemyślenia. Hasło „kryzys wieku średniego” nie pada, ale symptomy są jasne: Karwowski miota się między melancholią a impulsywnymi zrywami, między ciężko wypracowaną stabilizacją a nieuchronnym tą stabilizacją rozczarowaniem.

Miota się jako osoba, ale także jako obywatel. Owszem, „Czterdziestolatek” jest w jakimś stopniu serialem propagandowym, a budującego socjalistyczną stolicę bohatera pokazuje jako człowieka szlachetnego i sympatycznego. Ale jednocześnie nieustannie zderza jego naiwny idealizm ze skrzeczącą rzeczywistością, która przemawia ustami drugoplanowych bo-

haterów: podlizującego się Karwowskiemu zastępcy, Maliniaka; Walendziaka, sąsiada cwaniaka i piewcy natalizmu à la PRL; Antka, szwagra przywaciarza, który zaangażowanie Stefana traktuje jak formę łagodnego zaburzenia.

Nie chodzi tylko o cyników. Właściwie wszystkie postaci w „Czterdziestolatku” – od koleżanek Magdy z Filtrów, po ducha dziewięcioletniego Piotrusia – patrzą na życie z większym dystansem niż jego tytułowy bohater.

Karwowski, obdarzony melancholijnym wdziękiem Andrzeja Kopiczyńskiego, jest tym komiczniejszy, im bardziej jest przejęty. A przejęty jest nieustannie: czterdziestymi urodzinami, łysieniem, rozpadem więzi społecznych, wybieraniem samochodu ze szwagrem, stojącą pod trzepakiem córką, kupowaniem portretu przodka w salonie Desy, niepewnością, czy należy mrozić armeński koniak (nie mrozić!).

Kobieta pracująca i Kobieta Pracująca

Gdyby ten serial powstał w innym miejscu i czasie, Karwowski wylądowałby na kozetce. W Warszawie lat 70. musiał mu starczyć Karol, przyjaciel, lekarz pogotowia. I Kobieta Pracująca.

Nawet gdyby „Czterdziestolatek” okazał się gniotem, warto by go oglądać tylko dla niej. Irena Kwiatkowska powraca w każdym odcinku w nowym wcieleniu: dochodząca krawcowa, rzeczoznawca na giełdzie używanych samochodów, inspektorka do walki z radio- i telepajęczarstwem, roznosicielka mleka, ochotniczka w Ochotniczym Komitecie Opieki nad Żonami Rezerwistów. I za każdym razem gra scenę, która dla innej aktorki mogłaby być najjaśniejszym punktem kariery. Dla niej to dzień jak co dzień.

■

Gdyby ten serial powstał w innym miejscu i czasie, Karwowski wylądowałby na kozetce. W Warszawie lat 70. musiał mu starczyć Karol, przyjaciel, lekarz pogotowia. I Kobieta Pracująca

Charyzma Kwiatkowskiej sprawiła, że jej postać znają nawet osoby, które w życiu serialu Gruzy i Toeplitza nie widziały. Wątpię, czy bez niej twórcom udało się bezkarnie przemycać w fabule dydaktyczne pigułki. Kobieta Pracująca poucza, jak ubrać się do teatru, jak pijać różne alkohole, co socjologia mówi o atomizacji społecznej. Oraz że w momencie kryzysu należy upiec mężowi placek ze śliwkami, „na hydrologii nie zbuduje się szczęścia rodzinnego”, a „rolę kobiety w domu może wykonywać tylko kobieta”. Ale czy należy te słowa traktować poważnie, jeśli wygłasza je osoba kierująca koparką?

„Czterdziestolatek” bywa szowinistyczny, choć nie bardziej niż swoje czasy. A często mniej – kiedy w dwunastym odcinku nowym zastępcą Karwowskiego zostaje kobieta, komiczny jest nie sam ten fakt, ale przeżalenie inżyniera. Zwłaszcza że młoda podwładna (grana przez oszalałmąjącą Grażynę Szapolowską) okazuje się przemądrzałą, ale świetnie wykształconą profesjonalistką z doświadczeniem w japońskiej firmie. Choć nawet ona, gdy odwiedza mieszkanie Karwowskich, wskazuje na książki i pyta: „Czy to biblioteka inżyniera?” – jak gdyby inżynierowej o czytanie nie podejrzewała.

Może i słusznie, bo nie wiem, kiedy Magda Karwowska miałaby zagłębiać się w lekturze, skoro poza pełnoetatową pracą ma drugą, w domu: gotuje, sprząta, pilnuje ocen dzieci, parzy kawę i podaje ją zasiadającemu w bujanym fotelu mężowi. Owszem, inżynier lubi dla relaksu przeprać sobie ręcznie koszulę, ale korzyści z tego tyle, że powątpiewa w sens posiadania pralki.

Magda jest ze swoją rolą pogodzona. Praca jest w jej życiu raczej dodatkiem, marnienia o społecznym awansie wiąże z pozy-

cją męża. Zapewnienie, że myśli o doktoracie, jest powracającym żartem – nie wiem zresztą, kiedy miałyby go robić, skoro nawet wyjazd na trzydniowe sympozjum naukowe poprzedza wystawanie nad garami, by nagotować rodzinie jedzenia na zapas. Wynosi z niego zresztą tylko zauroczenie przystojnym profesorem.

Motyl boi się śmierci

Z dzisiejszego punktu widzenia to romantyczno-erotyczne wątki są najbardziej zaskakującym aspektem „Czterdziestolatka”. Gruza i Toeplitz do tematu pozamałżeńskich relacji – niekiedy skonsumowanych, niekiedy kończących się na etapie flirtu – podchodzą z dużą wyrozumiałością. I Magda, i Stefan mają swoje słabości, o których wzajemnie wiedzą albo o które się przynajmniej podejrzewają.

To zresztą jedyny moment, kiedy Magda naprawdę się buntuje: dowiadując się o zdradzie męża, nie idzie za radą Kobiety Pracującej (zachwycać się nim tak ostentacyjnie, by nie szukał potwierdzenia męskości gdzie indziej). Pakuje walizki, stawia dzieci na baczność i zapowiada wyprawadzkę. I choć robi to w sposób teatralnie przerysowany, przez moment można szczerze jej kibicować.

Ile jest w małżeństwie Karwowskich miłości, a ile przyzwyczajenia? (Stefan pytany, czy żona mu się podoba, odpowiada: „Tak średnio, ale dzieci ją lubią”). A czy jedno wyklucza drugie? Pomiędzy kolejnymi częściami serialu Gruza zdyskontował jego popularność, kręcąc „Motylem jestem, czyli romans 40-latką” – film, w którym Karwowski jedzie w trasę i wdaje się w romans z popularną piosenkarką. Ale kiedy oświadcza się jej, że jest gotów porzucić żonę – dostaje kosa.

Wyartykułowana klęska z filmu jest dużo bardziej banalna niż niedopowiedziane serialowe wahania. Tak jak stereotypowe rozwiązanie kryzysu wieku średniego – znaleźć sobie młodą kochankę – jest dużo mniej ciekawe niż źródło tego kryzysu: lęk, że to już ostatni moment, by jeszcze coś było inaczej.

Bo ostatecznie mimo całej lekkości i humoru „Czterdziestolatek” to serial o lęku. Przed śmiercią, która nie jest tu tylko mglistą sugestią – serial zaczyna się od przywołania kolegi Stefana z podstawówki, który utopił się w gliniance; kończy na kardiologii, gdzie inżynier trafia po zawale, pierwszym, lecz – jak sugerują scenarzyści – zapewne nie ostatnim.

Ale też o lęku przed życiem, nie takim, na jakie się kiedyś liczyło. Albo jeszcze gorzej: właśnie takim, ale nadal niesatysfakcjonującym.

●

Rafał Dajbor, autor książki o „Czterdziestolatku” wydanej w ubiegłym roku nakładem Krytyki Politycznej, przywołuje tekst „Kuriera Polskiego”, który po premierze serialu pytał o niego Polaków w wieku dwudziestu, czterdziestu i sześćdziesięciu lat. Najstarsi lekceważąco komentowali rozterki Karwowskiego, sugerując, że prawdziwe problemy jeszcze przed nim; ci średni zwracali uwagę, że inżynier wygląda zbyt staro i mógłby założyć dzinsy.

Dwudziestolatek, student medycyny, z Karwowskim nie potrafił się utożsamić. Dziennikarzom „Kuriera” tłumaczył, że ma „zupełnie inne, wyższe aspiracje. Więcej niż dwa pokoje. Nie małuch, ale coś lepszego. Życie pędzące szybciej, ciekawiej, mądrzej. W ogóle efektywniejsze i w wyższym tempie”. I dodawał: „Nie dopuszczam też myśli, że w tym wieku będę już przypuszczał, że zaczynam się starzeć”.

Ciekawe, jak ma się dziś. ●

●

• **„Ja jestem kobieta pracująca – żadnej pracy się nie boję” – to zdanie ze wspaniałych epizodów Ireny Kwiatkowskiej, która w każdym odcinku odwiedzała Karwowskich i dzieliła się z nimi życiową mądrością** FOT. ZYGMUNT JANUSZEWSKI/TVP/EAST NEWS



SPRÓBOWAŁAM I PRAWIE SIĘ POPLAKAŁAM

– Mam farta. Połączyłam w jedno dwie najfajniejsze rzeczy: gotowanie i podróżowanie – mówi Alicja Rokicka. Jej nową książkę kulinarną przeczytajcie koniecznie przed wypadem do Grecji.



◀ **MANIATIKI SALATA**
– sałatka z ziemniaków, pomarańczy i oliwek

Z **ALICJĄ ROKICKĄ**, BLOGERKĄ KULINARNĄ ZNANĄ JAKO **WEGAN NERD**, ROZMAWIA **MAŁGORZATA MURASZKO**

Czym się różni chalvas od chałwy?

– Na początku muszę zaznaczyć, że w Grecji są dwie chałwy. Ta turecka, z sezamu, która nie jest tak ubita, jest krucha i włóknista. Nie jest też taka słodka. A chalvas tradycyjnie robiona jest z semoliny, drobnoziarnistej kaszy z mąki z pszenicy, ale można użyć kaszy mанны. Gdy znalazłam ją w Atenach i spróbowałam, to się prawie popłakałam. To niepozorne ciasto, zbite i słodkie, przypominało mi grysik z masłem, cukrem i cynamonem, który robiła mi babcia, gdy tylko miałam ochotę na coś słodkiego. Nie jadłam tego od lat! To był powrót do dzieciństwa.

Na patelni podgrzewa się duża ilość oliwy i do niej dodaje się kaszę, aż nabierze cieplejszego koloru. Do kaszy dodaje się syrop cukrowy z dodatkiem goździków, cynamonu, skórki pomarańczowej. Całość przelewa się do formy, wkłada do lodówki. Można to później udekorować suszonymi owocami. To najlepszy deser, jaki jadłam. W Salonikach jadłam chalvas z gorzkim kakao i też była ekstra.

Szukanie słodkich roślinnych przepisów w Grecji nie było takie trudne, bo w każdej piekarni coś się znajdzie.

Ale przecież nie lubisz słodkiego.

– To prawda! Ale to słodkie w Grecji jest w punkt. Od ilości cukru mogą aż rozboleć zęby, ale po zjedzeniu jednego kawałka ma się dosyć na cały dzień i nie trzeba jeść więcej. Kiedy jestem w podróży, deserów szukam bardziej z powodów zawodowych niż własnej potrzeby.

Czy kuchnia grecka jest przyjazna weganom?

– Jak najbardziej! W każdej greckiej restauracji można zamówić favę, czyli pastę

z grochu serwowaną z cebulką i oliwkami albo kaparami, hummus, są dania z fasoli, smażona cukinia, sałatka grecka, którą można zamówić bez sera. Wegańskie pozycje często są oznaczone w menu, a jak nie są – wystarczy zapytać. Grecy są bardzo gościnni i dołożą wszelkich starań, żeby nikt nie wyszedł głodny i nie został pominięty.

Nie przewracają oczami i nie mówią, że wydziwiasz?

– Ależ skąd! Dokładają wszelkich starań, żeby każdy czuł się dobrze. Nie można też mówić o gościnności, kiedy wyklucza się kogoś z uwagi na jego wybory żywieniowe. Włosi nie byli tak tolerancyjni, chociaż w swojej kuchni, szczególnie południa, mają roślinne pozycje.

Kuchnia grecka jest bardziej przyjazna weganom i wegetarianom niż kuchnia włoska. Mówię o tej w wydaniu restauracyjnym. We włoskiej kuchni domowej można spotkać więcej dań ze strączkami lub samymi warzywami, które nie muszą być obsypane serem. A w restauracjach często w menu są te same dania.

A w Grecji?

– Kuchnia grecka wyjściowo jest bardziej zróżnicowana. Oczywiście jest dużo dań mięsnych i tych z owocami morza, ale w kuchni greckiej królują też strączki: groch, różne odmiany fasoli, soczewica, ciecierzycza. Nie tylko hummus czy fava były dostępne w niemal każdej tawernie, ale też potrawka z fasoli gigantes. W Heraklionie jadłam danie z ciecierzycą, grecką lokalną zieleńką chortą, wykończoną tahini. Było to wspaniałe.

Skoro jest tak wspaniale i przyjaźnie, to dlaczego tak późno wybrałaś się do Grecji?

– Sama nie wiem. Już w podstawówce starożytność była moją ulubioną epoką, póź-

niej zaczęłam się interesować historią sztuki i architekturą, poszłam na studia na Akademię Sztuk Pięknych i szukałam Grecji, skrawków antyku wszędzie... nawet we Włoszech. Jeździłam do Agrigento czy do Segesta, żeby zobaczyć stare greckie świątynie. Brzmi to absurdalnie, ale tak właśnie było.

Do Grecji polecałam pierwszy raz trzy lata temu za namową mojej koleżanki Agi, która często spędzała tam urlopy. Zawsze powtarzała, że mi się tam spodoba. I mnie przekonała. Polecałam na Kretę.

Z myślą, że napiszesz książkę?

– Po wydaniu „Italii dla zielonych”, książki o roślinnej kuchni włoskiej, rozmawiałam o tym, czy nie zrobić całej serii. Nie byłam przekonana, bo nie wiedziałam, jaki kraj powinien być następny. Zaczęłam czytać reportaże i książki historyczne o Grecji, wsiądkłam w książki Geralda Durrella o Korfu i wiedziałam, że muszę Grecję odwiedzić.

Polecałam na Kretę, ale bardziej chciałam zobaczyć pozostałości po kulturze minojskiej, niż poznać grecką kuchnię. Ale jedzenie było tak pyszne, tak proste i tak dostępne, że samoistnie zaczęłam się nim interesować. I zdecydowałam się opowiedzieć o tym roślinnym doświadczeniu w Grecji.

Wiesz, ja sobie czasem myślę, że mam ogromnego farta. Nigdy nawet nie myślałam, że będę zawodowo gotować, podróżować i o tym pisać. Połączyłam w jedno dwie najfajniejsze rzeczy: gotowanie i podróżowanie.

Próbowałaś weganizować tradycyjne potrawy?

– Zdecydowana większość przepisów, które są w książce, to potrawy, których spróbowałam w Grecji albo o których się dowiedziałam, a które są w 80 proc. wegańskie. Weganizowałam tzatziki, bo zrobiłam je na roślinnym jogurcie greckim, jest wegańska musaka i gyros: z seitana i z grzybów. I nie



FOT. ALICJA ROKICKA (6)

Alicja Rokicka

• blogerka kulinarna i instagramerka pisząca pod pseudonimem Wegan Nerd. W całej Polsce prowadzi warsztaty, na których uczy przygotowywania zdrowych i kolorowych roślinnych dań. Autorka książek z roślinnymi przepisami: „Wegan Nerd. Moja roślinna kuchnia”, „Stodka Wegan Nerd. Moje roślinne desery”, „Świętujemy!”, „Italia dla zielonych”, „Gotuj! roślinnie”. Jej najnowsza książka poświęcona jest Grecji.

Alicja Rokicka
„Grecja dla zielonych”
wyd. Marginesy 2025





◀ **KULURIA
THESALO-
NIKIS**
– sezamowe
obważanki



◀ **FAWA**
– pasta
z grochu



▶ **LADENIA**
– grecka pizza

jest to do końca „wymyślone”, bo najlepszy wegański gyros jadłam w Heraklionie. Jeśli miałabym do tego miasta wrócić, to właśnie na ten gyros – z tzatzikami, frytkami, posypyany papryką. Gdy byłam tam trzeci raz, właściciel żartował, że powinniśmy taki gyros otworzyć w Polsce.

Zaskoczyło mnie to, że feta wcale nie jest aż tak istotna. W polskich-greckich przepisach feta jest wszechobecna. Ale w Grecji da się bez niej żyć. Można poprosić o niedodawanie jej do salatkii greckiej i innych dań.

W Polsce w greckich knajpach jest też dużo mięsa.

– Tak, gyros, musaka, szaszłyki, owoce morza. To może odstraszyć wegan i wegetarian. Ale w Grecji to wygląda jednak inaczej. Mój obiad składał się w większości z hummusu, fawy, sałatek, pity. Z dużej ilości małych rzeczy. Najadałam się po korek.

Co ciebie uderzyło w Grecji?

– To kraj, który ma wiele problemów. W Grecji po raz pierwszy tak bardzo wyraźnie zobaczyłam kryzys migracyjny. W marcu byłam na Cyprze. Pafos oddalone jest od Palestyny o 400 km i w nocy było słychać bombardowania. Nigdy nie słyszałam czegoś podobnego. Podobno jak jest ładna pogoda i duża przejrzystość, można zobaczyć ogień. Na Rodos z kolei widziałam, jak policja prowadziła bosych migrantów. To było bardzo przykre, bo nie wiadomo, co się z tymi ludźmi stanie. A oni po prostu szukają schronienia.

Z kolei Ateny mają problem z narkotykami. Są dzielnice, w których jest to bardzo widoczne. Jednego dnia skręciłam nie w tę uliczkę, co trzeba, i w zaułkach zobaczyłam ledwo trzymających się na nogach ludzi z wbitymi strzykawkami. Nie czułam strachu, ale bardzo im współczułam. Są też w Atenach organizacje, które oddolnie próbują pomóc i zostawiają np. czyste strzykawki.

Wiesz, że meczet w Atenach został otwarty dopiero pięć lata temu? Na wyspach tych meczetów jest więcej, większość to obiekty historyczne. W Atenach muzułmanie spotykali się w piwnicach czy garażach.

Takie historie w podróżowaniu sprowadzają cię na ziemię. Problem narkotykowy, kryzys migracyjny, bezradność, a z drugiej strony to wciąż są Ateny i Grecja – kolebka cywilizacji, region bardzo turystyczny.

Czy wpływ imigrantów w kuchni greckiej jest widoczny?

– Myślę, że trudno stwierdzić, czy w ogóle coś takiego jak czysta kuchnia grecka istnieje. Znaczącą rolę w jej kształtowaniu odegrały wpływy kuchni bizantyjskiej, osmańskiej, a także włoskiej i kuchni innych krajów bałkańskich.

Współcześnie w greckich miastach można się spotkać z knajpami z kuchnią bliskowschodnią. Na Cyprze, w Nikozji, zjadłam jeden z najlepszych posiłków w moim życiu, a było to w knajpie libańskiej. Było prawie pusto, kilku mężczyzn paliło szyszę, ale weszliśmy. Zjedliśmy najlepszą sałatkę tabbouleh, z oszalałającą ilością pietruszki i mięty, kilka rodzajów hummusu, salatkii, muhammarę z pieczonej papryki. Było tam wszystko i było przepyszne.



– *Kuchnia grecka wyściowi jest bardziej zróżnicowana. Oczywiście jest dużo dań mięsnych i tych z owocami morza, ale w kuchni greckiej królują też strączki: groch, różne odmiany fasoli, soczewica, ciecierzyc.*

Kuchnia grecka to taki kocioł wypełniony różnymi smakami, aromatami. Wszystko tutaj do siebie pasuje i współgra.

Grecy są kulinarnymi patriotami?

– Myślę, że są. Tam każda knajpa serwuje dania kuchni greckiej. Tawerny nie są tylko wymysłem pod turystów. Grecy w różnym wieku tam przesiadują i zachwycają się swoją kuchnią.

W knajpach się biesiaduje przy muzyce. I nikomu się nigdzie nie spieszy. Mówi się na to siga, siga – spokojnie, spokojnie. Kellner przyniesie dania i zaraz o tobie zapomina. A jak sobie przypomni i prosi o rachunek, to zanim go dostaniesz, to jeszcze dostaniesz deser albo alkohol. I tak się wszystko rozwleka. Siedzisz i czujesz się ugoszczony, jak w domu.

Oczywiście można spotkać knajpy z kuchnią włoską czy azjatycką, bo Grecy są ciekawi innych kultur i smaków. A takie miejsca zakładane są też przez rodziny imigrantów, np. z Indii.

Widać, że to jest kraj, który chce się rozwijać. Od 2022 roku są tam zalegalizowane małżeństwa jedнопłciowe, aborcja jest dostępna do 12. tygodnia ciąży.

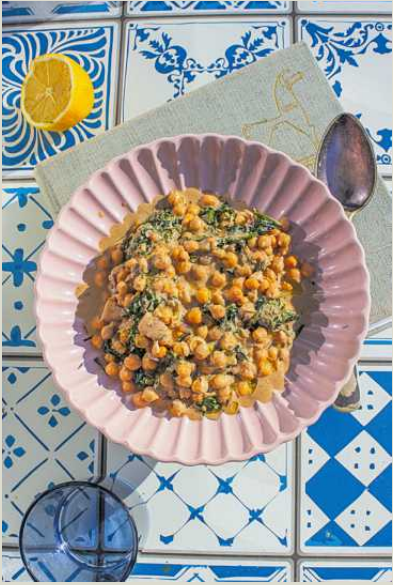
Z drugiej strony w Grecji jest problem z przyrostem naturalnym, społeczeństwo się starzeje, wyspy wyludniają, bo albo nie ma tam perspektyw, szczególnie dla młodych, albo są upały, pożary i trzęsienia ziemi jak ostatnio na Santorini.

Mówisz, że młodzi ludzie uciekają z wysp greckich i wyjeżdżają z Grecji. Myślisz, że tradycja greckiej kuchni przetrwa?

– O kilkadziesiąt kolejnych lat możemy być spokojni. Na razie grecka kuchnia ma się dobrze, bo nawet młodzi Grecy się nią interesują i jedzą. To kuchnia świeżego produktu, uniwersalna i lekka. Myślę, że dla greckiej kuchni większym zagrożeniem może być kryzys klimatyczny, trzęsienia ziemi i susze niż emigracja Greków. ●

Ciecierzyc z zieleniną

Przepis z książki „Grecja dla zielonych”



• Taką ciecierzycę gotowaną lub zapiekaną z zieleniną jadłam parę razy, ale za tym przepisem przepadam najbardziej. Był to mój pierwszy obiad zamówiony po przylocie do Heraklionu. Zostawiłam plecak w mieszkaniu i poszłam na zwiady do lokalnych restauracji. Wtedy byłam jeszcze greckim ośeskiem, który o tamtejszej kuchni wiedział niewiele. Kiedy już znalazłam odpowiedni lokal, po przeczytaniu menu oszalałam ze szczęścia. Zamówiłam aż cztery dania: ciecierzycę, dolmades, hortę i chleb. Nikt mnie nie uprzedził, że porcje są aż tak wielkie. Ciecierzycę smakowała mi najbardziej, może dlatego, że była pożywna, ciepła i treściwa, ale także ze względu na to, że dodatkowo była doprawiona tahini. To nadało daniu aksamitnej i kremowej konsystencji. Ciecierzycę delikatnie się rozpadła, zielenina rozpyływała się w ustach, a wszystko to było otulone wspaniałym, tłuszczytkim sosem sezamowym. Potem już nigdzie ciecierzycy nie była aż tak smaczna. Tę z Heraklionu pamiętam do dziś.

Składniki:

- 300 g suchej ciecierzycy
- 2 cebule
- 2 ząbki czosnku
- 2 liście laurowe
- 500 ml wody
- 3 pomidory
- 500 g szpinaku lub mieszanki zieleniny (sałata, pokrzywa, burak liściowy)
- 1 cytryna
- 3 łyżki tahini
- sól
- pieprz

Przygotowanie:

• Ciecierzycę zalej wodą i posól. Pozostaw do namoczenia na 12 godzin. Wylej wodę i przepłucz ciecierzycę. Przesyp ją do garnka. Drobnoposiekaj cebulę i czosnek i razem z liśćmi laurowymi dodaj do ciecierzycy. Zalej wszystko wodą. Gotuj około 45 minut pod przykryciem. Wyciągnij liście laurowe.

• Pomidory zetrzyj na tarce i dodaj do garnka. Gotuj bez przykrycia, by odparował nadmiar wody.

• W miseczce połącz tahini z sokiem z cytryny i mieszaj, dolewając wody, aż konsystencja zrobi się kremowa. Wlej sos do ciecierzycy i wymieszaj. Na koniec dodaj zieleninę. Dopraw solą i pieprzem.

Literatura Litewscy „wyklęci”

LEŚNI LUDZIE

Nikt nie ocalał. Cały oddział, młode chłopaki. Nasi najlepsi.

Herkus Kunčius*

Toaleta lśniła. Wystarczyło uchylić drzwi, by nozdrza wypełnił bukiet upajających zapachów. Wewnątrz było białe, przyjemnie i czysto. Było estetycznie: kafelki wysokiej jakości, nienaganne wykończenie, gustowny wystrój. Ktoś mniej pojętny mógłby się pomylić – pod wieloma względami miejsce to przypominało luksusową salę operacyjną. Z drugiej strony niebieskawe pisuary stojące w szyku niczym rzymscy legionieści podpowiadały, że dalebóg nie jest to zakład leczniczy.

Marat Zabielski, wyprężony po żołniersku mimo sędziwych lat, otworzył drzwi toalety i wziął głęboki wdech. Zakręciło mu się w głowie. Przystanął. W pierwszym momencie chciał klęknąć i uczynić znak krzyża, jakby znalazł się w świątyni. Toaleta zrobiła na nim, religijnym prowincjuszu, piorunujące wrażenie, był przyzwyczajony do wiejskich wychodków.

Przez chwilę Marat Zabielski stał bez ruchu, potem zaczął studiować bardzo nowoczesną konstrukcję pisuarów i, jakby czegoś szukając, wsadził głowę do jednego z nich – nigdy nic podobnego nie widział.

Marat Zabielski mógłby jeszcze długo oglądać je ze wszystkich stron, lecz nagle zabulgotało mu w żołądku – i przypomniał sobie, po co przyszedł. Ruszył w kierunku drzwi, za którymi powinny się znajdować nie mniej efektowne muszle klozetowe, kto wie, może nawet brązowe albo seledynowe. Niestety, kabiny były zajęte.

To go trochę wytrąciło z równowagi, lecz hartowany przeciwnościami losu nauczył się cierpliwości, dlatego postanowił poczekać i nie robić w miejscu publicznym niepotrzebnego zamieszania.

Marat Zabielski stanął przed ogromnym lustrem. Wpatrując się w swoje odbicie, mimowolnie pomyślał, że życie jest bezlitosne, a często niesprawiedliwe.

Tak, tak. Twarz Marata Zabielskiego była poorana odrażającymi zmarszczkami, na nosie pstrzyły się skupiska wągrów, a zarumienione chorobliwie czoło pokrywały płatki łupieżu. Wiele wycierpiał. Pozostało mu tylko jedno – bujne włosy. Siwe pasma opadały na ramiona wysłużonej, ale nie zdartej do szczytu marynarki.

Ktoś mógłby wziąć Marata Zabielskiego za podstarzałego hipisa. Ale Marat Zabielski urodził się długo przed pierwszym hipisem – miał ponad osiemdziesiąt lat, nigdy nie był pacyfistą i był z tego dumny.

– Pan czeka? – Rozmyślenia Marata Zabielskiego przerwał nagle łysy mężczyzna, który stanął za jego plecami, w lustrze odbijała się nie mniej szkaradna twarz, nieznajomy przypominał upadłego anioła.



– Czekam – odparł obojętnie Marat Zabielski.

– To poczekamy razem – łysy stanął obok i także jał przyglądać się swojemu odbiciu.

Był w podobnym wieku, może nawet trochę starszy, dlatego nie tak sprawny. Mocno wprawione szklane oko zdradzało, że nie od dziś ma problemy ze wzrokiem. Drugie oko było zdrowe i skrzyło się mądrością.

– Jaki kolor podoba się panu najbardziej? – przerwał ciszę łysy.

– Żółty – odpowiedział bez wahania Marat.

– A mnie, skoro to pana ciekawi, zielony – przyznał się łysy.

– Kolor zielony można zrobić, mieszając żółty z niebieskim – wyjaśnił Marat i w ten sposób niepostrzeżenie dał się wciągnąć w rozmowę. – Mnie na przykład – ciągnął, patrząc w lustro – ojciec był zawsze bliższy niż mama.

– A mnie... – łysy zamyślił się na chwilę – siostra.

Nagle tematy się wyczerpały. Dalsze podtrzymywanie rozmowy nie miało sensu. Obaj goście klozetowi ukradkiem zerkali w lustro i próbowali z rysów twarzy sąsiada odczytać jego biografię. Odbijała się tam przeszłość odchodzącego pokolenia: głód, zaraza i wojna. Byli to świadkowie historii, jakich ściany nowoczesnej toalety jeszcze nie widziały.

Zza drzwi kabiny dobiegło skromne plaśnięcie i szum spuszczonej wody. Starcy spojrzeli na siebie z nadzieją.

– A jaki miesiąc lubi pan najbardziej? – zapytał łysy, gdy obaj telepatycznie odgadli, że w najbliższym czasie kabina się jednak nie zwolni.

– Luty.

– A ja: październik. W październiku wszystko żółknie. Wszędzie jest żółto... Dusza odpoczywa – liście spadają, idzie sobie człowiek wśród liści, liście szleszczą, jakby coś ważnego szeptały.

– Ale mówiłeś, że lubisz zielony.

– A ty, że żółty. Gdzie ty w lutym widziałeś żółty? Wszystko jest białe. Dąchy na przykład.

Marat Zabielski się zamyślił. Właśnie, dlaczego podoba mu się luty? Przecież kwiecień też ładny. Ładny jest lipiec. Piękne są dęby. Brzozy. Klon. Osika...

„Gdy jest zimno, to mocniej trzęsie”, pomyślał Marat Zabielski, który od ładnych paru lat walczył z chorobą Parkinsona. Jak bardzo telepie, to można napalić w piecu. Tylko drzewo trzeba mieć. Zwłaszcza zimą potrzeba dużo drzewa. Wtedy jest ciepło.

Nie mam już siły do roli. Dzieci pociekały, nie chcą zostać na wsi. Sam jestem na gospodarce. Zapraszały do stolicy, nie chciałem. Co bym u nich robił. Tu mam własny kąt, mam moje jabłonie, las. Las to mój brat. Samiutki jak palec jestem w tym lesie.

Wyć tylko. Jesienią pół biedy, gorzej zimą... W zimie jest najciężej, ślady wiadać. Narobię śladów, to mnie wytropią. Dobrze, jak śnieg pada. Wszystko zasypie... Samiutki zostałem. Co teraz będzie?...

– A czy pan ma cel w życiu? – zapytał bez ogródek Marat Zabielski.

– Mam – westchnął łysy i wydmuchnął na podłogę zawartość nosa.

– Ja też mam cel – wyznał Marat.

– Wielki cel.

– Timur – przedstawił się łysy, rozcierając butem wydmuchniętą wydzielinę.

– Marat – Zabielski uściśnął mu dłoń.

Starcy zaczęli uważnie się sobie przyglądać. Z niedowierzaniem, jakby się bali pomyłki.

– Marat Zabielski! – Pierwszy wykrzyknął Timur, wycierając zasmarkaną rękę o polatane spodnie.

– Timur Nikulin-Lisowski! – Marat rzucił się w objęcia przyjaciela.

– To ty?! Co ty tu robisz?! – Zaproсили mnie.

– Mnie też! Też mam zasługi!

– Mam! Razem! Mam!...

Marat Zabielski i Timur Nikulin-Lisowski ściskali się jak bracia. Wszystko wydarzyło się tak nagle.

W toalecie bzycały neonowe lampy. Starcy, nie słysząc bzyczenia, obejmwali się, głaskali, poklepywali nawzajem po policzkach, polały się łzy. Powitanie było wzruszające, tkliwe, melodramatyczne. Obeszło się bez słów. Rozmawiali za pomocą subtelnych gestów w im tylko znanym języku, który postronnemu obserwatorowi mógłby się wydać co najmniej dziwny.

Timur Nikulin-Lisowski spróbował nawet zadać na niby kilka bokserskich ciosów, którymi starzy przyjaciele wyrażają zazwyczaj dozgonne przywiązanie. Niestety, Maratowi Zabielskiemu od zawsze brakowało szybkiego refleksu – nie zdążył zrobić uniku przed lekkim uderzeniem w splot słoneczny, zachwiał się i osunął na kolana. Upadek nadal temu historycznemu spotkaniu nieco dramatyzmu.

Marat uderzył się o muszlę umywalki i rozciął sobie głowę. Trysnęła krew, zalewając nie tylko marmurową posadzkę, ale też schludną marynarkę, spodnie i siwe włosy.

Timur Nikulin-Lisowski zachował spokój. Otworzył wszystkie krany i zaczął z wielkim współczuciem spryskiwać, kropić, obmywać i cucić przyjaciela, który siedział teraz na podłodze oparty o ścianę.

– Boże, ile lat, ile czasu minęło! – dziwił się poruszony do głębi Timur, polewając wodą krwawiącą ranę Marata Zabielskiego. – Czegoż nie przeszliśmy, ile się człowiek nacierpiał, i znowu się spotykamy! Ile lat!

– Pięćdziesiąt – wymamrotał Marat, który właśnie odzyskał przytomność.

– Nieprawda! Sześćdziesiąt! – sprostował, lkając, Timur Nikulin-Lisowski. Nie wstydził się płakać przed przy-

jacielem. Były to lzy radości. – Wiele wody upłynęło, słonej wody, gorzkich łez – powtarzał w kółko, zapominając o szumiących wciąż kranach. – Maracie...
– Timurze...
– Postarzałeś się...
– Ty też nie jesteś młodszy.
Woda zaczęła się przelewać przez brzegi umywalek.
Po niedługim czasie Timur Nikulin-Lisowski, który miał spore doświadczenie jako sanitariusz, uznał, że krwotok jest zatamowany, i usiadł w kałuży obok przyjaciela, opierając się plecami o ścianę.
Ubikacja tonęła. Robił się prawdziwy potop, który mógł zalać niższe piętra.

Starzy przyjaciele siedzieli i bezgłośnie wpatrywali się nieobecnymi oczami w kabiny. Z jednej z nich dochodziło żalosne stękanie. Łzy wzruszenia na policzkach mężczyzn powoli wysychały.
– Pamiętasz naszą ostatnią zimę w lesie, w pięćdziesiątym trzecim? – zapytał rozmarzonym głosem Nikulin-Lisowski.
– Jak dziś: zima, śnieg, choiny, siedzimy w ziemiance, bez naboí, skazani na śmierć.
– Nikt nie ocalał.
– Cały oddział, młode chłopaki, nasi najlepsi chłopcy: Zenon, Wirgiliusz, Edward...
– Czegoś takiego nie można wybaczyć.
– Do dziś serce boli, jak o nich pomyśle. Nie mogę zapomnieć jednego widoku: śmiertelnie ranny Bernard pisze list pożegnalny do swojej nienarodzonej córki, szłocha, ja też beczę, a nad głowami świst kul.

Marat Zabielski zamyślił się. Timur Nikulin-Lisowski odkasznął, ale nie splunął. Obaj myśleli o tym samym. I tu, w toalecie, i tam, w wykopanej pół wieku temu wilgotnej ziemiance, byli razem.
– Masz jeszcze ten kastet, który ci dałem, kiedy nas otoczyli? – Timur Nikulin-Lisowski nagle się ożywił.
Marat Zabielski drżącą ręką sięgnął do jednej z kieszeni marynarki, kastet był w drugiej.
– Proszę. – Wyjął metalową płytkę i podał Timurowi. – Był ze mną w podziemiach Łubianki, w syberyjskich łagrach, w kopalniach, na zesłaniu w Norylsku. Gdyby nie on, to nie byłoby mnie tu teraz. Ocalił mi życie. Niejeden raz.

I dodał jeszcze:
– Ile naciąłem na nim rowków, tyle razy mogłem umrzeć.
– Masz go jeszcze. Udało ci się go zachować wbrew wszystkiemu – zachwycał się Timur Nikulin-Lisowski.
Oglądał esesmańskich kastet, dotykając go ostrożnie niczym świętą relikwię. Założył. Dał sobie lekko w szczękę. Zdjął. Pocałował. Przytulił do policzka, pogłaskał jak ukochaną sprzed lat, co choć wyszła za innego, zachowała w sercu delikatne uczucie pierwszej miłości.
– Pamiętasz straszny rok czterdziesty ósmy, gdy jesienią poszliśmy do wsi Spitranę?
– W Lilejkach?
– Nie, w Spitranach. Nocą. W Zadzuski.
– W Naszloniszkach?
– Nie, Naszloniszki zostały z boku.
– Kiedy daliśmy nauczkę przewodniczącemu kolchozu?
– Wcześniej.
– Co było wcześniej?... Przecież wszystko było... Bieda, ból, lzy, nadzieja, że zbliża się wolność, że już jest – na wyciągnięcie ręki, jeszcze dzień, dwa wytrzymać, wycierpieć...

– Wsadziłeś wtedy w tylek sekretarzowi partii Pranasowi Urbisowi szyszkę jodlową. Później go udusiłeś, wyrwałeś mu kutasa i dałeś do zjedzenia jego żonie Esterze – mojej szwagierce. Ładna babka była, pamiętasz?...
– A! Wtedy! – Marat Zabielski się uśmiechnął. – Pamiętam. Nie chciała, kurwa, jeść komunistycznego kutasa. Ale otworzyłeś jej, cholera, usta i wepchnąłeś. – Klepnął się w kolano, które było już w wodzie.
– Młodzi byliśmy...
– Niedoświadczeni, naiwni, idealiści. – Marat wciąż krwawił. Ale inna to była rana niż te, które lata powojenne zostawiły w duszy.

Nadleciał anioł ciszy.
Woda zalewała staruszkom nogi, ale nic nie czuli. Rozgrzewały ich bohater-skie wspomnienia. Było im ciepło, dobrze, miło. Przyjaciół pochłaniały myśli o przeszłości. Każdego z osobna. Pośród ciszy.
Z której kabiny doleciał jęk i ogłuszająca kanonada wydostających się na wolność gazów.

– *Pamiętasz naszą ostatnią zimę w lesie, w pięćdziesiątym trzecim? Śnieg, choiny, siedzimy w ziemiance, bez naboí, skazani na śmierć*

– Brakowało broní – powiedział wyrwany z zadumy Timur Nikulin-Lisowski.
– Wiele trzeba było robić samymi rękami – przytaknął mu Marat Zabielski. – O, tymi. – Popatrzył na kastet w dłoni Timura.
– Nie na darmo się trudziliśmy.
– Teraz możemy być dumni. Gdyby nie my, ech... A pamiętasz, jak na Wielkanoc poszliśmy do kapusia Kleofasa? – Marat się ożywił.
– Jakiego Kleofasa?
– No, tego, z którym w dzieciństwie paśliśmy krowy.
– Kleofasa Lupeikisa?
– Nie, ten uciekł do Ameryki w czterdziestym czwartym. No, Kleofasa. Naszego Kleofasa Valterisa z Muckun.
– A, Kleofasa Valterisa! Za Niemca na potańcówkach zalecał się do twojej siostry.
– Pamiętasz, jak po spowiedzi poszliśmy do niego całym oddziałem – o świecie weszliśmy do chaty, a matka już na nogach, chleb szykuje... Smacznie pachniało, tatarak przygotowany. Taki ładny był wielkanocny poranek w pięćdziesiątym roku...
– Pamiętam! – uradował się Timur Nikulin-Lisowski i, siedząc, zrobił kilka bokerskich ruchów, jakby walczył z niewidzialnym wrogiem. – Kleofas, komunista, zatwardziały donosiciel, sadysta, łajdak, jakich mało. A Leonowi, jego ojcu, wbijałeś w głowę gwoździe. Mówiłeś, że trzeba mu naprawić mózg.
– Tak, tak – potwierdził Marat Zabielski, chichocząc. – Wbiłem chyba pięć jak ramiona gwiazdy, a ten ciągle żyje. Jaja odkroilem – dalej żyje. Do buzi nasrałem – żyje, skubany. Dostałem szału. Pelza. Skomle, z tymi gwoździami, bez jaj, ścierwo komunistyczne z Kremla. Nie zapomnę go, na Sybir chciał mnie zesłać.
Jego żona Palmira, kuzynka mojej matki, błaga, nogi całuje. Kopnąłem w łeb, za włosy włokę i o ścianę: raz, drugi. Leon z gwoździami w głowie cią-

gle nie zdycha. Chłopcy kpili, że jestem niezdarą, bo nie umiem człowieka dobić. Dopiero po godzinie się wykończył. Silny był.
Wtedy matkę tego szpicla powiesiliśmy na krokwi, a jego samego... – Marat chwycił się za brzuch, nie mogąc powstrzymać śmiechu – do pieca! Zamiast chleba. Wsadziliśmy go do rozpalonego pieca. Upieliśmy szpiega! W piecu chlebowym! Jeszcze pamiętam smak! Z kartoflami! I zsiadłym mlekiem! Cały oddział. Kleofasa! W piecu! Wije się, skwierczy, tłuszcz pryska. Miał on sadła, dobrze utuczony gadzina!
A Bernard – Marat Zabielski dławił się ze śmiechu – a Bernard podlewa wodą. Żeby nie wyszedł za suchy! Smaczniejszy będzie! A Kleofas – w piecu! Piecze się! Z kartoflami! Zenon przygotowuje stół – talerze, naczynia. Wielkanoc! Wirgiliusz i Edward – gwałcą Palmirę. Na stole! Potem pie-przysz ty. Zenon się złości! Edward ciach – odkroił cycki. Chodzi z cyckami! Kładzie na ramionach! I krzyczy, że to komunistyczne naramienniki. Naczynia lecą! Tłuką się! A Kleofas w piecu! Potem z ziemniakami! Ze zsiadłym mlekiem! Kleofasa! Przy stole! Jak prosie!
– Głodni byliśmy. – Timur Nikulin-Lisowski nie mógł się powstrzymać od śmiechu.
– I to jak! – rechotał Marat Zabielski.

Drzwi jednej z kabin cichutko się otworzyły. Ze środka wyszedł elegancko ubrany urzędnik. Zawstydził się, że wcześniej nie spostrzegł awarii, i nerwowo przyglądał zwichrzone włosy.
Za nim z tej samej kabiny wymsknął się drugi, mocno zarumieniony mężczyzna. Obaj czuli się głupio, brnąc po wodzie w kierunku drzwi, wreszcie wyskoczyli jak z procy na zewnątrz. Marat i Timur nie zwrócili na nich uwagi – śmiali się jak beztro-skie dzieci.
Jeden klozet był już wolny, ale działacze ruchu oporu nie spieszyli się, żeby z niego skorzystać – wciąż ryczeli ze śmiechu. Wkrótce z wolności się druga kabina, a następnie z trzeciej złany potem osobnik wyniósł bezzębego kota miauczącego zachrypłym głosem.
Ktoś spostrzegawczy zauważyłby, że potrzeba, która spowodowała tu Timura Nikulina-Lisowskiego i Marata Zabielskiego, jest już nieaktualna.

W nieprzytomnej radości Marat Zabielski ujął rękę Timura Nikulina-Lisowskiego i
.....
.....
Staruszków wyciągnęli z wody strażacy. Jak pisały gazety, w chwili zdra-dzieckiej śmierci trzymali się w objęciach.
Doradca do spraw kultury trafnie zauważył, że ta śmiertelna poza nierozłącznych braci przypomina rene-sansową płytę nagrobną książąt mazo-wieckich.

W Pałacu Prezydenckim powstało zamieszanie i uroczystość wręczenia honorowych odznaczeń trzeba było przenieść na inny dzień. Personel techniczny Pałacu nie był z tego zadowolony. Eksperci uznali, że znaleziony po wypompowaniu wody kastet ma wartość historyczną, i przekazali go Muzeum Ofiar Ludobójstwa. Wprawdzie prokuratura chciała wnieść przeciw Timurowi Nikulinowi-Lisowskiemu formalny pozew o zabójstwo Marata Zabielskiego w okolicznościach obciążających, ale Pałac Prezydencki w porę przypomniał niewątpliwie zasługi podejrzanego (dawnego partyzanta)

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tadeusz Dąbrowski*

Podróż

Na festiwalu Bonhoeffera w Szczecinie przysnił mi się Różewicz.

Wciąż był moim mistrzem, siedziałem na wykładzinie u jego stóp w pokoju nabitym uczniami.

Zadawałem mu niedorzeczne pytania, np. którego z beatników ceni najbardziej.

Odpowiedział: Herberta za wiersz pt. „Autobus”.

Zaraz po przebudzeniu zacząłem szukać tego wiersza, licząc na cud.

Nie znalazłem.

Pod prysznicem przez zamknięte powieki zobaczyłem Herberta

z Różewiczem, Ginsbergiem, Kerouakiem i całą resztą

w niebie pastora Bonhoeffera jak w autobusie.

10.04.2025



***Tadeusz Dąbrowski** - ur. w 1979 r., poeta, eseista, krytyk literacki. Redaktor naczelny dwumiesięcznika literackiego „Topos”. Były dyrektor artystyczny festiwalu Europejski Poeta Wolności. Tłumaczony na wiele języków, jego wiersze ukazują się na świecie w najbardziej prestiżowych pismach.

FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



Publikowane przez nas opowiadanie pochodzi z polskiego wydania książki Herkusa Kunčiusa „Zdradzeni, wykleci, oczernieni”, przeł. Zuzanna Mrozi-kowa, Warsztaty Kultury, Lublin 2024. To zbiór tekstów o ludziach, którzy z przekonania albo z głupoty robią czasem rzeczy straszne. Jak np. w wybranym przez nas fragmencie dawni litewscy partyzanci wspominający ze wzruszeniem swoje okrucieństwa.

w walce o wolność, kapitalizm i chrześcijańskie wartości.

Po mszy świętej odprawionej w trzydzieści dni po śmierci staruszków odznaczenia, których ci nie zdążyli przyjąć, przekazano uroczystie ich rodzinom. Uczestnikami filmowanej przez telewizję ceremonii byli przedstawiciele prasy i zagraniczni goście.

W pięknie wyremontowanej toalecie Pałacu Prezydenckiego – miejscu śmierci partyzantów – złożono kwiaty: dwa kosze kalii przewiązane żałobną wstęgą.

Pamięć Marata Zabielskiego i Timura Nikulina-Lisowskiego uczczono minutą ciszy. ●

Tytuł tekstu – „Wyborcza”



FOT. WARSCHAUER/CC BY-SA 4.0

*Herkus Kunčius

● – ur. 1965 r. w Wilnie, znany litewski prozaik, dramaturg, eseista i autor słuchowisk. Były prezes litewskiego PEN Clubu. W Polsce ukazały się m.in. jego książki: „Moja walka bambino”, „Litwin w Wilnie”, „Obrazki litewskie” i „Żelazna rękawica Stalina”.



Joanna Banaś

13 czerwca 1525 roku w Wittenberdze doktor Marcin Luter poślubił Katarzynę von Borę. Oboje wcześniej złożyli śluby zakonne. On, ekskomunikowany w 1521 roku za głoszenie tez o konieczności reformy Kościoła, nie planował ożenku i jeszcze pół roku wcześniej nosił habit. Ona uciekła z klasztoru, słysząc o jego naukach, ale na pomysł, że zostanie pastorką Lutrową, wpadła znacznie później.

UCIECZKA

Katarzynę (Katharine) von Bora jej owdowiały ojciec, zubożały szlachcic z okolic Miśni, już jako sześciolatkę oddał do szkoły w instytucie zakonnym sióstr augustianek w miejscowości Brehna. Po kilku latach, gdy nie stać go było na dalsze opłacanie nauki córki, Katarzyna trafiła do klasztoru Cysterek Marienthron w Nimbschen (100 km od Wittenbergi), w którym przebywały już dwie jej ciotki – jedna była nawet przeoryszą. Klasztor miał na tyle rozległe gospodarstwo, że mógł sobie pozwolić na przyjmowanie dziewcząt bez posagu i wyprawy.

Surowa reguła cysterek z mottem: „Ora et labora” (Módl się i pracuj), zakładała wprawdzie tylko dwa posiłki dziennie, dwa dni ścisłego postu w tygodniu, zakaz rozmów i śmiechu, natomiast nakazywała modlitwy od świtu do nocy, ale zakonnice uczyły się czytać i pisać po łacinie, a także rachować, a pracując w ogrodzie, poznawały sekrety ziołolecznictwa (co bardzo się później Katarzynie przydało).

W 1514 roku Katarzyna oficjalnie rozpoczęła nowicjat, a już 8 października 1515 roku, w pierwszym możliwym terminie, złożyła śluby wieczyste.

Dwa lata później mnich augustiański Marcin Luter ogłosił w Wittenberdze 95 tez reformujących Kościół katolicki. Współsiostry powiadomiła o tym

500. rocznica ślubu, który zmienił świat

DOKTOR LUTER I PAN KASIA

„Pożądanie przychodzi bez szczególnej przyczyny, jak pchły albo wszy, ale miłość jest wtedy, gdy chcemy służyć innym”, pisał Marcin Luter, żyjąc jeszcze w celibacie. Po ślubie odkrył, że Bogu jednak podobają się „pożądanie, miłość i radość”.



▲ Ślub Marcin Lutra i Katarzyny von Bory. Obraz Konrada Weiganda z 1930 roku

FOT. SHIM HARNO /
ALAMY STOCK PHOTO
/ BE&W

najpewniej Magdalena von Staupitz, siostra Johanna, spowiednika Lutra.

Kilka spośród 40 cysterek z Nimbschen postanowiło opuścić klasztor, który jednak znajdował się w domenie katolickiego księcia Jerzego Brodatego (1471-1539), wroga Lutra i reformacji. Nie uzyskały więc zgody przełożonych. Zdesperowane mniszki postanowiły uciekać. Katarzyna napisała do Lutra z prośbą o pomoc. Ten wysłał na odsiecz Leonharda Koppego, radcę Torgawy i dostawcę żywności do klasztoru w Nimbschen.

W Wielką Sobotę 1523 roku Koppe po dostarczeniu ryb odjechał kawalek od klasztoru i czekał, aż zapadną ciemności. Dziewięć uciekinierek wskoczyło na jego wóz kryty plandeką, a według legendy wręcz do beczek po śledziach. Musieli jak najszybciej opuścić domenę Jerzego i wjechać na teren zwolennika reformacji, księcia elektora Fryderyka Mądrego (1464-1525), protektora Lutra.

Na wieść o udanej ucieczce cysterek Luter odpowiedział broszurą, w której zapewniał, że dziewice mają prawo opuścić klasztor i nie jest to dla nich hańbiące. Namawiał także rodziny, by zabierały córki z zakonów i zwracały im wolność. A Koppego pochwalili jako szlachetnego rabusia, który dokonał istnego cudu, „ratując biedne duszyczki z ludzkiej tyranii”.

NARZECZEŃSTWO

Pierwszą noc po ucieczce Katarzyna spędziła w domu Koppego w Wittenberdze. Od razu zrzuciła habit i założyła świecki strój – kobiety z sąsiedztwa pomogły w jego skompletowaniu.

Luter czuł się odpowiedzialny za los mniszek z Nimbschen. Już 10 kwietnia zorganizował dla nich

zbiórkę na dworze księcia elektora – przecież kobiety uciekły, tak jak stały.

Jedna chciała zostać kierowniczką szkoły dla dziewcząt, dwie wróciły do rodzin, pozostałe znalazły mężów. Tylko Katarzyna została w Wittenberdze, u przyjaciół Lutra, malarza Lucasa Cranacha Starszego (1472-1553) i jego żony Barbary.

Spędziła u nich dwa lata. Uczyla się prowadzenia domu, a w tym czasie Luter próbował ją wyswatać. Ale odrzucała wszystkich kandydatów. Zakochała się – z wzajemnością – jedynie w studencie Lutra, Hieronymusie Baumgartnerze z Norymbergi. Kiedy chłopak pojechał do domu prosić o błogosławieństwo rodziców, jego ojciec patrycjusz zabronił synowi małżeństwa ze zbiegłą zakonnicą. Nie pozwolił mu nawet wrócić do Wittenbergi, żeby mógł się pożegnać.

Luter próbował pomóc: napisał do Hieronymusa, że jeśli chce ją poślubić, musi się pośpieszyć, żeby jej ktoś nie zabrał. Jednak młody spełnił wolę papy i posłusznie ożenił się z wybraną przez niego patrycjuszką.

W odwodzie swat Luter miał zamożnego pastora Kaspara Glatza z Orlamünde, ale Katarzyna go nie chciała, bo był stary i skąpy.

Jej sytuacja z każdym dniem stawała się trudniejsza. Ekszakonnica, i to biedna jak mysz kościelna, nie była pożądaną kandydatką na żonę. Do tego miała już 26 lat, podczas gdy idealny wiek do wyjścia za mąż wynosił wówczas 15-16 lat. Nie chciała wyjść za mąż bez miłości, a nikogo nie pokochała po tym, jak Hieronim złamał jej serce. Zaczęła nawet żalować opuszczenia klasztoru.

Ponoć to Barbara Cranach zwróciła jej uwagę na Lutra, który żył nadal w celibacie. Był już po czterdziestce, pół życia spędził w klasztorze. „Nie, żebyśmy nie czuli swojego ciała czy płci – nie jestem z drewna

ani kamieni” – pisał w 1524 roku o trudnościach w zachowaniu czystości. Ledwie 30 listopada zadeklarował publicznie, że nigdy się nie ożeni, a dopiero w grudniu zrzucił augustiański habit.

Wiosną 1525 roku Katarzyna oznajmiła, że wyjdzie za mąż tylko za Lutra. Zaskoczyła go jej bezpośredniość. Katarzynę uważał za dumną i wyniosłą, ale przecież sam namawiał do małżeństwa księży, zakonników i zakonnice. „Bóg tego świata, diabeł, tak oczernił stan małżeński i okrył go wstydem, pozostawiając w wielkim poważaniu cudzołóżników, nierządnicę i hultajów, że sprawiedliwym jest na złość jemu i jego światu wejść w stan małżeński”, pisał wtedy Luter.

ŚLUB

Zamiar wejścia w związek małżeński Luter wyjawiał po raz pierwszy w liście z 5 maja: „Chcę zrobić diabłu na złość to, iż chcę pojąć moją Kasię (Käthe) za żonę, zanim umrę. Mam nadzieję, że Pan nie odbierze mi mojej odwagi i mojej radości”.

Pobrali się bardzo szybko. Nie było fazy zalotów ani okresu narzeczeństwa, bo Luter bał się, że ktoś uniemożliwi mu wzięcie ślubu.

Do XVI wieku nie zawierano ślubów w kościołach, najwyżej przed wejściem do świątyni lub najczęściej w domu. Cichy ślub Katarzyny i Marcina odbył się 13 czerwca w Czarnym Klasztorze, dawnym klasztorze augustiańskim w Wittenberdze, który Fryderyk Mądry ofiarował Lutrowi. Świadkami byli przedstawiciele miejskich instytucji: Lucas Cranach reprezentował radę miejską, prof. Johannes Apel – miejscowy uniwersytet, a Johannes Bugenhagen i Justus Jonas – Kościół. Parę pobłogosławił przyjaciel Lutra Bugenhagen, reformator Pomorza. Oczywiście na ślubie byli także Cranachowie. Malarz ofiarował państwu młodym piękny prezent: namalował ich portret podwójny, dwa obrazy do zawieszania obok siebie – gadżet wówczas niezwykle modny.

Obrączkę w owych czasach dostawała tylko kobieta, ich wymiana to późniejszy zwyczaj. Pierścieni ślubny Katarzyny był prezentem od jednego z najznakomitszych gości w Czarnym Klasztorze – króla Danii, Norwegii i Szwecji Chrystiana II Oldenburga, obalonego i wypędzonego w 1523 roku. Bogato rzeźbiony, z dużym różowym oczkiem, był czymś w rodzaju nakładki na wewnętrzzną obrączkę z wygrawerowaną datą ślubu. Rubin pochodził z regionu Mogok w środkowej Mjanmie (Birmie), natomiast rzeźbienia ukazywały tzw. narzędzia męki Chrystusa – krzyż, kolumnę biczowania z kajdanami, różgi i płaszcz, o który walczyli żołnierze.

Formalnie związek Katarzyny i Marcina był mezaliansem. Ona była szlachcianką, a on synem chłopca. Choć po zamążpójściu przyjęła nazwisko męża, to do historii przeszła pod panieńskim, bo sam Luter, wyraźnie dumny z pochodzenia żony, chętnie go używał.

Aby nikt nie mógł zakwestionować legalności małżeństwa, Luter ściśle przestrzegał formalnych wytycznych. Po ślubowaniu nastąpiły więc tradycyjne pokładziny – państwo młodzi zalegli we wspólnym łóżu na oczach świadków, ale w ubraniach.

Małżeństwo zostało jednak skonsumowane później, już bez osób trzecich.

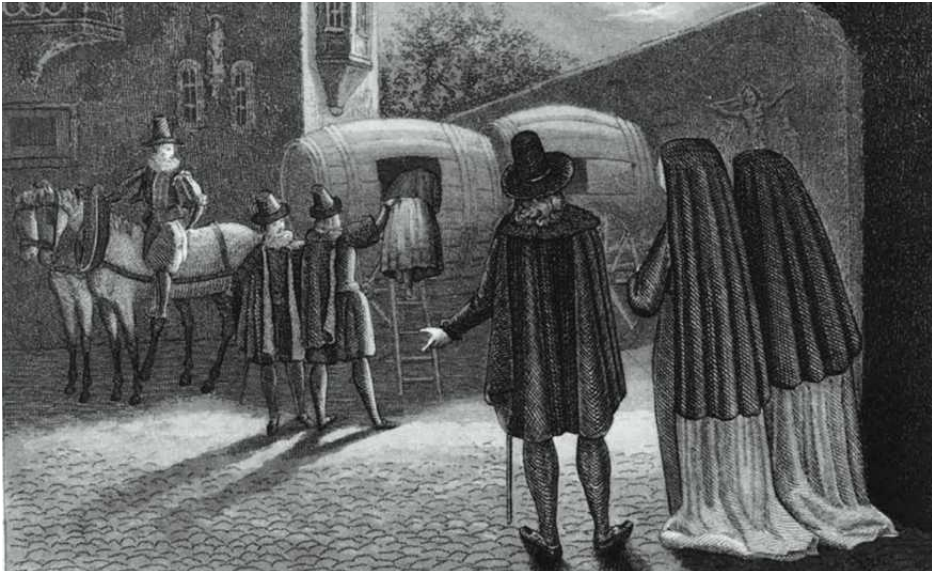
WESELE

Dwa tygodnie później, 27 czerwca, Lutrowie wydali ucztę weselną, której honorowym gościem był Koppe.

Panna młoda nie wniosła posagu, majątek ruchomy pana młodego obejmował tylko dwa srebrne puchary, którymi niegdyś go uhonorowano. Luter rozesłał więc listy z prośbą o produkty na weselny stół. Marszałka książęcego dworu Hansa von Dolziga tak zapraszał na wesele: „Jeśli nie byłoby to uciążliwe, zechciejcie, Panie, przychylić się i przyczynić jaką sztuką dziczyzny, i przybyć osobiście, i pomóc wraz z przyjaciółmi w przypieczetowaniu sprawy i we wszystkim, co przynależy”.

Dziczyzna znalazła się na weselnym stole, rada miasta dała beczkę przedniego piwa, a uniwersytet – srebrny kufel z pokrywą.

Na wesele zjechali także rodzice Lutra. Pękali z dumy, gdy ukończył studia na wydziale nauk wyzwolonych uniwersytetu w Erfurcie i uzyskał tytuł magistra. Od tego momentu ojciec zwracał się do niego z pełnym szacunku „wy” zamiast zwykłego „ty”. Ale syn niezmiernie ich rozczarował, gdy 17 lipca 1505 roku porzucił studia prawnicze, wstąpił do augustianów i przyjął święcenia. Nawet gdy odpra-



◀ Ucieczka dziewięciu zakonnice, w tym Katarzyny von Bory, z klasztoru Cysterek w Nimbschen w Wielką Sobotę 1523 roku. Według legendy uciekinierki ukryły się w beczkach po śledziach

FOT. ZE ZBIORÓW
MUSEUM IM MELAN-
CHTHONHAUS BRETTEN



◀ Portrety Marcina Lutra i jego żony Katarzyny namalowany w 1529 roku przez Łukasza Cranacha Starszego

FOT. FOT. ALAMY STOCK
PHOTO / BE&W

wił już pierwszą mszę, jego ojciec mówił, że to nie Bóg, ale diabeł wybrał dla niego taką drogę. Wieść, że jednak postanowił się ożenić, dała rodzicom nadzieję na wnuki i bardzo ich ucieszyła.

MAŁŻEŃSTWO

Na początku nie łączyła ich wielka miłość. Było to małżeństwo z rozsądku, może z poczucia obowiązku. Z czasem jednak Katarzynę i Marcina połączyła głęboka miłość. „Nie chciałbym oddać mojej Kasi za całą Francję ani za Wenecję; najpierw dlatego, że Bóg mi ją podarował i mnie ją oddał; po drugie dlatego, że jestem przeświadczony, że inne kobiety mają więcej wad niż moja Kasia (choć ona też niektóre ma, przewyższają je jej wielkie cnoty); po trzecie dlatego, iż ona strzeże wiary małżeńskiego stanu, tzn. broni wierności i czci małżeńskiej. Tak powinna również każda kobieta myśleć o mężu”.

Nie mieli miesiąca miodowego, ale w listach Lutra można co nieco wyczytać o pierwszym okresie ich małżeństwa. Zaskoczony i chyba wzruszony pisał: „Przed chwilą byłeś sam, teraz samowtór. Budząc się w łóżku, widzisz obok siebie dwa warokce, których wcześniej nie widziałeś”.

Przedsiębiorcza i pracowita Katarzyna pozwoliła mężowi zajmować się wyłącznie teologią, zdejmując mu z pleców ciężar troski o sprawy doczesne. Luter nie miał głowy do interesów. Co miał, rozdawał potrzebującym, a zarabiał kiepsko – pobierał tylko niedużą pensję uniwersytecką, powiększoną dopiero po ślubie. Nie brał honorariów za książki i broszury. Gdy raz policzył bułki, które zjadł w ciągu roku, nie mógł się nadziwić: „Nie przypuszczałem, że na jedną osobę idzie aż tyle! I zgaduję, skąd te pieniądze!”.

Latami sypiał na brudnym sienniku. „Nie dbałem o to. Po całodziennej pracy zwaляłem się zmęczony na niego i natychmiast zasypiałem” – pisał Luter. Pierwszym posunięciem młodej żony było wyrzucenie przepoconego siennika i zakup solidnego łóża z wygodną poduszką.

Nic dziwnego, że i dom Lutra, Czarny Klasztor, 40-pokojowy budynek w centrum Wittenbergi, popadał w ruinę. Podobnie otaczający go duży ogród. Gmach nie był stary, zbudowano go w 1504 roku, ale dawne eremickie cele augustianów nie spełniały wymagań studentów wynajmujących stancje i licznych gości Lutra. Budynek trzeba było całkowicie przebudować i unowocześnić.

Tego zadania podjęła się Katarzyna zaraz po ślubie. Zburzyła ściany małych cel, by stworzyć większe pokoje, refektarz przemieniła w wielką kuchnię, zainstalowała nowe piece, wybudowała instalację wodno-kanalizacyjną, wyrównała podłogi. Zbudowała pralnię, z czasem także łaźnię. Na dziedzińcu wykopała dużą studnię.

Huk towarzyszący niekończącemu się remontowi doprowadzał do obłądu Lutra, który do pracy potrzebował ciszy. Ale Czarny Klasztor stopniowo stawał się nowoczesnym i funkcjonalnym pensjonatem. „Moja Katarzyna zamienia ten zgniły klasztor w raj na tej ciemnej ziemi” – przyznawał Luter.

Wdzięczny, że nie musi się tym wszystkim zajmować, w listach wychwalał ją jako pracowitą, gospodarną, zaradną, oszczędną i gościnną. Nazywał najpiękniejszym darem Boga. „W kwestiach domowych zdaję się na Kasię, w pozostałych kieruje mną Duch Święty” – zadeklarował Luter.

Katarzyna była niezmordowana. Wstała latem o czwartej, zimą o piątej (mąż nazywał ją „gwiazdą poranną Wittenbergi”). „Ona powozi, uprawia pole, pasie bydło, kupuje bydło, warzy piwo, a zabrała się jeszcze do czytania Biblii, i obiecałem jej 50 guldenów, jeśli do Wielkanocy całą przeczyta! Zupełnie serio! Już jest przy 5. Księdze Mojżeszowej” – pisał Luter.

O ile wiadomo, Katarzyna jednak nie przeczytała całej Biblii, w pewnym mo-

mentie miała stwierdzić, że lektura Świętej Księgi nauczyła ją najważniejszych zasad: „Daj Boże, bym żyła stosownie!”.

Pilnowała, żeby uczestnicy słynnych wieczornych dysput przy stole z Lutrem mieli co jeść, ale nie pozwalała, by zalegali z czynszem. Krzywo patrzyła na to, że uczniowie notowali to, co mówił przy słynnym stole, a potem notatki sprzedawali wydawcom.

W ogrodzie uprawiała, co tylko się dało, założyła małą winnicę i browar, hodowała także pszczoły. Sama robiła leki ziołowe. „Muszę się podzielić na siedem części, być jednocześnie w siedmiu miejscach i pełnić siedem różnych funkcji” – pisała.

W prowadzeniu tego wielkiego domu pomagało jej aż dziesięcioro służby: administrator, nauczyciel dzieci, kucharka, świniopas, woźnica, trzech parobków i dwie służące.

Uciekając z klasztoru, Katarzyna zlamala śluby posłuszeństwa i odtąd lamala je przez całe życie. Wbrew woli męża odkupiła rodzinny majątek Züllsdorf, co znacząco poprawiło stan finansowy rodziny, ale i obciążyło pastora dodatkowymi obowiązkami.

„Gdybym chciał się powtórnie żenić, wyciosałbym sobie posłuszną żonę z kamienia” – narzekał czasem Luter, ale bez przekonania.

W swych listach do żony okazywał jej uczucie i szacunek: „Kasiu, masz pobożnego męża, który Cię kocha. Ty jesteś jego cesarzową” – pisał. Często zwracał się do niej słowami „Mojemu kochanemu Panu – Katarzynie Luter”. Pisał o niej „pan Kasia” (Herr Käthe) lub Dominus Ketha.

O ile jednak zachowały się liczne listy Lutra do żony, to jej listy do niego – tylko dwa. Świadczyłyby o to tym, że chociaż pisał do żony z szacunkiem i czułością, to jej odpowiedzi nie uznał za wartych przechowywania.

KRYTYKA

Małżeństwo z Katarzyną było nie tylko ogromnym zmianą w życiu państwa młodych, ale miało też wymiar publiczny. Było ukoronowaniem buntu Lutra przeciw Kościołowi i spalaniem ostatnich mostów. „Mam nadzieję, że anioły będą się śmiać, a wszystkie demony płakać. Oszczercom zamknąłem gęby moim małżeństwem z Katarzyną von Bora” – pisał Luter. Czas pokazał, że jednak nie zamknął.

Jego najbliższy współpracownik Filip Melanchton był ożenkiem Lutra wstrząśnięty i zmieszany. Nie został zaproszony na ślub i nie mógł pojąć, czemu Luter nie skonsultował swojej decyzji z przyjaciółmi. „Wzięły go w cugle zakonnice – a te się znają na wszelkich sztuczkiach. Już przez sam kontakt z nimi Luter, tak szlachetnej myśli i wielkiej duszy człowiek, popadł w zniewieścialość; widać i w nim zapaliła się krew” – pisał Melanchton, ale gniew chyba kontrolował, skoro dał radę wszystko to napisać greką.

Inni się nie hamowali. Jego nazywali „ogierem zakonnicy”, a ją „niewierną, krzywoprzysięską zbiegłą dziwką”. Pisali, że rewolucja w Kościele była po to, by mógł pofolgować swoim chuciom.

Nawet Erazm z Rotterdamu rozpow szechniał plotkę, że Katarzyna była w późnej ciąży w chwili ślubu. Odwołał te oskarżenia dopiero po narodzinach pierwszego syna Lutrów Jana (Johannesa), który przyszedł na świat 7 czerwca 1526 roku, a więc niemal 12 miesięcy po ślubie. Jego narodziny obaliły przy okazji powszechnie powtarzane ludowe przekonanie, że zakonnice rodzą potwory – mały Jaś (imię dostał po Bugenhagenie) był zdrowym i kształtnym noworodkiem.

Simon Lemnius, student usunięty z uniwersytetu za pisanie zjadliwych wierszyków o znanych osobach, napisał kolportowaną aż do XIX wieku pornosztukę w scenerii klasztorno-nierządnej z Lutrem i Katarzyną w rolach głównych.

Natomiast w połowie XVIII wieku, czyli ponad 200 lat od ślubu Lutra, kanonik Michael Kuen opublikował pod pseudonimem Eusebius Engelhard dwutomowe dziełko „Lucifer Wittenbergensis”, quasi-biografię Katarzyny, paszkwil ukazujący ją jako megierę i wielbicielek jędrnych studenckich ciał.

Sam Luter na wszystkie zarzuty odpowiadał stanowczo: „Obecnie nie tylko słowem, lecz i czynem jestem zwiastunem Ewangelii. Pojąłem mniszkę za żonę. Pracownicy, którzy czują się albo zwycięzcami, albo ze zgorzaniem lamentują, muszą tym pogardzać. Ale ja się nie cofam”.

DZIECI

Jeszcze przed żeniactwem Luter pisał: „Ludzie to dzieci Adama, dlatego powinni i muszą płodzić dzieci, i wydawać je na świat”. Nie zwlekał z wypełnianiem obowiązków – w ciągu ośmiu lat Katarzyna urodziła mu sześcioro dzieci. Półtora roku po pierwszodrodym Janie przyszyła na świat Elżbieta (Elisabeth). Wydaje się, że jedynie ona urodziła się chora, prawdopodobnie dlatego, że w ciąży Katarzyna miała kontakt z bakteriami dżumy. Mała zmarła po ośmiu miesiącach. Rodzice postawili jej nagrobek z prostą inskrypcją: „Hic dormit Elisabeth, filiola Martini Lutheri, 1528” (Tu spoczywa Elżbieta, córka Marcina Lutra).

W maju 1529 roku urodziła się Magdaleną, po niej dwóch synów – Marcin (Martin) w listopadzie 1531 roku i Paweł (Paul), nieco ponad rok później. Ostatnim dzieckiem Lutrów była Małgorzata (Margarethe), rocznik 1534.

Magdalena, ulubienica ojca, zmarła po długiej chorobie w 1542 roku. Jej przedwczesne odejście pogrzyło rodzinę w głębokiej żałobie. Jan po studiach prawniczych został radcą w kancelarii księcia w Weimarze, Marcin studiował teologię, jednak zmarł w wieku 34 lat, natomiast Paweł został medykiem na dworze księcia elektora. Małgorzata po wyjściu za mąż zamieszkała w Prusach Książących (dziś Mazury).

Lutrowie wychowywali nie tylko własną piątkę, ale także tuzin dzieci po zmarłych krewnych i czworo, których oboje rodzice zmarli na dżumę.

Luter piętnował wyśmiewanie mężczyzn pomagających żonom w przewijaniu niemowląt czy praniu pieluch. Sam chętnie zajmował się maluchami, opowiadał im bajki, czasem podczas słynnych dysput przy stole trzymał dziecko na kolanach, potrafił też zakomunikować dumą, że jego mały Hans nauczył się robić kupę. Gdy dzieci były już starsze, pisał do nich ciepłe, zabawne listy.

WDOWIEŃSTWO

Lutrowie przeżyli ze sobą 21 lat, do śmierci Marcina w lutym 1546 roku. Katarzyna była zrozpaczona. Dwa miesiące później pisała do krewnej: „Nie mogę jeść ani pić. Nie mogę spać”. Jednak mimo żaloby musiała działać.

Cztery lata wcześniej Luter spisał testament, w którym jedyną spadkobierczynią uczynił – wbrew ówczesnym zwyczajom – nie synów, ale żonę. Po jego śmierci okazało się, że to, co miało jej ułatwić życie, przydało jej trosk. Niewyznaczenie dla niej pełnomocnika prawnego skutkowało nieważnością testamentu. Wprawdzie Katarzyna była ostatnią osobą, która by potrzebowała opiekuna, ale świat w jej czasach był światem mężczyzn.

Groziła jej nędza. Po śmierci męża musiała walczyć jak lwica, żeby zachować Czarny Klasztor, który przecież należał do Marcina. Poprosiła o wstawiennictwo Melanchtona, błagała wszędzie o pomoc, wreszcie książę elektor Jan Fryderyk I, zwany Wielkoduszynem, dał jej 100 guldenów zasiłku, sugerując, że powinna jednak wyprowadzić się do mniejszego

domu. Jednak ona wybrała ucieczkę do przodu: przyjęła na stancję jeszcze więcej studentów i kupiła kolejne gospodarstwo, tym razem Wachs Dorf, by dochody z niego zasilaly Czarny Klasztor. Oznaczało to dla niej jeszcze więcej pracy.

Starszego o 16 lat męża przeżyła zaledwie o lat sześć. Nie były one dla niej łatwe – musiała w tym czasie aż trzy razy opuścić dom z całym dobytkiem. Po wybuchu pierwszej wojny szmalkaldzkiej, gdy cesarskie wojska pragnące zdławić reformację stanęły pod Wittenbergą, uciekła w październiku do Magdeburga. Gdy wróciła, na Wielkanoc 1547 roku, ujrzała obraz nędzy i rozpacz: zwierzęta zabite, ogród i spichrze spłądrowane, tylko sam Czarny Klasztor przetrwał.

Wkrótce znów musiała uciekać, tym razem przed powracającymi oddziałami wojska. Niemale pieniądze na wyprawę do konwentu ewangelickiego w Brunszwiku, 600 guldenów, zdobyła, zastawiając cenną pamiątkę – srebrny puchar Lutra.

Po powrocie, w lipcu, było jeszcze gorzej: budynek Czarnego Klasztoru był jedną wielką ruiną. Od razu zakasała rękawy – jego odbudowa trwała do 1548 roku.

Dwa lata później do Wittenbergi dotarła kolejna fala epidemii dżumy. Rodzina, tym razem tylko z najpotrzebniejszymi rzeczami, pognąła do Torgawy oddalonej o 50 km. Ale przed miastem poniosły konie. Katarzyna spadła z wozu do zimnej kałuży, w której leżała, nie mogąc się ruszyć po złamaniu biodra. Jakiś czas trwało, zanim przywieziono ją do Torgawy, gdzie opiekowała się nią najmłodsza córka. Katarzyna zmarła trzy dni po 18. urodzinach Małgorzaty, 20 grudnia 1552 roku. Została pochowana w Torgawie.

W 1564 roku spadkobiercy Lutra sprzedali Czarny Klasztor, o który tak walczyła Katarzyna, uniwersytetowi w Wittenberdze. Przekształcony potem w muzeum jako Dom Lutra jest obecnie niedostępny dla zwiedzających – jego kompleksowy remont potrwa do wiosny 2027 roku.

POTOMKOWIE

Ostatni męski potomek Marcina i Katarzyny, Jan (Johann) Gottlob Luther, zmarł w 1759 roku, nie pozostawiając syna. Ale liczbe potomków Lutrów w prostej linii szacuje się na 10 tys., a żyjących na niemal 6 tys.

W 1925 roku podczas spotkania 80 bezpośrednich potomków Lutra narodził się pomysł założenia rodzinnego stowarzyszenia. Rok później w Eisenach zarejestrowano Lutheriden-Vereinigung (Stowarzyszenie Potomków Lutra). Po wojnie jego członków podzieliła żelazna kurtyna, ale po zjednoczeniu Niemiec znów się połączyli.

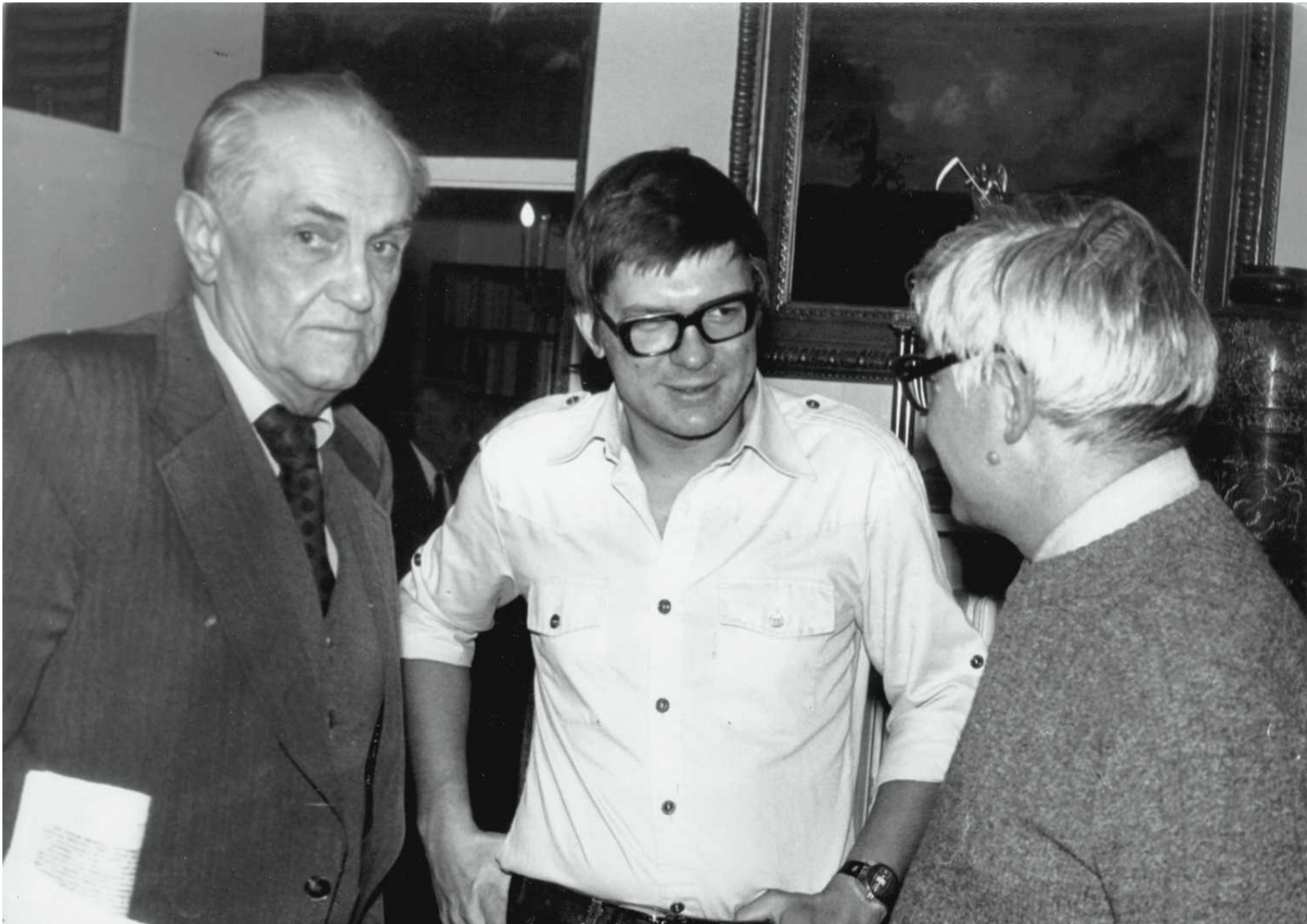
Prawo dołączenia do stowarzyszenia dostali wtedy wszyscy potomkowie dziadków Marcina Lutra lub Katarzyny von Bora, o ile są chrześcijanami (zapis statutowy).

Obecnie do stowarzyszenia należy ok. 200 osób. Przewodniczącym jest Christian Priesmeier, potomek Lutra w 14. pokoleniu, ojciec trojga dzieci i dziadek sześciorga wnucząt. ●

Korzystałam m.in. z książek: „Martin Luther und Katarina von Bora” Christiana Nuernbergera i Petry Gerster; „Marcin Luter” Richarda Friedenthala oraz artykułu „Katarzyna Luter z domu von Bora” Michała Hucata („Nasza Parafia”) i z materiałów okolicznościowych miasta Wittenberga.

Wittenberga w dniach 13-15 czerwca będzie świętować 500-lecie ślubu Lutrów. Gości zaprasza na trzydniowy festyn w centrum miasta, którego główną atrakcją będzie 500-metrowy stół biesiadny. Do 10 sierpnia na wystawie poświęconej różnym aspektom życia Lutra w sąsiednim budynku Augusteum będzie można podziwiać ślubny pierścionek Katarzyny wypożyczony na ten okazję przez lipskie Muzeum Historii Miasta.

NAUKA *bez kontroli*



• W środku Andrzej Celiński, sekretarz Towarzystwa Kursów Naukowych, z lewej prof. Jan Kiełanowski (1910-89), przewodniczący Rady Programowej i Jan Józef Lipski (1926-91), który zapewniał TKN finansowanie z kasy Komitetu Obrony Robotników. Zdjęcie z 1978 roku

FOT. MARCIN JABŁOŃSKI, ZBIORY OŚRODKA KARTA

Gdy do Towarzystwa Kursów Naukowych przystąpili Wisława Szymborska i Kornel Filipowicz, to się ucieszyłem przede wszystkim z Filipowicza.

Z **ANDRZEM CELIŃSKIM**
ROZMAWIA **ANDRZEJ BRZEZIECKI**

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Marek Kunicki-Goldfinger pisze w swojej książce, że powstanie Towarzystwa Kursów Naukowych tylko w materiałach SB wygląda jasno i jednoznacznie, bo sami bohaterowie zapamiętali całą historię różnie, a wielu w ogóle nie pamięta początków. Czy pan odnajduje się w materiałach SB na temat TKN?

ANDRZEJ CELIŃSKI*: Mam problem z teczkami zgromadzonymi w IPN, bo właściwie ich nie czytam. Większość dokumentów na temat TKN poznałem dopiero po ukazaniu się książki Marka. Wcześniej raz poprosiłem o moje papiery, czego właściwie się do teraz wstydzę, i okazało się, że niewiele tam jest. Byłem choćby przekonany,

że w moim otoczeniu musiał być jakiś konfident, ale najwyraźniej go nie było.

Mój przyjaciel Jan Walc mawiał za komuny: „Gdybym ja był starszym sierżantem, tobym nas wszystkich rozp... w tydzień”. Esbecy byli zadziwiająco kiepscy, leniwi i niekompetentni w swojej robocie. Wiedzieliśmy choćby, że jeśli koniecznie trzeba zgubić ogon, to wystarczy poczekać do 22.00, bo im się kończy dzień pracy i pójdą do domu.

Jacek Kuroń mówił, że to dobrze, jak zakładają wszystkim nam podsłuchy na telefon, bo im więcej będą mieli materiału, tym bardziej w nim ugrzęzną i się pogubią. Właśnie materiały zgromadzone w IPN pokazują, jak słabo nas rozpracowali. Przynajmniej jak mało wiedzieli z tego, co dzieje się na bieżąco.

Jak więc było z początkiem TKN w pana ocenie? Kuroń pisał, że Uniwersytet

Latający, z którego wypączkowało TKN, tudzież go wręcz zastąpiło, był dzieckiem pana i Adama Michnika.

– Marek Kunicki-Goldfinger ma rację co do naszej szwankującej pamięci, bo nie pamiętam, kto powołał Uniwersytet Latający, ale nigdy też nie miałem potrzeby udowadniać swojego pierwszeństwa czy rywalizować z Adamem. Pamiętam zaś, że jak powstawał KOR, to Antek Macierewicz, którego znałem z Czarnej Jedyńki, jakoś mnie pominął i byłem na niego obrażony – o czym także mówię ze wstydem, bo to było dziecinne. W dodatku wyleciałem z Uniwersytetu, z mojej ukochanej pracy, pograżałem się w jakieś frustracji. Mój kuzyn Jan Tomasz Lipski wraz z moją żoną Grażyną uznali, że muszę sobie znaleźć jakieś zajęcie, bo zmarnieję do końca. I to oni mi podpowiedzieli Uniwersytet Latający.

Wtedy pomysł był taki, aby wykładowcami byli ludzie młodzi, jeszcze nie myślałem,

że to będą spotkania z profesorami – raczej to my, asystenci, mieliśmy prowadzić zajęcia. Z uniwersytetu zwolniono mnie, Pawła Śpiewaka, zagrożeni byli następni. A tu nagle okazało się, że pojawili się, zgodzili współpracować, współtworzyć UL wspaniali ludzie, wybitni w swoich dziedzinach ćwierćwieczni docenci, którym władza blokowała profesury. Byli też profesorowie, którzy dostali swe nominacje trochę wcześniej, jeszcze przed Marcem '68, przed przykręceniem śruby.

Adam Michnik był bardzo aktywny, jeśli idzie o odczyty. Na jego wykłady przychodziło, do prywatnych mieszkań, nawet 120 słuchaczy. Adam bardzo cenił UL, może nawet przewartościowywał jego znaczenie. Ja nie sądziłem, że wobec innych aktywności środowisk opozycji demokratycznej ma on aż tak wielkie znaczenie.

Latem 1977 roku organizowałem spotkanie studentów z kilku uniwersyteckich

Z początku roznosiłem karteczki z zapowiedzią wykładu i rozkładałem je na parapetach na różnych wydziałach warszawskich uczelni. Potem informowało o nich Radio Wolna Europa

wydziałów, na terenie polemkowskiej wsi zniszczonej w akcji „Wisła”, z której został tylko zarośnięty cmentarzyk nad Wisłokiem, dochodziło się nurtem rzeki, absolutny spokój, nikt nie doniósł, że tam jedziemy, zaprosiłem Adama, gadaliśmy. Były i inne plany działalności edukacyjnej, może nawet z wykorzystaniem oficjalnych struktur, ale nic z tego nie wyszło.

W Warszawie, w Krakowie czy we Wrocławiu było sporo ludzi, którzy mieli potrzebę aktywności społecznej poza oficjalnymi strukturami, ale nie mieli specjalnej ochoty na konspirację. W tamtym okresie gierkowego względnie liberalizmu nie było zresztą ciśnienia na opór społeczny. Tworząc UL, proponowaliśmy ludziom coś, co nie wymagało przekraczania ich barier. Była to działalność dla nich naturalna, słuszną i dająca satysfakcję, ale na względnie niskim poziomie zagrożenia.

W 1977 roku stracił pan pracę na UW, nie powinien był się pan bardziej martwić sytuacją osobistą.

– Ta była całkiem dobra. Dość szybko dostałem świetną pracę w Warszawskim Biurze Projektowo-Badawczym Budownictwa Przemysłowego „System”. Zanim SB mnie tam wypatrzyło, minęło wiele miesięcy, a tam zebrało się grono ludzi, którym minister budownictwa przyznał wielkie środki na badanie rezerwy kadrowej.

Chodziło też o treningi interpersonalne dla dyrektorów. Zajęcia prowadzili choćby Jacek Santorski czy Wojciech Eichelberger.

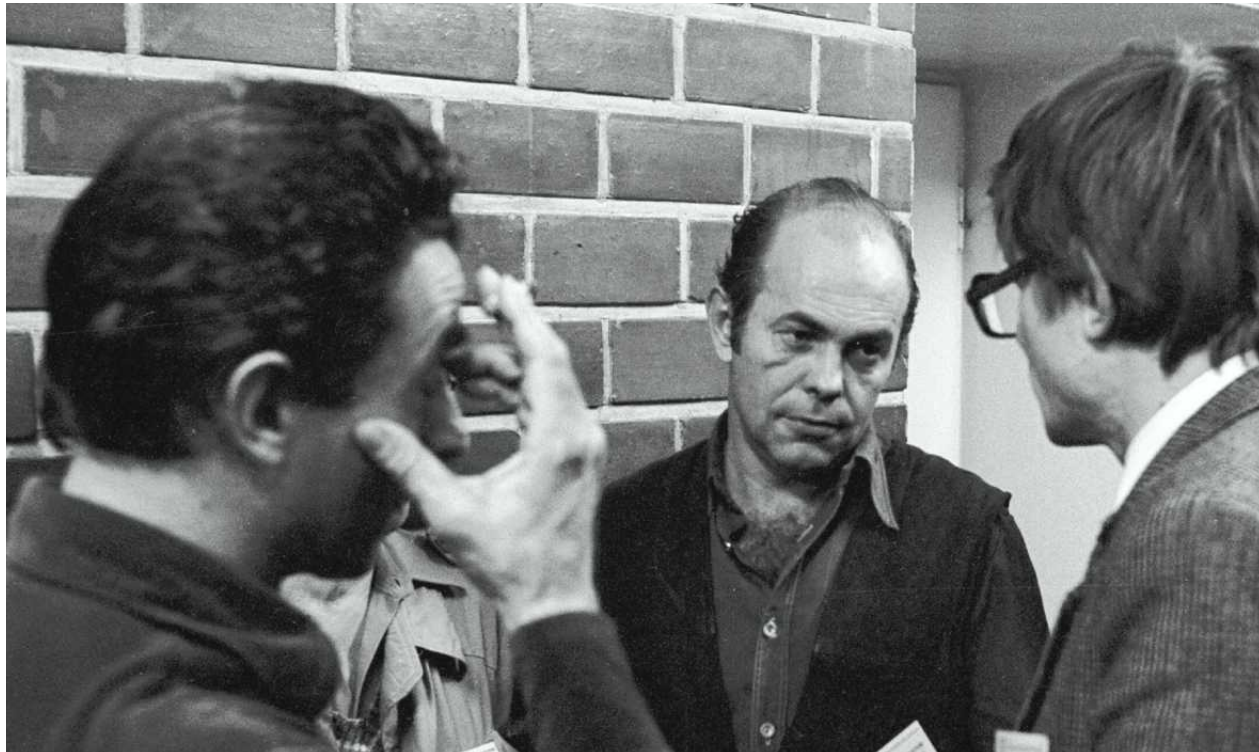
Zarabiałem dobrze, lepiej niż mój uniwersytecki profesor, mimo że byłem na dole stawki. Miałem z czego żyć, a chciałem działać.

Uniwersytet Latający powstał jesienią 1977 roku, a już trzy miesiące później zaczęto myśleć o Towarzystwie Kursów Naukowych, które miało być czymś bardziej sformalizowanym. Skąd ten pomysł?

– Byłem zwolennikiem maksymalnie szybkiej instytucjonalizacji wszystkiego, co robimy. Uważałem, że jesteśmy tak słabi, że musimy poprzez nazwę i organizację sprawiać wrażenie większych i silniejszych. Podobno, gdy atakuje nas dzik czy niedźwiedź, należy rozłożyć ramiona i rozprzestręć płaszczy, kurtkę czy cokolwiek, co się ma, aby wydawać się w oczach zwierza większym, bo jest szansa, że odstąpi od ataku. Tak właśnie chciałem postępować. Nie miałem złudzeń. Było nas niewielu, a nasza działalność miała raczej wartość symbolu i jakiegoś moralnego wyzwania wobec wykładowców uniwersyteckich.

Poszerzała granice wolności słowa, autonomii wykładowców. Ilu tam było tych studentów UL? Marek Kunicki-Goldfinger obliczył, że jakieś tysiąc dwieście osób. Cóż to było, gdy na Uniwersytecie Warszawskim czy Politechnice studiowało po kilkanaście tysięcy?!

Pan był nazywany rektorem Uniwersytetu Latającego i TKN.



• Wykłady TKN odbywały się m.in. w mieszkaniu Jacka Kuronia. Często były przerywane przez wtargnięcia nasyłanych przez władzę bojówek. 21 marca 1978 roku w mieszkaniu Kuronia ciężko pobito kilku uczestników wykładu. Zdjęcie wykonane podczas I zjazdu Solidarności w 1981 roku. Z lewej Karol Modzelewski, po prawej Andrzej Celiński

FOT. JAN ZADORA/REPORTER

– Nie wiem, kto mi taką ksywkę wymyślił. Oczywiście to był żart, ale mi też trochę schlebiał. Ja, raptem 27-latek, miałem możliwość i zaszczyt rozmawiać na co dzień z Jerzym Jedlickim, Bohdanem Cywińskim, Bronisławem Geremkiem, Stefanem Amsterdamskim, Tadeuszem Kowalikiem... Mogłem z nimi co tydzień przez dwie godziny siedzieć na kanapie i gadać. To była wielka wartość. Z innymi, których nazwiska dzisiaj są powszechnie znane i uznane, co kilka miesięcy. Podobnie z wybitnymi ludźmi kultury. Proszę sobie wyobrazić, że gdy dostałem informację, że do TKN przystępują Wisława Szymborska i Kornel Filipowicz, to ja się ucieszyłem przede wszystkim z Filipowicza, bo o przyszłej polskiej noblistce niewiele wiedziałem... U nas także zaprzyjaźnili się Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki. Mazowiecki i Andrzej Kijowski. Pewnie kojarzyli się wcześniej, ale więzi zacieśnili właśnie w TKN.

Jak pozyskiwał pan tak wspaniałych wykładowców?

– Wziąłem do ręki „Rocznik Nauki Polskiej” i dzwoniłem do tych osób, o których cokolwiek wiedziałem. Mówiłem: „Nazywam się Andrzej Celiński. Moje nazwisko nic pani/panu nie mówi, ale mam coś, co może pana/panią zainteresować”, i proponowałem spotkanie. Biegałem dosłownie od domu do domu. Prawie wszyscy się zgadzali, co mnie oczywiście cieszyło, a nawet dziwiło. Chodziło też o to, aby zaistnieć tych, którzy sprzeniewierali się roli profesora. Byliśmy wszak pokoleniem marcowym, pokoleniem buntu.

Najbardziej mierzyły mnie postawy takie jak Andrzeja Micewskiego, który ciągle mówił o ratowaniu substancji narodowej i szedł na dalsze kompromisy z władzą. Nie wiedziałem oczywiście, że był TW, ale to gadanie o obronie substancji miałem za wymówkę, by nie szczególnie ważnego przeciw tej władzy nie robić.

Inaczej zachowali się ludzie „Znaku” jak Bohdan Cywiński czy Jacek Woźniakowski. Oni ryzykowali nie tylko osobiście, lecz i tym, za co gdzie indziej byli odpowiedzialni.

Idea przekształcenia UL w TKN nie wszystkim wykładowcom się jednak podobała.

– Przeciwnikiem był Jerzy Jedlicki, bez którego skądinąd żadnego TKN by nie było. Jurek był człowiekiem poważnym i odpowiedzialnym, który uważał, że nie wolno nazywać rzeczy na wyrost, że jest to jakieś nadużycie. Rozumiałem wagę tego sprzeciwu, lecz istotniejsza wydawała mi się wartość instytucjonalizacji.

Drugim ważkim argumentem, innych już osób, było to, że TKN miał być czymś innym niż UL, czymś bardziej niebezpiecznym, zwracającym uwagę władz i naznaczającym ludzi. Że prowokujemy władze, które jakoś tolerują naszą aktywność wykładową. Oni, władza, po prostu zasnęła z reakcją. Szczęśliwie w końcu zareagowała i 12 lutego 1978 zatrzymała i pobiła Adama Michnika w Krakowie.

W odpowiedzi opublikowaliśmy „Deklarację założycielską TKN” wraz z nazwiskami jej sygnatariuszy. Gdyby nie to, możliwe, że z czasem nasza motywacja by opadła. TKN nigdy nie zaistniałby w świadomości publicznej.

Ale w gronie twórców TKN byli też tacy, którzy widzieli je jako instytucję legalną i oficjalną.

– Rozumiałem ten punkt widzenia. Sam wcześniej długo szukałem jakiejś oficjalnej, ale słabo pilnowanej instytucji, by poprzez nią prowadzić działalność edukacyjną. Choćby po to, by mieć lokal, jakąś pieczęć, telefon. By nas nie ścigano. By tworzyć pozór oficjalności. Próbowałem w spółdzielniach mieszkaniowych, myślałem, żeby wejść na Ursynów, którego budowa właśnie ruszała, i wydawało się, że tamtejsze domy kultury są jeszcze słabo obserwowane przez SB. W domu kultury na Bródnie z kolei chciałem założyć studencko-robotniczy klub dyskusyjny, coś na wzór tych z roku 1956, ale tu już na pierwsze spotkanie weszła milicja. Miałem propozycję z PAX, by tam się ulokować ze swoją aktywnością, ale na to nie miałem ochoty.

Całkiem zresztą możliwe, iż nazwa TKN, odwołująca się do inicjatywy z początku XX wieku w zaborze carskim, wynikała z mojej małej wiedzy i niedoczytania. Mogłem nie zdawać sobie sprawy, że to mogło być potraktowane jako sugestia podjęcia próby legalizacji. Rozumiałem i poparłem, jak inni członkowie Rady Programowej, profesora Jana Kielanowskiego, który poszedł z „Deklaracją założycielską TKN” do prezesa PAN Witolda Nowackiego. Kielanowski, owszem, liczył się z odmową, ale szokiem dla niego było to, jak Nowacki go potraktował. Wyśmiał właściwie. Stąd potem, zwłaszcza po pobiciu Adama, bez oporów już przekazał informację o TKN korespondentom zagranicznym, co w optyce władzy oznaczało wrogi gest, ale właśnie instytucjonalizowało de facto tę inicjatywę.

Największe napięcie w TKN dotyczyło jednak relacji z KOR. Jerzy Jedlicki wspominał, że nie chciał, aby TKN

zostało uznane za przybudówkę KOR. Był także przeciwny wykładowi Jacka Kuronia, bo nie wiedział wiele o jego kwalifikacjach, a bał się upolitycznienia kursów. Sam Kuroń z kolei mówił, że ludzi KOR bardzo bolało to odcinanie się intelektualistów od tej marki. Najbardziej przykre były słowa Marii Janion, która stwierdziła, że pomiędzy SB a KOR nie ma już miejsca dla nikogo.

– Jurek Jedlicki bardzo pilnował jakości. By nikt z sensem i zgodnie z prawdą nie mógł nam zarzucić nietrzymania najwyższych standardów naukowych. Chodziło też o to, by zapewnić możliwie szeroką przestrzeń nieokreśloności politycznej, by nie zachęcać władzy do ostrzejszej reakcji. O to też zresztą spierałem się z kolegami z KOR. Często było tak, że jedni mówili, że ustępstwa pomagają jakoś przetrwać, kiedy inni, że ośmielają władzę do ostrzejszych represji.

Sercem byłem po stronie Jacka, sądziłem jednak, że w tamtej sytuacji, kiedy grozi nam rozłam w TKN i jakieś rezygnacje, on sam powinien się wycofać, zawiesić wykłady. Uważałem, że powinien powiedzieć sobie tak: moja obecność w TKN nie jest aż tak istotna jak samo trwanie TKN – nawet jeśli kulawe. Nie doceniałem też tego, że w życiu społecznym, też w opozycji, w systemie autorytarnym ludzie realizują swoje afiliacyjne potrzeby, że przełamują tam granice, uciekają od poczucia osamotnienia.

Pieniądze na działalność TKN szły głównie z KOR, więc te opory wobec Kuronia wydawały się małooduszne.

– Tak, pieniądze pochodziły od Jana Józefa Lipskiego, czyli z KOR, ale Maria Janion i inni nie wiedzieli tego. Ale kwestia pieniędzy nie była nigdy istotna. Nikt z wykładowców czy organizatorów nie pobierał żadnych honorariów. Zwracaliśmy koszty grzywien za udostępnianie mieszkań i nie zawsze koszty przejazdów wykładowców do odleglejszych miast.

Janinie Jankowskiej w książce „Portrety niedokończone” mówił pan, że wszedł do KOR właśnie z powodu TKN, ale zarazem czuł się bardziej TKN-owcem niż korowcem. Kunicki-Goldfinger widzi w tym niekonsekwencję.

– Byłem wtedy młodym człowiekiem i czułem, że nie mogę być partnerem, z jakąś wyszukaną argumentacją dla tych wszystkich ludzi w KOR i w TKN, przyjałem więc taką dość prymitywną strategię, że w KOR bronilem TKN, a w TKN byłem KOR-owskim jastrzębiem. Moim jedynym zmar-

twieniem było to, że wszyscy się połąpią w tej prymitywnej przeciw grze. Robiłem tak, bo uważałem, że największą wartością tego, co robimy, jest rozszerzanie nurtu opozycyjnego jako załączka społeczeństwa obywatelskiego. Każdy konflikt i rozłam był w moich oczach katastrofą. Bałem się, że Maria Janion odejdzie.

W końcu jednak nie odeszła.
– Maria Janion „kupila” TKN podczas spotkania, walnego zgromadzenia TKN w styczniu 1978 roku, w mieszkaniu Kamy Staszko na Nutki 3/5 na warszawskim Ursynowie. Wcześniej w siedzibie KC PZPR prof. Adam Kersten rozmawiał ze spotkanym przypadkiem na korytarzu kierownikiem Wydziału Nauki KC prof. Jarema Maciszewskim. Obaj panowie się znali, pisali razem książki z historii Polski. I Maciszewski mu powiedział: „Wiem, że się macie w niedzielę spotkać, ale prędzej mi tu kaktus na dłoni wyrośnie, nim się spotkacie”.

A jednak się spotkaliśmy. W pełnym gronie. Była mroźna zima, piękne słońce. Maria Janion przyszła późniona – bo wszyscy jednak musieli gubić ewentualną obserwację. Z braku miejsc usiadła na ziemi, opierając się o kaloryfer... Zobaczyłem harcerkę przy ognisku, która jest pełna pozytywnych emocji wobec swojego zastępu.

Mówiliśmy dużo o wykładowcach, a skąd się brali słuchacze?
– Z początku roznosiłem karteczki z zapowiedzią wykładu i rozkładałem je na parapetach na różnych wydziałach warszawskich uczelni. Potem informowało o nich Radio Wolna Europa.

Pan był sekretarzem, skarbnikiem zaś Tadeusz Kowalik. Czy prowadzenie TKN było kosztowne, czy płaciliście za wykłady?
– Wykładowcy angażowali się pro publico bono – raz tylko prof. Stefan Kurowski zażądał honorarium.
Jeśli idzie o pieniądze, to do dziś pamiętam kwoty, bo wiąże się to z nieprzyjemną przygodą, jaką była rewizja w moim mieszkaniu w przeddzień spotkania z Janem Józefem Lipskim, na którym miałem złożyć roczne sprawozdanie finansowe za 1979 rok. Wydaliśmy w tamtym roku ponad 130 tysięcy złotych, rynkowa cena małego fiata, z czego połowa szła na grzywny dla właścicieli mieszkań, reszta zaś na wydawnictwa i trochę na koszty podróży.
Irytował mnie Antoni Macierewicz, który opowiadał z dumą, co mu zarekwirovano w czasie rewizji. Zawsze odpowiadałem mu, że nie ma się z czego cieszyć, bo za samizdat ktoś płaci i ktoś ryzykuje, drukując go, więc takich rzeczy nie powinno być w jego domu. Nigdy mi nic nie zabrano, bo nie trzymałem takich rzeczy w domu. Tego feralnego jednak dnia przyniosłem notatki, żeby nazajutrz iść z nimi do Jana Józefa Lipskiego.
No i weszli... od razu się zorientowali, co znaleźli, i odłożyli na kupkę. Mnie wzięli do aresztu, siedziałem ponad 48 godzin i do domu wróciłem niczym zbity pies. Ja, który pouczałem Antka, dałem się tak złapać! Wstyd. A jeszcze musiałem się rozliczyć. W pewnym momencie mój siedmioletni syn Kuba mówi: „Tato, a zajrzyj do lodówki”. Okazało się, że podczas rewizji smyk laził między ubekami i odebrał notes. Bo odłożyli go sobie na samym wierzchu jakiejś kupki książek do zabrania. Wiedzieli od razu, jak jest ważny.

Skąd dziecko wiedziało, co robić i co schować?
– Nie mam pojęcia. Jestem mu do dzisiaj wdzięczny. Kuba schował papiery do lodówki. Oni potem się zorientowali, że stracili ważny materiał, bo wrócili jeszcze do mieszkania na drugą rewizję – dlatego mnie dłużej trzymali. Jednak nie znaleźli, a mnie ostatecznie udało się porządnie rozliczyć. KOR w ogóle zawsze się ładnie rozliczał. Była od tego komisja, choć muszę przyznać, że mnie to trochę irytowało. Mo- że jestem naiwny, ale cenię sobie w dobrym

towarzystwie elementarne zaufanie do ludzi.

W marcu 1978 roku zajęcia TKN zaczęły być przerywane przez dziarskich chłopców – najgroźniejsze było najście 21 marca 1978 r., gdy w domu Jacka Kuronia ciężko pobito kilka osób.
– To był szok. Ja dodatkowo miałem z tego powodu kompleks i poczucie winy, bo mnie nie było na miejscu. Zazwyczaj biegałem między spotkaniami, ale tego dnia byłem w domu. Wstyd mi było, że zabrakło mnie na posterunku, a przecież mogłem się domyślić, że jeśli gdzieś nastąpi uderzenie, to właśnie w domu Jacka.
Pobicia sprawiły, że Rada Programowa zaczęła rozważać, czy jest sens narażać studentów na uszczerbki fizyczne. Nawet Jan Kielanowski, który był progresywny i raczej po stronie KOR, widział, że problem pobić jest prawdziwym dla nas wyzwaniem.

Władza nie umiała inaczej zareagować, bo TKN był w sumie legalny.
– Tak jak działalność KOR, opieraliśmy seminaria TKN na porozumieniach helsińskich. Rok 1975 uważam za przełomowy w dziejach PRL tak jak 1956 rok. W tym drugim przy-

padku ważną zmianą było to, że za sprzeciw wobec władzy nie groziła już śmierć. Rok 1975 przyniósł zaś możliwość jawnego działania w związku z zapisem porozumień KBWE. Swoisty legalizm. To obniżało poziom strachu. Za spotkania w dużym gronie, które władza nazywała nielegalnym zgromadzeniem, można było najwyższej dostać grzywnę w wysokości pięciu tysięcy złotych. Nie wiem, dlaczego orzekano zwykle cztery i pół, mniej więcej wysokość ówczesnej średniej pensji.

Sam kalkulowałem, że na trzy lata mogę iść do więzienia, ale pięć lat stanowiłoby już dla mnie barierę, której nie chciałbym przekraczać.
Nie mówię tego z dzisiejszej perspektywy, ale tak wtedy sobie rachowałem. Jestem pewien, że z moją osobowością w stalinizmie bym się nie zaangażował. Gdy w połowie lat 80. XX wieku Andrzej Stelmachowski mówił, że potrzebne są radykalne działania, jak w Irlandii, by zmusić władzę do rozmów, odparłem, że ja nikogo do takiej działalności namawiać nie będę. Chodziło mu o wysadzenie kilku cukrowni...

W latach 1979-80 liczba słuchaczy spadała, a zarazem w ramach TKN myślano o studiach podyplomowych, nadawaniu wykładów przez

RWE, wydawaniu zeszytów naukowych.
– Presja ze strony bojówek sprawiła, że bywały wykłady, na których zjawiały się trzy-cztery osoby. Szukaliśmy więc alternatywnej formy działania. Na szczęście w sierpniu 1980 roku wybuchła „Solidarność”...

Czym była „Solidarność” dla TKN? Teoretycznie powinna tchnąć wiatr w żagle Towarzystwa.
– Ja już w TKN wtedy nie uczestniczyłem. Tak samo jak w KOR. Pod koniec września pojechałem do Gdańska i uznałem, że jakakolwiek działalność poza „Solidarnością” nie ma już sensu, a może być nawet obciążeniem.

Po 13 grudnia 1981 roku był pan wśród tych ludzi TKN, którzy w obozie internowania w Jaworzu zdecydowali o rozwiązaniu Towarzystwa. Nie uważał pan, że właśnie wtedy znów takie nauczanie jest potrzebne?
– Byliśmy przekonani, że to już nie jest ten moment, a po drugie, baliśmy się, że ktoś ukradnie tę ideę dla własnych celów. Chyba zrobiliśmy słusznie, bo, wie pan, potem nie brakowało takich, którzy twierdzili, że stali tam, gdzie akurat nie bardzo stali... ●

Towarzystwo Kursów Naukowych

Najważniejsze było łączenie środowisk

Z materiałów bezpieki, która inwigilowała wykłady, wyraźnie wynika, że Adam Michnik sumiennie pracował na opinię radykała i elementu antysocjalistycznego.

Andrzej Brzeziecki

Fenomen Towarzystwa Kursów Naukowych nie doczekał się w III RP należnego mu rozgłosu i upamiętnienia. Być może dlatego, że istniał poniekąd w cieniu KOR-u, a zaraz potem wszystkie inne formy niezależnej działalności przyćmiła „Solidarność”. Opracowanie Ryszarda Terleckiego sprzed ćwierć wieku z przyczyn naturalnych, choćby braku dostępu do ważnych dokumentów, po prostu zestarzało się. Co prawda, IPN wydał dokumenty poświęcone TKN, ale dopiero praca Marka Kunickiego-Goldfingera zawiera zarówno liczne dokumenty (jest ich ponad 250) jak i historyczny rys, w którym autor uwzględnia także relacje osób zaangażowanych w TKN, czego Terlecki nie czynił.

Sam Kunicki-Goldfinger był silnie związany z opisywanym tematem, jako osoba z kręgu opozycji demokratycznej i syn sygnatariusza deklaracji powołującej TKN do życia, ma więc wiedzę wykraczającą poza dokumenty, ale ma też własne zdanie, co widać w publikacji.

Sam wywód Kunickiego-Goldfingera jest, co prawda, trochę chaotyczny, brak w nim także solidniejszego uwzględnienia odbiorców TKN, czyli słuchaczy wykładów, ale wciąż jest rzetelnym wprowadzeniem do prezentowanych dokumentów. Autor wykonał też olbrzymią pracę, opatrując wszystkie dokumenty licznymi przypisami, w których wyjaśniał to, co było niejasne, a także – i to wielokrotnie – korygując błędy donosów i esbeckich opracowań. Trudno ukryć podziw właśnie dla tej części pracy Kunickiego-Goldfingera.

Choć TKN nie było pomyślane jako instytucja stricte opozycyjna, to *de facto* taką rolę zaczęło pełnić. Zwłaszcza że z perspektywy władzy każda niekontrolowana przez nią działalność nosiła znamiona politycznej wolty. Przekonać się o tym można właśnie czytając opublikowane w tomie Goldfingera-Kunickiego dokumenty. W zdjętym przez cenzurę w 1981 roku wywiadzie dla pisma „Politechnik”, a opublikowanym w omawianym tomie, Jerzy Jedlicki, jeden z filarów TKN, mówił, że wykłady w ramach Uniwersytetu Łatającego i TKN były oskarżeniem szkolnego i uniwersyteckiego systemu pedagogicznego. Bo „gdyby ten system był dobry, to nie mielibyśmy nic do roboty”.

Z pewnością krzewienie wolnej myśli i rzetelnej wiedzy o świecie czy polskiej historii było rzeczą arcyważną. Wykładowców zobowiązywało do tego nawiązanie w samych nazwach inicjatyw, do czasów zaborów.

Ważną, kto wie, czy nie najważniejszą, rolą TKN było łączenie ze sobą ludzi i środowisk, które jeszcze wcześniej były od siebie oddalone. To z grona intelektualistów skupionych wokół idei wolnych wykładów wyszedł list, który w sierpniu 1980 roku do Stoczni Gdańskiej zawieźli Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki.

Wystarczy przejrzeć listę sygnatariuszy Deklaracji TKN, by zrozumieć, że z tym pomysłem związaniu byli ludzie, którym Polska zawdzięcza nie tylko odzyskanie suwerenności w 1989 roku, ale także względnie wysoką jakość życia publicznego w latach 90. XX wieku (przynajmniej w porównaniu z dzisiejszą). Wspomnijmy jeszcze choćby Władysława Bartoszewskiego, Stanisława Barańczaka, Jacka Bocheńskiego, Jana Józefa Lipskiego, Wisławę Szymborską, Jacka Woźniakowskiego, Adama Zagajewskiego...

●

Szczególną niechęć u komunistów wzbudzały wykłady Jacka Kuronia i Adama Michnika. Władze nie wahały się używać wobec nich przemo- cy. Michnika zatrzymywano choćby w Krakowie, gdzie go pobito. W mieszkaniu Kuronia doszło bulwersujących zdarzeń. Ostatecznie obaj dysydenci na początku kwietnia 1979 roku zawiesili swoje wykłady. Czynili to, jak pisali do Rady Programowej TKN, choć byli przeciwni cofaniu się przed przemocą, jednak w trosce o zdrowie bliskich i studentów, a także w poczuciu odpowiedzialności za losy kraju.

Z opublikowanych przez Kunickiego-Goldfingera materiałów SB, choćby streszczeń wykładów, widać wyraźnie, że Michnik sumiennie pracował na opinię radykała i elementu antysocjalistycznego. Jak relacjonowało jedno ze źródeł, Michnik, „jakający się młody człowiek, prowadził wykład spokojnie, rzeczowo”.
Michnik mówił głośno o Katyniu, o świadomym skazaniu przez Stalina powstania warszawskiego na klęskę, o późniejszym niszczeniu WiN, o walce z PSL Mikołajczyka i katowaniu ludzi przez UB, o fałszerstwach wyborczych. Na jego wykłady przychodziło dużo słuchaczy (nawet 80), co odnotowywała bezpieka.
Dziś, w dobie internetu i telefonów komórkowych, aż trudno sobie wyobrazić, jak cały ten system kursów udało się zorganizować w oparciu o notes z telefonami albo samymi adresami, bo nie każdy miał telefon w domu. Chwała Markowi Kunickiemu-Goldfingero- wi, że przypomniał ten czas. ●



Towarzystwo Kursów Naukowych 1978-1980

Marek Kunicki-Goldfinger
Monografia i dokumenty, Kraków 2024

Szpieg Londynu do- tarł aż do Niny An- drylicz, żony premiera Józefa Cyrankiewicza.

Z **DR. TOMASZEM KROKIEM**
ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

PIOTR GŁUCHOWSKI: Zachodnie wywiady intensywnie penetrowały stalinowską Polskę. Czy to była tylko komunistyczna szpiegomania?
DR TOMASZ KROK, AUTOR KSIĄŻKI „AFERA TEOZOFÓW. SIATKA WYWIADOWCZA MJR. ANDRZEJA CZAYKOWSKIEGO (1949-1951)”: Przez lata historycy nie ruszali tego tematu, wiedząc, że oskarżenia o szpiegostwo były w tamtych latach fabrykowane. Tymczasem z wiarygodnych, bo wewnętrznych ustaleń Urzędu Bezpieczeństwa, wynika, że liczba skazanych za „prawdziwe” szpiegostwo w latach 1944-56 to ponad 1800 osób. Łapano wywiadowców pracujących dla USA, Wielkiej Brytanii, Francji, rządu emigracyjnego i Szwecji.

Andrzej Czaykowski, wysłannik rządu londyńskiego, byłym przedwojennym oficerem, AK-owcem, któremu udało się pośrednio spenetrować alkowę premiera Józefa Cyrankiewicza – poprzez masażystkę jego żony, Niny Andrylicz. Ale czy tak naprawdę Czaykowskiego nie wysłał do Polski wywiad brytyjski MI6?
– Po kwerendach w Londynie mam pewność, że wysłał go rząd emigracyjny. Pozostaje oczywiście kwestia współpracy między wywiadem rządu na uchodźstwie a brytyjską służbą Secret Intelligence Service. Transfer informacji był, Brytyjczycy wiedzieli o misjach takich jak Czaykowskiego. O jego zadaniach moim zdaniem również. I mieli oczywiście swój udział w urobku wywiadowczym.

Co to był za człowiek?

– Urodził się w 1912 roku w Urdominie na obecnej Litwie w polskiej rodzinie ziemiańskiej. Rodzice mieli dworek i 150 hektarów, jego matka Andrzej Halina z Kryńskich była muzykologiem, ojciec Witold służył w armii carskiej, w związku z czym Czaykowsky jeszcze przed puczem bolszewickim przenieśli się do Moskwy.

Senior rodu ostro pił, dlatego żona od niego odeszła. W 1918 roku wyjechała do Warszawy z synem Andrzejem i urodzoną w Moskwie córką Wandą. W międzywojennej Polsce znalazły się też dwie siostry Haliny – Wanda i Zofia, żony oficerów Wojska Polskiego, które będą ważne w naszej opowieści.

Rodzina bez ojca zamieszkała w kamienicy na Pradze, młody Czaykowski chodził do renomowanego gimnazjum imienia Władysława IV, z którego wywodziło się wielu późniejszych przedstawicieli elit II Rzeczypospolitej. Po maturze wybrał karierę wojskową, skończył szkołę kawalerii w Grudziądzu, dostał przydział do I Pułku Ułanów Krechowieckich, który stacjonował w porojsyjskich koszarach w podlaskim Augustowie.

Był wyróżniającym się żołnierzem, reprezentował jednostkę w zawodach hipicznych, w 1938 roku został porucznikiem i z tą szarżą wziął udział w kampanii wrześniowej. Walczył z Niemcami na Podlasiu w składzie grupy operacyjnej „Narew”, pod Grodnem bił się z Sowiecami. Ostatecznie jego oddział przedarł się na Litwę, gdzie zostali internowani w obozie w Rakiszkach. Były tam trudne warunki i może dlatego w ostatnich dniach grudnia 1939 roku Czaykowski uciekł z dwójką towarzyszy do Kowna, by następnie schronić się w Wilnie. Wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, chciał dotrzeć do Generalnego Gubernatorstwa, ale w lutym 1940 roku został złapany przez NKWD przy próbie przekroczenia granicy. Skazano go na pięć lat łagru – siedział

Afera TEOZOFÓW



• **Okupacyjna kenkarta Andrzeja Czaykowskiego (1912-53) na nazwisko Aleksander Wasilewski** FOT. ARCHIWUM IPN

w obozie w Kargopolu w obwodzie archangielskim, gdzie więziono również Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który opisał obozowe warunki w słynnym „Innym świecie”.

Po ataku Hitlera na Związek Sowiecki i układzie Sikorski-Majski sowieckie władze pozwoliły Czaykowskiemu wstąpić do Armii Andersa.

– Został dowódcą plutonu przy szwadronie przybocznym generała Władysława Andersa. Gdy polskie wojsko wyszło do Iraku, kontaktował się z nim szef oddziału personalnego, który tworzył grupę ochotników do szkolenia wywiadowczego i dywersyjnego – przyszłych cichociemnych. Czaykowski znalazł się w czterdziestoosobowej grupie chętnych, by zostać komandosem. Szkolenie przeszedł w Wielkiej Brytanii, dokąd został przerzucony na przełomie lat 1942 i 1943 przez Bagdad, Damaszek i Suez, a następnie drogą morską przez południowoafrykański Kapsztad i Durban, zawijając po drodze do portów w Rio de Janeiro i Nowym Jorku.

Jako cichociemny został w 1944 zrzucony do Polski. Odpowiadał za kontakt z oflagami na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Miał od osadzonych tam polskich oficerów zbierać informacje o warunkach panujących za drutami. Walczył w powstaniu warszawskim.

– Walczył na Mokotowie, dowodził m.in. oddziałami batalionu Baszta. Za obronę umocnień przy ul. Czerniakowskiej otrzymał Virtuti Militari.

Po kapitulacji znalazł się w oflagu, który miał wcześniej penetrować?

– Nie, bo uciekł od razu z kolumny jenieckiej i zameldował się u podpułkownika Jana

Gorazdowskiego pseudonim „Wolański”, szefa biura personalnego Komendy Głównej AK. Dostał nowy przydział: do odbioru alianckich zrzutów. W grudniu przeniesiono go do Częstochowy i tam został aresztowany przez gestapo. Tym razem Niemcy wywieźli go do obozu Gross-Rosen na Dolnym Śląsku, a następnie do Turynii, do łagru Mittelbau-Dora, gdzie doczekał wojsk amerykańskich. Uwolniony wstąpił do II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych, wysłano go do Włoch. Zdemobilizowany w pierwszej połowie roku 1947 w stopniu majora wrócił do Anglii, gdzie udzielał się jako weteran w zarządzie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Był wiceprezesem oddziału brytyjskiego.

I tutaj dochodzimy do przełomowego momentu, który zaważy na wszystkim. Píše pan, że z początkiem 1949 roku niespełna czterdziestoletni Czaykowski próbował sobie zorganizować stały pobyt w Maroku. Lec z zamiast wieść spokojne życie – znowu ruszył na misję.

– W kole kombatantów spotykał się z generałem Romanem Odzierżyńskim, ministrem obrony narodowej i kierownikiem resortu spraw wewnętrznych w emigracyjnym rządzie Tadeusza Tomaszewskiego. Odzierżyński wiedział, że Czaykowski załatwił sobie fikcyjny ślub z kochanką, prawdopodobnie Anną Krystyną Mańkowską, która była nadal zamężna z kimś innym...

Dlaczego „prawdopodobnie”?

– Bo większość informacji, jakie mamy na temat życia majora, pochodzi ze stenogramów jego przesłuchań na UB. Może zeznając, zmienił nazwisko ukochanej? Fikcyjny ślub był potrzebny, by kobieta mogła osiedlić się w Wielkiej Brytanii. Odzierżyński zaczął tym

Czaykowskiego naciskać. Zatem stawiam tezę, że dawny cichociemny poleciał do Polski – teraz już samolotem pasażerskim z tajną misją – w efekcie szantażu, aby uniknąć kompromitującej sprawy karnej i nie dopuścić do deportacji wybranki.

Fakt, że wybór Odzierżyńskiego padł na Czaykowskiego, wynikał nie tylko z posiadania „haka”. Minister uznał, że kurs cichociemnych, który Czaykowski przeszedł w 1943 roku, predestynuje go do planowanych zadań. Tymczasem major przeszedł szkolenie dywersyjne, a nie wywiadowcze. Było jednak coś jeszcze: generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz...

Wolnomularz i ważna persona emigracji, a wkrótce minister obrony rządu londyńskiego...

– ...chciał stworzyć w okupowanej przez Sowiety Polsce siatkę wywiadowczą opartą na członkach przedwojennego Towarzystwa Teozoficznego (TT). W 1939 roku to właśnie na teozofach oparła się organizacja Służby Zwycięstwu Polski. A Halina Czaykowska, matka majora i jej siostry, były teozofkami – bardzo ważnymi w swoim środowisku.

Kim w ogóle byli ci teozofowie? Rodzajem masonerii?

– Teozofia początkowo opierała się na wzorach masonskich. Były loże i wtajemniczenia. Potem to wyewoluowało w coś, jakby ruch społeczny inspirowany spirytyzmem i dalekowschodnią duchowością.

Píše pan, że celami teozofów były: „utworzenie związku wszechludzkiego, braterstwa bez różnicy rasy, narodowości, wyznania i płci” oraz prowadzenie studiów porównawczych nad religiami, filozofią i nauką „w celu odkrycia Prawdy”, bo wszak dewiza Towarzystwa brzmiała: „Nie ma religii nad Prawdą”.

– Wśród teozofów byli wegetarianie, abstynenci, pacyfiści, zwolennicy niepodległości Indii, bojownicy o emancypację kobiet... Było też wielu byłych legionistów, czy szerzej – zwolenników Józefa Piłsudskiego. Po 1945 roku Towarzystwo nie próbowało się nawet rejestrować, spotykali się w tajemnicy w ośrodku wypoczynkowym Mężenin, mazowieckim dworku nad Bugiem, który jest opisany w „Kariery Nikodema Dyzmy” jako miejsce frywolnych zabaw przedwojennych elit.

W lipcu 1949 Czaykowski dostał przed wylotem do Warszawy tysiąc dolarów, kalki sympatyczne, przepis na wywołanie pisma, instrukcję dotyczącą przesyłania raportów oraz adresy skrzynek kontaktowych w Londynie. Do tego okupacyjną kenkartę na nazwisko Wasilewski i paszport na nazwisko Sulikowski...

– To słabo świadczy o przygotowaniu misji, skoro w Londynie sądzono, że w PRL można się jeszcze legitymować niemieckimi dokumentami. Odzierżyński chyba nie zdawał sobie sprawy, jaki w Polsce panuje reżym i zamordyzm. Ale Czaykowski przeszedł szcześliwie kontrolę na lotnisku, pojechał do matki, która mieszkała już wtedy w Milanówku razem z siostrami – teozofkami Zofią i Wandą. Starsze doświadczone w okupacyjnej konspiracji panie zobowiązały się do udzielenia wysłannikowi Londynu wszelkiej koniecznej pomocy.

Kolejne meliny wywiadowcy również zostały wyszukane po linii teozoficznej. Teozofka Anna Tomaszewska ukrywała majora w domu koło Bydgoszczy; następnie dzięki pomocy kolejnej członkini przedwojennego TT zamieszkał w pensjonacie w Krynicy; wreszcie osiadł w Krakowie u rodziny jeszcze innej teozofki – przy ulicy Łobzowskiej. Co w tym czasie robił?

– Zbierał informacje gospodarcze, wojskowe, polityczne i nadzorował stworzoną przez siebie sieć wywiadowczą. Z Londynem porozumiewał się za pośrednictwem wysyłanych na tamtejsze adresy-skrzynki książek beletrystycznych. Słał je zwykłą pocztą, meldunki umieszczał na kliszkach ukrytych w okładkach.

Co było w jego raportach?

– Informacje o przebiegu kolektywizacji na wsi, o stosunkach na linii państwo – Kościół, o rozbudowie lotnisk w okolicach Rzeszowa, Tarnowa i Krakowa, o dyslokacji wojsk sowieckich w Polsce, o wojskowych ładunkach przechodzących przez węzeł kolejowy Zabierzów pod Krakowem, o krajowych opiniach na temat rządu w Londynie.

Ważnym informatorem Czaykowskiego był przedwojenny szef sztabu Korpusu Ochrony Pogranicza i zarazem członek TT – podpułkownik Ludwik Zych. Po 1945 r. powierzono mu funkcję szefa Sztabu Departamentu Wojsk Ochrony Pogranicza. W drugiej połowie 1947 r. został odwołany za „reakcyjną postawę”, ale wiedzę zachował i czterokrotnie spotykał się z Czaykowskim, przekazując mu wiele istotnych informacji na temat Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego itd.

Wiktor Sławiński, inżynier z Ministerstwa Górnictwa, przynosił informacje dotyczące przemysłu wydobywczego. Feliks Gwiżdż, przedwojenny senator, udzielał wiadomości na temat nastrojów ludności w związku z reformą rolną. Stefan Jarmulowski, urzędnik centrali PKP, informował o transportach wojsk. Kazimierz Kończycycki, technik budowlany – o budowie lotniska w Lublinie. Romuald Sidorski, pułkownik Ludowego Wojska Polskiego – o wykładach Wyższej Szkoły Wojennej...

Przez teozofkę Sylwię Rzeczycką major zdobywał też informacje od żony premiera Józefa Cyrankiewicza – Niny Andrycz. Rzeczycka była jej masażystką. – Jak głosi treść ubeckiej „notatki informacyjnej dotyczącej zlikwidowanej sieci szpiegowskiej Czaykowskiego”, Rzeczycka znała Andrycz „jeszcze z okresu przedwojennego jako swoją klientkę. Znajomość z nią utrzymywała również w okresie okupacji”.

Po wojnie Andrycz ściągnęła Rzeczycką z Krakowa do Warszawy, umieszczając ją początkowo u siebie w rządowym mieszkaniu, a następnie załatwiła jej własne przy ulicy Belgijskiej. Rzeczycka nie tylko masowała „pierwszą damę teatru”, ale była jej powiernicą. Jak zapisał ubek: „W toku przeprowadzanych rozmów uzyskiwała od wymienionej informację z zakresu życia prywatnego członków rządu PRL”.

Po tym gdy Czaykowski przesłał informację o dotarciu do Andrycz, gen. Odzierżyński nakazał mu zerwanie kontaktu z masażystką jako niebezpiecznego. Major się nie zastosował. Jakie informacje przynosiła Rzeczycka?

– Głównie plotki, ale pochodzące z najwyższych kręgów władzy. Dowiedziała się na przykład od Andrycz, że po mianowaniu Aleksandra Zawadzkiego wicepremierem Cyrankiewicz ma obowiązki jedynie reprezentacyjne. Londyn pytał także: czy PRL-owscy dostojnicy jeżdżą „pod konwojem”? Jak zeznał w śledztwie Czaykowski: „W maju 1951 roku na podstawie otrzymanej wiadomości od Rzeczyckiej dałem odpowiedź, że mnie wiadomo, iż premier Cyrankiewicz jeździ bez konwoju, a nawet dosyć często sam prowadzi wóz”. Andrycz podała także informacje o terminach urlopów marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego.

Podczas całej misji major przesłał w sumie 106 meldunków i 14 obszernych raportów wywiadowczych.

Były też osoby, które mu odmówiły współpracy.

– Słynna Elżbieta Zawacka „Zo” odbyła z Czaykowskim jedno spotkanie, na którym nie zgodziła się współpracować. Później biografka jedynej polskiej cichociemnej napisała, że zdaniem Zawackiej „organizowanie opozycji antykomunistycznej na wzór Polskiego Państwa Podziemnego, jak rozumiała intencje Czaykowskiego i Londynu, nie ma żadnego sensu. Praca ta nie służyłaby Polsce, tylko Anglikom, a za Anglików nie chciała umierać”. Mimo tej postawy nie uniknęła represji.

Jak doszło do wpadki?

– Urobek Czaykowskiego zdawał się wartościowy, dlatego Londyn postanowił zintensyfikować kontakt, wysyłając mu radiostację. Miał ją przerzucić w częściach marynarz Jan Miler, który był, niestety, podwójnym agentem, tajnym współpracownikiem UB o pseudonimie „Robert”. Za jego pośrednictwem безпеaka namierzyła londyńskiego emisariusza, lecz początkowo go nie aresztowała. Od kwietnia do sierpnia 1951 roku obserwowano jego siatkę. Po zidentyfikowaniu ludzi, z którymi się spotykał, nastąpiła kilkudniowa oblawa. Aresztowano około stu osób. Największa tego rodzaju akcja przeprowadzona przez UB. Czaykowskiego zdjęto 12 września w Krakowie, masażystkę zatrzymano w Warszawie, Niny Andrycz ubecją nie ruszyła. To najprawdopodobniej właśnie z jej powodu późniejszy proces był utajniony...

...a nie pokazowy.

– Obawiano się, że opinia publiczna połączy tę siatkę bezpośrednio z premierem.

Aresztowano natomiast Zawacką, która za samo spotkanie z wysłannikiem Londynu dostała pięć lat więzienia.

Major nie był torturowany. Z raportu agenta ułokowanego z nim w celi wynika, że dziwił go „dżentelmeński stosunek do niego”. Jak donosił agent: „intryguje go i niepokoi przesadna grzeczność w traktowaniu i niezwłoczne zaspakajanie życzeń w sprawach natury osobistej. Cz. mówi żartobliwie, że to wszystko jest wstępem do humanitarnego uboju i że jego sytuacja podobna jest do sytuacji Jasia i Małgosi w piernikowym domku”.

– Bezpieka nie katowała majora, ponieważ ten umówił się z członkiniami siatki, że będą mówić prawdę, jeżeli zostaną złapani. Co było zbieżne z jego taktyką procesową: przedstawiał się nie jako szpieg, lecz emisariusz polityczny, który miał rzekomo z polecenia rządu na emigracji podjąć próbę kontaktu z komunistyczną władzą. Nie uchroniło go to od kary śmierci. Został skazany 30 kwietnia 1953 roku. Wyrok wydał sędzia wojskowy Mieczysław Widaj. Strzał w tył głowy wykonał sierżant Aleksander Dreja. Grobu do dzisiaj nie odnaleziono. Rzeczycka dostała dożywocie.

Matkę majora aresztowano również, dostała 12 lat więzienia, wyszła w 1956 r. po amnestii. Ludziła się, że syn żyje, tym bardziej, że administracja więzienia, przyjmując pieniądze i paczki. Dopiero w 1967 roku minister obrony Marian Sychalski w odpowiedzi na jej kolejną prośbę o zwolnienie syna ujawnił jej prawdę.

W 1993 roku Czaykowski i jego grupa doczekali się unieważnienia wyroków. – W uzasadnieniu stwierdzono, że: „oskarżeni, prowadząc działalność na rzecz rządu polskiego w Londynie, kierowali się poczuciem patriotyzmu, a zatem zbieranie przez nich i przekazywanie informacji z różnych dziedzin życia społecznego i politycznego należy traktować jako kontynuację walki o uzyskanie przez Polskę niepodległego bytu”. W 2010 roku major Czaykowski został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. ●



Afera teozofów. Siatka wywiadowcza mjr. Andrzeja Czaykowskiego (1949-1951)

Tomasz Krok

Wyd. IPN 2025

Janowski

Antypolityka historyczna

Niebezpieczne poczucie bezpieczeństwa

Liberałowie i demokraci przekonują się, że wolność polityczna jest dla większości ludzi zupełnie nieatrakcyjna.

Coraz bardziej zastanawiam się nad tym, jak ludzie w różnych sytuacjach historycznych dążą do tego, aby zapewnić sobie poczucie bezpieczeństwa – i jak w ten sposób narażają na szwank swoje bezpieczeństwo. To był przecież jeden z głównych mechanizmów blokujących reformy w przed-rozbiorowej Rzeczypospolitej. Szlachta tak przyzwyczaiła się do swego tradycyjnego sposobu życia, politykowania i gospodarowania, że wszelkie dążenia do zmiany traktowała jako zagrożenie. Nie zauważała, że w ten sposób ściąga na samą siebie i na swój styl życia zagrożenie o wiele większe niż jakiegokolwiek reformy.

W zamian za poczucie bezpieczeństwa ludzie gotowi są oferować bardzo wiele. Wolność – to dość oczywiste. Liberalowie i demokraci coraz bardziej się przekonują, że wolność polityczna jest rzeczą dla większości ludzi zupełnie nieatrakcyjną. Kiedyś nadchodzi moment – tak było w XX-wiecznych totalitaryzmach czy w dzisiejszej Rosji Putina – kiedy brak wolności zaczyna mieć tragiczne konsekwencje nie tylko dla elit, ale i dla całego społeczeństwa. Wtedy jest już za późno, a zresztą ludzie są już na tyle ogłupieni propagandą, że nie myślą o utracenie wolności.

Ale ludzie w zamian za poczucie bezpieczeństwa gotowi są oferować nie tylko wolność. Kiedy w latach 90. patrzyłem na nostalgię po PRL, myślałem często: za czym ludzie tęsknią? Rozumiałem tych, którzy na skutek reform gospodarczych stracili pracę, ale przecież ówczesne poparcie dla postkomunistów daleko przekraczało liczbę tych, którzy w wyniku upadku komunizmu ponieśli straty materialne. I odpowiadałem sobie: tęsknią za poczuciem bezpieczeństwa.

Jak się stanie w kolejce do mięsnego, to wreszcie dostanie się kawalek „wołciela” z kością („wołciel. z kością” – taki napis widniał na kartkach na mięso); jeśli o czwartej rano pójdzie się do przychodni, dostanie się numerki do lekarza; jeśli odpowiednio długo będzie się stało na przystanku, któryś autobus PKS wreszcie mnie zabierze, itd. Jest ciężko i biednie, ale stabilnie. Gdyby tych ludzi zapytać, czy są gotowi obniżyć swój poziom życia, aby zachować poczucie bezpiecznej stabilności, bez wątplenia odpowie-

dzieliby „nie”. Ale ich zachowanie chyba pokazuje, że realna odpowiedź brzmi „tak”.

Otwarta gospodarka liberalna przyczynia się do wzrostu poziomu życia, ale wymaga zmienności, dostosowywania się do nowych warunków, częściowego choćby zerwania z rutyną.

Ale najciekawsze, że w zamian za poczucie bezpieczeństwa ludzie gotowi są ofiarować samo bezpieczeństwo. Poczucie takie łatwo bowiem wytworzyć przez ignorowanie zagrożeń. Dyktaturze sanacyjnej po śmierci Piłsudskiego udało się chyba wmówić większości Polakom, że są bezpieczni pod osłoną silnej i nowoczesnej armii. Czasem zaś to poczucie tworzy się – paradoksalnie – przez wynajdowanie wrogów fikcyjnych, zewnętrznych i wewnętrznych. Taki wróg pozwała zewrzeć szereg, daje poczucie wspólnoty. Dzieje się to kosztem realnego bezpieczeństwa kraju.

Przeciwnicy Unii Europejskiej głoszą, że dopiero bez Unii będziemy my zwarci w naszej wspólnotcie narodowej, odcięci od zachodniej demoralizacji, i przez to bezpieczniejsi; gdy naprawdę będziemy o wiele mniej bezpieczni bez sojuszników, a na wypadek najazdu rosyjskiego – zupełnie bezradni. Taki sposób myślenia jest niestety bardzo odporny na empirię. Kto był przekonany przed wrześniem 1939 roku, że największym zagrożeniem dla Polski są Żydzi, ten często nie zmienił zdania po klęsce, ale wmówił sobie coś w rodzaju: upadliśmy, bo Żydzi byli w Polsce za silni i osłabili siłę narodu.

Tęsknota za poczuciem bezpieczeństwa jest naturalna; doskonałe widzę ją u samego siebie, z wiekiem coraz bardziej. Niestety populistyczna polityka doprowadziła do mistrzostwa umiejętność wykorzystywania tej tęsknoty; podsyłania strachu przed fikcyjnymi zagrożeniami, aby zaoferować bezpieczeństwo i w ten sposób dojść do władzy. Zarazem politycy populistyczni muszą ignorować niebezpieczeństwa realne (jak choćby kryzys klimatyczny), bo ich nie da się zwalczyć hasłami powrotu do tradycji, trzeba podjąć niekonwencjonalne działania.

Czasem mówi się o kontraście między „bezpieczną niewolą” a „niebezpieczną wolnością”. Ta alternatywa jest fałszywa. Wybór jest między wolnością, która daje zarazem ryzyko i nadzieję, a niewolą, która dopiero jest naprawdę niebezpieczna. ●



No cóż, widzicie, klimat był zawsze przeciwko nam, ale to jeszcze nie powód, żeby mówić brzydkie wyrazy, prawda?

Dam wam dobrą radę. Kiedy następnym razem znów wyłączą wam ciepłą wodę, przestaną grzać kaloryfery albo stanie komunikacja i wasz kolega znów zacznie mówić brzydkie wyrazy, wiecie, co zróbcie wtedy?

– Coooo?

– Udawajcie, że nie słyszycie, co do was mówi. Że nic nie słyszycie.

– Hura! To jest wspaniała rada. Pycha! Wyobrażam sobie jego minę. Świetna rada, Wujku, Bardzo dobra rada”

I tak porucznik MO Lech Rys, który sprawuje społecznie dyskretną opiekę nad gromadką urwisów, sprowadzając ich na dobrą drogę, rozwiązał kolejny problem. Tym razem chodziło o nadużywającego brzydkich wyrazów Tomka Mazura, który na prawo i lewo rzucał „motyla nogą” tudzież „kurczę pióro”. Nic dziwnego, że dostał przezwisko Wujek Dobra Rada.

Skuszony ewidentnymi sukcesami porucznika Rysia, zdesperowany prezes Ryszard Ochódzki rzucił w kierunku ekranu: „Znajdź dla mnie radę, wuju”. I słyszy w odpowiedzi, by poszukał jakiejś Ireny, ożenił się z nią i w ten sposób zgarnął pieniądze z konta w londyńskim banku, które podjąć może tylko Ryszard Ochódzki albo Irena Ochódzka.

Przywołuję pamiętną scenę z legendarnego „Misia” Stanisława Barei nie bez powodu oczywiście. Tak się bowiem składa, że 13 czerwca, w piątek obchodziliśmy Święto Dobrych Rad.

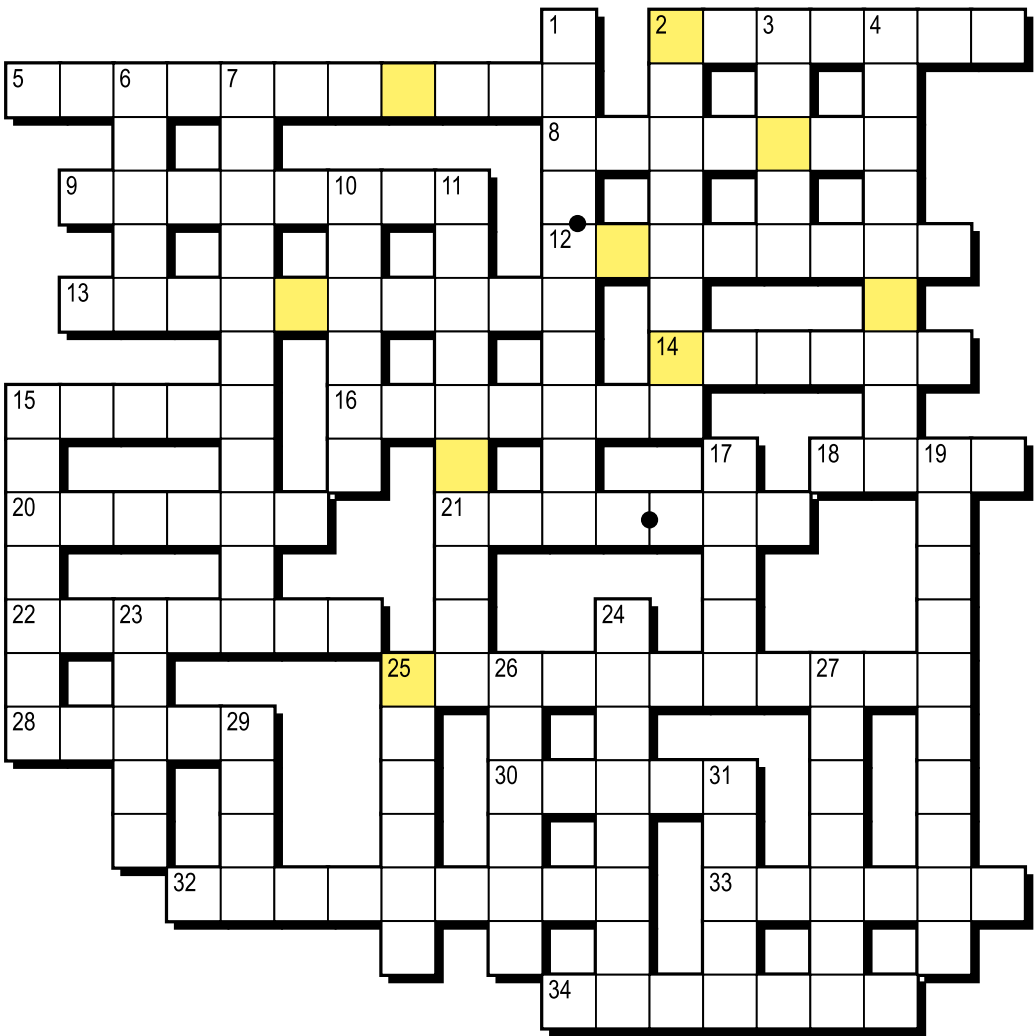
Tak, tak, wiadomo jak na takie dobre rady zwykle reagujemy – nieco mniej entuzjastycznie niż prezes Ochódzki, nie mówiąc już o gromadce urwisów. Często mawia się bowiem, że najlepsza rada to nie słuchać czyichś dobrych rad. Wszak piekło, na przemian z dobrymi chęciami, właśnie takimi radami jest wybrukowane.

Takie „dobre pomysły” działają często odwrotnie: miast pomóc i wskazać rozwiązanie – irytują i rodzą jedynie niechęć do doradzającego nam „życzliwego”.

Ale może, zamiast dobre rady potępiać w czambuł, czasem warto ich posłuchać, albo – jeszcze lepiej – o nie poprosić. Nie mówcie, że czasami nie przydałby się każdemu taki Lech Rys. W szczególności, jeśli swoich beczennych porad miałby udzielać społecznie...

Dlatego dzisiajszą „Weekendówkę” poświęcamy radom wszelakim. I jestem pewien, że z dzisiajszą krzyżówką dacie sobie Państwo radę śpiewająco!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 157 z 7.06:

Poziomo:
7) autodrom, 10) hałas, 11) opera, 13) lody, 14) lunapark, 15) adrenalina, 16) Demarczyk, 18) autor, 19) Dania, 21) gabinet, 24) Rzym, 26) sygnał, 28) kolejka, 29) miasteczko, 32) rekordy, 33) Dean, 35) jazda, 36) Dygat, 37) impet, 38) Kozidrak, 39) Disney, 40) atrakcje.

Pionowo:
1) odwaga, 2) rollercoaster, 3) alejki, 4) plac zabaw, 5) Karuzela, 6) zabawa, 8) tłok, 9) Joyland, 12) tarcze, 17) Katy, 20) Anaconda, 21) gokart, 22) bilet, 23) trampoliny, 25) maszynieria, 27) Grzeszczak, 30) festyn, 31) Maanam, 34) ognie.

HASŁO:
WIELKA FRAJDA

KRZYŻÓWKA RADZI

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2)** mistrz gry na instrumencie (nastolatek powie: daję radę!)
- 5)** ... Narodów Zjednoczonych, jednym z jej organów jest Rada Bezpieczeństwa
- 8)** udzieli fachowych wskazówek w jakiejś dziedzinie
- 9)** Stanisław ..., Wujek Dobra Rada w komedii „Miś”
- 12)** doświadczeni, służą radą i wsparciem
- 13)** nagrał piosenkę „Dobre rady pana ojca”
- 14)** prosi ekspedienta o poradę
- 15)** RWPG, czyli Rada Wzajemnej ... Gospodarczej (wpisujemy w mianowniku)

- 16)** poprosi tubylca o wskazówki, jak dotrzeć np. na dworzec
- 18)** dobre rady zawsze w ... (wpisujemy w mianowniku)
- 20)** Bradley, zagrał w filmie „Poradnik pozytywnego myślenia”
- 21)** opisowo o Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich
- 22)** służy dobrą radą, wiedzą i doświadczeniem; biegły, fachowiec
- 25)** jeśli mają kryzys w związku, mogą skorzystać z poradni
- 28)** gród, gdzie doradcą króla Priama był Antenor
- 30)** w dowcipie pyta bacę o radę
- 32)** wskazówka, porada lekarska
- 33)** kania rada, gdy pada
- 34)** ... Sheen, amerykański aktor („Dobre rady”)

Pionowo:

- 1)** obraduje w ratuszu
- 2)** ... Rosati, zagrała w komedii filmowej „Porady na zdrady”
- 3)** ... Erewań, fikcyjna rozgłośnia z dawnych żartów, źródło komunistycznej propagandy i nierzetelnych porad
- 4)** podjęcie decyzji w wyniku dyskusji, spotkania kolegium
- 6)** jej mieszkańcy wybierają wójta i radnych
- 7)** uczestnicy rady pedagogicznej
- 10)** starożytne miasto, w którym władzę sprawowała Geruzja – Rada Starszych
- 11)** zestaw porad i wskazówek (np. ... obsługi urzędzenia)
- 15)** zasięgnął porady lekarskiej
- 17)** imię artysty z określenia 13 poziomo
- 19)** szefowali gminom w latach 1973–90, byli powoływani przez

prezydium wojewódzkiej rady narodowej

23) ... procentowe, ich wysokość ustala Rada Polityki Pieniężnej

24) podobno jest złym doradcą

25) mają ogromną wiedzę, służą radą i doświadczeniem

26) język, w którym „rada” to „consilium”

27) np. o dofinansowanie wycieczek, składane do rady rodziców w szkole

29) ... Dąbrowska, zaśpiewała piosenkę do filmu z określenia 2 pionowo

31) urządzenie, w którym kryje się wskazówka (ale nie zegar)

Leszek Rydz

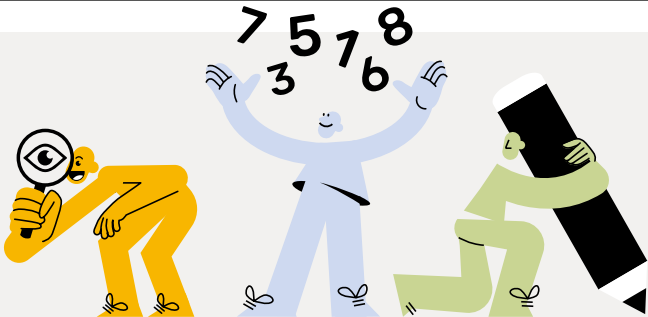
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

**SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY**



Odkryj rozrywkę w aplikacji



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

